

**SIEDMIU GOŚCI.
SIEDEM SEKRETÓW.
JEDEN ZABÓJCA.**



**TERAZ
ZAŚNIESZ**

C.L. TAYLOR

ALBATROS

NIE LICZ NA TO, ŻE ZAŚNIESZ, DOPÓKI NIE SKOŃCZYSZ TEJ KSIĄŻKI.

A KIEDY JUŻ JĄ SKOŃCZYSZ... NIE ZAŚNIESZ TYM BARDZIEJ...

KTOŚ JEST BLISKO.

KTOŚ CIĘ OBSERWUJE.

KTOŚ NA CIEBIE CZYHA.

Zaśnij...

Anna marzy o tym, by zasnąć. Ale wyniszczająca bezsenność, lęki i prześladowające ją wspomnienie tamtej straszliwej nocy nie pozwalają jej zapaść w sen. Gdyby tylko nie czuła się tak winna...

Aby uciec od dręczącej ją przeszłości, Anna przyjmuje posadę w hotelu na szkockiej wyspie Rum. Kiedy jednak zjawia się tam siedmioro gości, to, co zdawało się ratunkiem przed światem, zamienia się w śmiertelnie przerażający koszmar.

Każde z nich ma własne powody, by się tam znaleźć. Ale jedno ma powód szczególny. Chce, by Anna zapadła w sen... taki, z którego już się nie obudzi.

Siedmioro obcych. Siedem tajemnic. Jedno zabójcze kłamstwo.

TERAZ ZAŚNIESZ

C.L. TAYLOR

Z angielskiego przełożyła
ANNA DOBRZAŃSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

C.L. TAYLOR

Brytyjska pisarka pochodząca z Worcester. Ukończyła psychologię na Uniwersytecie Northumbrii. Po studiach mieszkała dwa lata w Londynie, a następnie trzynaście lat w Brighton. Obecnie mieszka wraz z partnerem i synem w Bristolu.

Kariere literacką rozpoczęła w 2005 roku od wielokrotnie nagradzanych opowiadań publikowanych w gazetach i magazynach dla kobiet, m.in. w „Sunday People” i „Sunday Express”. Jest autorką sześciu thrillerów psychologicznych, które stały się bestsellerami. Zdobyła Dead Good Books Reader Award w latach 2015, 2016, 2017 i 2018, Hearst Big Book Award w roku 2018 oraz Kobo Crime/Thriller w latach 2015 i 2016, a jej książki sprzedały się w łącznym nakładzie przekraczającym milion dwieście tysięcy egzemplarzy i zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Prawa do ekranizacji jednej z powieści (*The Escape*) kupiła firma producencka Feel Films, stojąca za sukcesem emitowanego przez BBC serialu *Jonathan Strange i Pan Norrell*.

cltaylorauthor.com

Tytuł oryginału:
SLEEP

Copyright © C.L. Taylor 2019 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2019

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: © Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-7885-017-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Rozdział 1

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 2. Anna

Rozdział 3

Rozdział 4. Mohammed

Rozdział 5. Anna

Rozdział 6. Anna

Rozdział 7. Steve

Rozdział 8. Anna

Ku pamięci

Rozdział 9. Anna

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 10. Anna

Rozdział 11. Alex

Rozdział 12. Anna

Rozdział 13. Steve

Rozdział 14. Anna

Ku pamięci

Rozdział 15. Anna

Rozdział 16. Mohammed

Rozdział 17. Anna

Rozdział 18. Trevor

Rozdział 19. Anna

Ku pamięci

Rozdział 20

[Rozdział 21. Steve](#)

[Rozdział 22. Anna](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24. Alex](#)

[Rozdział 25. Anna](#)

[Ku pamięci](#)

[Rozdział 26. Anna](#)

[Rozdział 27. Steve](#)

[Rozdział 28. Anna](#)

[Rozdział 29. Dani](#)

[Rozdział 30. Steve](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[Rozdział 31. Anna](#)

[Rozdział 32. Mohammed](#)

[Rozdział 33. Anna](#)

[Rozdział 34](#)

[Ku pamięci](#)

[Rozdział 35. Anna](#)

[Rozdział 36. Anna](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38. Alex](#)

[Ku pamięci](#)

[Rozdział 39. Anna](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41. Mohammed](#)

[Rozdział 42. Anna](#)

[Ku pamięci](#)

[Rozdział 43. Anna](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45. Alex](#)

[Rozdział 46. Anna](#)

[Ku pamięci](#)

[Rozdział 47. Anna](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49. Anna](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52. Christine](#)

[Rozdział 53. Anna](#)

[Rozdział 54. Anna](#)

[Rozdział 55. Katie](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Przypisy](#)

Pamięci mojej pięknej przyjaciółki Heidi Moore

*Umrzeć – usnąć –
I nic poza tym – i przyjąć, że sen
Uśmierza boleść serca i tysiące
Tych wstrząsów, które dostają się ciału
W spadku natury. O tak, taki koniec
Byłby czymś upragnionym.*

Hamlet, akt III, scena 1

William Szekspir

Przełożył Stanisław Barańczak

Rozdział 1

Jeśli to czytacie, to znaczy, że nie żyję. Ktoś prześladowa mnie od trzech miesięcy i jeżeli nie żyję, nie był to wypadek. Powiedzcie policji, żeby porozmawiała z moim byłym chłopakiem, Alexem Carterem, o tym, co wydarzyło się w Londynie. To tam wszystko się zaczęło.

Poniżej podaję listę osób, które przybyły na wyspę Rum w sobotę drugiego czerwca. Jestem niemal pewna, że zabiła mnie jedna z nich.

- Joe Armstrong*
- Christine Cuttle*
- Fiona Gardiner*
- Trevor Morgan*
- Malcolm Ward*
- Melanie Ward*
- Katie Ward*

Ich rezerwacje i dane kontaktowe znajdziecie w laptopie w recepcji oraz w aktach medycznych w prawej szufladzie biurka. Wszystko, co wydarzyło się od ich przyjazdu (a także wcześniej), zapisałam na dołączonych kartkach.

Mam nadzieję, że tego nie czytacie. Mam nadzieję, że mój list leży pomięty na dnie kosza i że udało mi się uciec. Nie wiem, co jeszcze dodać. Proszę, powiedzcie moim rodzicom, że ich kocham, a Alexowi, że mam nadzieję, że nic mu nie jest i niech nie czuje się winny z powodu tego, jak potoczyły się sprawy. Żałuję, że w ogóle tu przyjechałam. Żałuję, że się zgodziłam. Żałuję wielu rzeczy. Ale najbardziej żałuję tego, że nie mogę cofnąć czasu.

Anna Willis

*Pełniąca obowiązki dyrektora hotelu Bay View,
wyspa Rum*

PS Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Davidem. Proszę, powiedzcie jego rodzinie, że był cudownym człowiekiem, dobrym i zabawnym, i bardzo go lubiłam. Proszę, zapewnijcie ich, że jego śmierć była szybka i bezbolesna.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 2

Anna

TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Niedziela, 25 lutego

Nastrój w samochodzie jest zupełnie inny niż w piątek. W drodze do Brecon Beacons rozmowy i śmiech były tak głośne, że nie słyszałam radia. Kiedy powiedziałam im, że w lutym czeka nas weekendowy wyjazd integracyjny, kręcili nosem i marudzili, ale większość z nich odzyskała dobry humor, gdy tylko wsiedli do samochodu. Teraz, w drodze powrotnej do Londynu, są przygnębieni – fizycznie i psychicznie wykończeni i – prawdopodobnie skacowani. Siedzący obok mnie na miejscu pasażera Mohammed chrapie w najlepsze. Peter, który wczoraj przy kolacji rozbawiał wszystkich, parodiując Michaela Mackintosha, teraz siedzi z głową opartą o szybę i kurtką zarzuconą na ramiona. Obok niego Freddy Laing drzemie ze słuchawkami na uszach i z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wątpię, czy pamięta, co powiedział o mnie wczoraj wieczorem. Wiem, że był pijany, wszyscy byli pijani, ale to nie tłumaczy tego, co mówił, kiedy myślał, że poszłam spać.

•••

– Nie wierzę, że ubiega się o stanowisko dyrektora do spraw marketingu. Nie ma szans.

Głos Freddy’ego niósł się przez hotelowy hol aż do biurka, przy którym czekałam zniecierpliwiona, aż recepcjonistka wymieni moją uszkodzoną

kartę do pokoju. Od razu wiedziałam, że mówi o mnie. Helen Mackesy, dyrektorka do spraw marketingu, została podkupiona przez konkurencję i zwolnił się etat. Byłam idealną kandydatką na to stanowisko. Niestety, Phil Acres, kierownik działu promocji i marketingu, przebąkiwał, że również jest zainteresowany.

– Laska nie ma pojęcia o e-marketingu – ciągnął Freddy. – Siedzi na swoim stanowisku od tylu lat, że chyba zapuściła korzenie.

Rozległ się niski śmiech, prawdopodobnie Mohammeda. Wiedziałam, że to nie Peter, który miał czterdzieści lat, o osiem więcej niż ja, i zwykle trzymał się na uboczu. Mohammed i Freddy byli w podobnym wieku – mieli po dwadzieścia pięć lat – i siedzieli razem w pracy. Więcej gadali, niż pracowali, ale nigdy ich nie uciszałam. Byli profesjonalistami, nie dziećmi. Dopóki robili, co do nich należy, i nie przeszkadzali innym, udawałam, że niczego nie widzę.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Freddy parsknął śmiechem.

– Reklama na MySpace! Zajebiste! Taaa, pewnie próbowała wmówić Timowi, że blogi są kolejnym krokiem milowym, jeśli chodzi o marketing w mediach społecznościowych. Blogi na GeoCities!

Znowu ten zimny, okrutny, kpiący śmiech. Poczułam ucisk w żołądku. Ciężko pracowałam na to, żeby być tu, gdzie jestem. Po egzaminach końcowych w liceum rozpaczliwie chciałam studiować projektowanie, ale nie było nas na to stać. Mama pracowała na dwa etaty i przyszedł czas, żebym zaczęła pomagać jej finansowo. Byłam jej to winna. Po dziesiątkach rozmów kwalifikacyjnych i dwóch latach pracy w hotelowym barze w końcu zaproponowano mi stanowisko asystentki do spraw marketingu w firmie software'owej. Moja szefowa, Vicky, była fantastyczna. Wzięła mnie pod swoje skrzydła i nauczyła wszystkiego, co sama wiedziała. To było dwanaście lat temu, w czasach, gdy e-marketing zaczynał dopiero raczkować, ale pokochałam tę pracę. I nadal ją kocham.

– Panno Willis! – zawołała recepcjonistka, kiedy przecinałam hol, czując, jak krew dudni mi w uszach. – Panno Willis, pani karta!

Usłyszałam okrzyk zdumienia, skrzypienie gumowych podeszew na płytkach i kolejną salwę śmiechu. Kiedy dotarłam do salonu hotelowego, po Freddy'ym i Mo nie było już śladu.

• • •

Mohammed prycha przez sen, wyrывая mnie z zamyślenia; skupiam się na mokrej, lśniącej drodze. Mżawka, która osiadała nam na włosach i twarzach, kiedy po ósmej rano ruszaliśmy w drogę, zmieniła się w grad. Wycieraczki pracują jak szalone, piszcząc za każdym razem, kiedy przesuwają się w lewo. Niebo jest czarne jak atrament i widzę tylko czerwono-pomarańczową smugę świateł samochodu, który jedzie przed nami. W końcu wjeżdżamy na M25. Niedługo będziemy w Londynie. Podrzucę chłopaków na stację metra i pojedę do domu. Nie wiem tylko, czy tego chcę.

Pisk. Świst. Pisk. Świst.

Wycieraczki pracują do rytmu z moim pulsem. Wypiłam za dużo kawy i mam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi za każdym razem, gdy przypominam sobie wczorajsze słowa Freddy'ego. Po tym, jak wyszedł z salonu hotelowego, napędzana złością i oburzeniem szukałam go na parterze, ale w końcu dałam sobie spokój i wróciłam do pokoju, żeby zadzwonić do Alexa, mojego chłopaka.

Nie odebrał po pierwszym sygnale. Ani po drugim. Nie przepada za rozmowami telefonicznymi, ale chciałam usłyszeć jego ciepły głos. Potrzebowałam, żeby ktoś mi powiedział, że wcale nie jestem taka zła, że znam się na tym, co robię, i że wszystko będzie dobrze. Wysłałam mu wiadomość.

Miałam naprawdę kiepski wieczór. Nie musimy rozmawiać długo. Po prostu chcę cię usłyszeć.

Kilka sekund później dostałam odpowiedź.

Sorki, prawie już śpię. Możemy pogadać jutro?

Szorstki ton wiadomości pozbawił mnie resztek wiary w siebie. Ja i Alex oddalaliśmy się od siebie. Czułam to już od jakiegoś czasu, ale byłam zbyt przerażona, żeby podjąć ten temat, bo nie miałam siły naprawiać tego, co się zepsuło, ani głowy do tego, żeby radzić sobie z rozstaniem. Rzuciłam się więc w wir pracy. Czasami zostawałam w firmie dłużej, bo nie mogłam znieść myśli, że po powrocie do domu będziemy siedzieć z Alexem na przeciwnych

końcach kanapy, ignorując dzielącą nas przestrzeń, ale czując jej ciężar – tak wielki i prawdziwy, jakby była żywym człowiekiem.

• • •

Może nie powinnam startować na stanowisko dyrektora do spraw marketingu. Może powinnam rzucić pracę, zostawić Alexa i przeprowadzić się na wieś. Mogłabym pracować jako wolny strzelec, kupić małą chatkę i psa, chodzić na długie spacery i wypełniać płuca czystym powietrzem. Zdarzają się dni w firmie, kiedy czuję, że nie mogę oddychać, i to nie tylko przez smog. Na szczycie drabiny powietrze jest rzadsze, a ja trzymam się jej, przerażona, że mogłabym spaść. Gdyby tak się stało, Freddy byłby przeszczęśliwy.

Pisk. Świst. Pisk. Świst.

Do. Domu. Do. Domu.

Kulki gradu, coraz większe, odbijają się od przedniej szyby i spadają z maski samochodu. Podskakuję jak oparzona na czyjeś chrapnięcie, zaraz jednak znowu robi się cicho. Od jakiegoś czasu jadę za tym samym samochodem i utrzymujemy stałą prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Jest zbyt niebezpiecznie, żeby wyprzedzać, a poza tym czerwone światła przeciwmgielne widoczne z bezpiecznej odległości działają na mnie uspokajająco.

Pisk. Świst. Pisk. Świst.

Do. Domu. Do. Domu.

Słyszę przesadnie głośne ziewnięcie. To Freddy przeciąga się z ramionami nad głowę i przez chwilę się wierci.

– Anno? Możemy się zatrzymać na stacji benzynowej? Muszę skoczyć do kibelka.

– Dojeżdżamy do Londynu.

– Możesz zmniejszyć ogrzewanie? – prosi, kiedy odrywam wzrok od lusterka wstecznego i spoglądam na drogę. – Pocę się jak świnia.

– Nie mogę. Nie działa nawiew na przednią szybę i wszystko paruje.

– No to otworzę okno.

– Nie, Freddy!

Czuję, jak ogarnia mnie wściekłość, kiedy pochyla się i sięga do przycisku opuszczania szyby.

– Zostaw to, Freddy!

Wszystko dzieje się w mgnieniu oka. W jednej chwili przede mną jest samochód i ciepła, pokrzepiająca czerwień tylnych świateł, a zaraz potem samochód znika. Jest tylko świetlna smuga i ryk klaksonu – gwałtowny i rozpaczliwy. Jakaś siła ciska mną w lewo, kiedy auto przewraca się na bok, i słyszę tylko chrzęst gniecionej blachy, szczęk tłuczonego szkła i krzyk. Potem nie słyszę już nic.

Rozdział 3

DWANAŚCIE GODZIN PO WYPADKU

Ktoś jest w pokoju. Oczy mam zamknięte, ale wiem, że nie jestem sama. Czuję ciężar czyjegoś spojrzenia, jest jak ukłucie na skórze. Na co czekają? Aż otworzę oczy? Chcę to zignorować i na powrót zapaść w sen, ale żołądek podchodzi mi do gardła, a skóra wydaje się dziwnie napięta. Chce mnie skrzywdzić. Wrogość przykuwa mnie do łóżka niczym łańcuch. Muszę się obudzić. Muszę wstać i uciec.

Ale nie mogę się poruszyć. Coś ciąży mi na piersi i przygważdża mnie do łóżka.

– Anno? Anno, słyszysz mnie?

Głos pojawia się w mojej świadomości i zaraz później znika.

Tak! – mówię, lecz głos rozbrzmiewa wyłącznie w mojej głowie. Nie mogę poruszać ustami. Nie mogę zmusić się do mówienia. Mogę jedynie poruszać oczami.

Ktoś idzie w moją stronę, czuję na sobie spojrzenie zimnych, niebieskich oczu. Nie widzę rysów, nosa ani ust, znajomej topografii twarzy, tylko napiętą, gładką skórę.

– Nie bój się.

Podchodzi bliżej – urywane ruchy, jak w stop-klatce – ruch, bezruch, ruch, bezruch. Coraz bliżej. Zaciskam powieki. To nie dzieje się naprawdę. To sen. Muszę się obudzić.

– Właśnie tak, Anno. Zamknij oczy i zaśnij. Nie walcz z tym. Zapomnij o bólu i poczuciu winy.

Ja śnię. To musi być sen. Jest jednak zbyt realny. Widziałam przecież niebieskie zasłony zawieszane na białym stelażu wokół mojego łóżka, biały

koc i rysującą się pod nim wypukłość moich stóp.

Nie! Nie! Przestań!

Krzyczę, ale głos nie opuszcza mojej głowy. Nie mogę się ruszać. Mogę tylko wściekle mrugać – wysyłać milczący sygnał SOS – kiedy czuję, jak ktoś chwyta mnie za nadgarstek. Zamierza mnie skrzywdzić, a ja nie mogę zrobić nic, żeby go powstrzymać.

– Otwórz oczy, Anno. Wiem, że mnie słyszysz. Anno, otwórz oczy.

• • •

Alex?

Jest obok mnie, twarz ma ściągniętą ze zmartwienia, oczy podkrążone, a na brodzie i policzkach widać kilkuniedniowy zarost.

– Anno?

W grzbiet dłoni mam wbitą igłę. Alex bierze mnie za rękę i kciukiem delikatnie kreśli okręgi na mojej skórze. Ostry ból niczym strzała mknie w górę ramienia.

Przestań. Słowo pozostaje wyłącznie w mojej głowie. Dlaczego nie mogę mówić? Ogarnia mnie fala paniki.

– Odpoczywaj, odpoczywaj. – Alex kładzie mi rękę na ramieniu i przytrzymuje na łóżku.

Alex? Gdzie ja jestem?

Z parawanu otaczającego łóżko zwisa niebieska zasłona, a biały koc jest jak kokon, który uniemożliwia poruszanie się. Na końcu łóżka widzę niewielki pagórek moich stóp. Czy nadal śpię? To nie pozbawiony twarzy nieznajomy zaciska palce na moim nadgarstku, tylko Alex. Skupiam się na swojej dłoni i napinam mięśnie przedramienia. Palce przykurczają się i czuję pod opuszkami miękkość skóry. A więc nie śpię, jestem świadoma.

– Już dobrze – mówi Alex, myląc ulgę w moich oczach ze strachem. Ostrożnie przysiada na łóżku, uważając na moje nogi. – Nie próbuj mówić. Miałaś wypadek. Jesteś w szpitalu Royal Free w Hampstead. Miałaś krwotok wewnętrzny i przeszłaś operację. Musieli... – dotyka szyi – ...musieli podłączyć cię do respiratora. Lekarze mówią, że przez kilka dni może boleć cię gardło,

ale wyzdrowiejesz. To pieprzony cud, że... – Przełyka z trudem ślinę i odwraca wzrok.

Przeżyłam?

Wspomnienie wraca nagle i z siłą wielkiej ciężarówki wbija się w mój umysł. Zamykam oczy i próbuję odsunąć to wspomnienie, ale nie znika. Byłam w samochodzie. Prowadziłam, padał grad, wycieraczki chodziły w tę i we w tę, w tę i...

Podnoszę ręce i zakrywam twarz, kiedy ciężarówka wbija się w bok samochodu. Pas bezpieczeństwa wrzyna mi się w obojczyk i pierś, gdy szarpnięcie wyrywa mnie do przodu, a zaraz potem obracam się i wiruję, uderzam głową w kierownicę, zagłówek i szybę. Wyciągam ręce, próbując się czegoś pochwycić, szukam zaczepienia, żeby przygotować się na siłę uderzenia. Nic. Wszyscy krzyczą, a ja mogę się tylko modlić.

– Anno, proszę.

Mam mglistą świadomość, że ktoś chwytą mnie za łokcie i ciągnie za ręce, żeby odsunąć je od twarzy.

– Przestań, Anno. Proszę. Przestań krzyczeć.

– Anno? Anno, jestem Becca, pielęgniarka.

Ktoś dotyka moich palców zaplątanych we włosy. Zaciskam je jeszcze bardziej. Nie puszczę. Nie mogę.

– To moja wina? – Głos Alexa pojawia się w mojej głowie i zaraz znika. – Nie powinienem był mówić jej o wypadku. Kurwa. Czy ona przestanie? To naprawdę... Nie mogę... Nie wiem...

– Już dobrze. Już dobrze. Jest zdezorientowana. Jedna z pielęgniarek mówiła, że kiedy obudziła się po operacji, zachowywała się agresywnie. – Ktoś znowu ciągnie mnie za ręce. Czuję zapach kawy. – Anno, kochanie. Boli cię? Możesz otworzyć oczy? Proszę?

– Czemu ona tak krzyczy? Nie może pani czegoś...

– Może pan wcisnąć przycisk alarmowy?

– Przycisk alarmowy? Czemu? Co się...

– Chcę, żeby obejrzał ją lekarz. Może pan wcisnąć...

– Wyjdzie z tego? Spojrzała na mnie. Próbowwała coś powiedzieć. Myślałem...

– Anno. Anno, możesz otworzyć oczy? Nazywam się Becca Porter. Jestem pielęgniarką. Leżysz w szpitalu. Boli cię coś?

– Przepraszam. Proszę poczekać za parawanem. Jestem doktor Nowak. Dziękuję. A więc kogo my tu mamy?

– Anna Willis. Wypadek drogowy. Uszkodzona śledziona. Obudziła się po operacji, narządy wewnętrzne w porządku. Spała przez ostatnią godzinę. Kilka minut temu usłyszałam, jak krzyczy, i...

– Dobrze. Anno, obejrzę twój brzuch, zgoda? Kiedy naciskam tutaj, boli?
Nie. Tam nie boli. Boli tutaj, w głowie.

• • •

Wiem, że gdzieś tutaj są pielęgniarki – słyszę ciche skrzypienie butów na linoleum – ale nikogo nie widzę. Mam wrażenie, że całą wieczność rozglądam się po sali. Większość pacjentów śpi, czyta albo ogląda filmy na iPadach. Wszyscy poza młodą kobietą z naprzeciwka, która nie śpi i wydaje się niespokojna. Jest młodsza ode mnie, dobiega trzydziestki, ma pociągłą twarz i ciemne włosy upięte niedbale w kok na czubku głowy. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy, uśmiechnęłyśmy się do siebie i skinęłyśmy sobie głowami, a zaraz potem odwróciłyśmy wzrok. Ale co jakiś czas zerkamy na siebie i coraz bardziej mnie to krępuje. Gardło mam dalej zbyt obolałe, żeby powiedzieć cokolwiek głośniej, a żeby z nią porozmawiać, musiałabym podnieść głos. Mimo wszystko czuję, że powinnam przeprosić. Pewnie była tu zeszłej nocy, kiedy darłam się wniebogłosey. Musiała się nieźle wystraszyć. Wszyscy musieli się wystraszyć. Nie wiedziałam nawet, co się dzieje, dopóki pielęgniarka, Becca, nie obudziła mnie, żeby zmierzyć mi ciśnienie i zapytać, jak się czuję. Po tym, jak podali mi środki uspokajające, zawieźli mnie na rezonans, bo bali się, że operacja się nie udała i znowu mam krwotok. Niewiele pamiętam, tylko biały sufit upstrzony światłami, które przemykały mi nad głową, kiedy wieźli mnie w głąb korytarza, i niskie buczenie rezonansu. Najwyraźniej Alex czekał w szpitalu do końca badania, a gdy upewnił się, że nic mi nie będzie, posłuchał pielęgniarki i wrócił do domu, żeby się zdrzemnąć.

Podziękowałam Becce za opiekę i przeprosiłam, że krzyczałam, chociaż pamiętałam wszystko jak przez mgłę. Przez cały czas miała przyklejony do twarzy miły uśmiech, ale kiedy zapytałam o swoich kolegów z pracy, mina jej zrzędała.

– Nie jestem pewna – odparła. – Wiem, że kierowca ciężarówki trafił do innego szpitala, ale nie mam informacji o twoich kolegach. Spróbuję się czegoś dowiedzieć, dobrze?

Później już jej nie widziałam. Następnym razem ciśnienie mierzyła mi inna pielęgniarka. Poinformowała mnie, że Becca skończyła zmianę i wróci dopiero jutro. Ją też zapytałam, czy wie, co się stało z pozostałymi pasażerami. Odparła, że nie wie, ale zapyta. Kiedy zobaczyłam ją następnego dnia rano, powiedziała, że przeprasza, ale nie miała czasu dowiedzieć się czegoś więcej. Dodała, że niedługo przyjdzie lekarz, który na pewno odpowie na moje pytania. Wtedy zaczęłam panikować. Gdzie byli Freddy, Peter i Mohammed? Leżeli w innej sali? A może ich obrażenia nie były takie poważne? Może wyszli z wypadku bez szwanku, przeszli w szpitalu serię badań i wrócili do domu. Ale... Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy przypomniałam sobie słowa Alexa o tym, że to cud, że przeżyłam.

Słyszę poskrzypywanie kółek na linoleum i odwracam głowę. W drzwiach pojawiła się pielęgniarka z wózkiem.

– Przepraszam. Siostró. – Podnoszę rękę i macham, ale ona nie patrzy w moją stronę, a mój głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. Zrozpaczona, odprowadzam ją wzrokiem, kiedy skręca w lewo i idzie dalej.

– Przepraszam! Siostró! – Kobieta w łóżku naprzeciwko krzyczy tak głośno, że wszystkie głowy, również pielęgniarki, odwracają się w jej stronę. Wskazuje na mnie, kiedy pielęgniarka podchodzi, wciąż pchając przed sobą wózek. – Ta pani czegoś potrzebuje.

Uśmiecham się z wdzięcznością i próbuję usiąść, lecz czuję się, jakby ktoś pociął mi mięśnie brzucha, i jedyne, co mogę zrobić, to delikatnie wyciągnąć szyję.

– Wszystko w porządku? – Dopiero teraz widzę, że to Becca, ta, która wczoraj była dla mnie taka miła.

– Proszę – mówię błagalnym głosem. – Odchodzę od zmysłów. Muszę wiedzieć, co się stało z moimi kolegami... z ludźmi... którzy byli ze mną w samochodzie. Muszę wiedzieć, czy nic im nie jest.

Mam wrażenie, że gdy na mnie patrzy, jej oczy zachodzą mgłą. Są jak okiennice, za którymi ukrywa to, co czuje, żebym nie musiała tego oglądać. Spuszcza wzrok na zegarek, który ma przyczepiony do fartucha.

– Twój chłopak przyjedzie za mniej więcej półtorej godziny. Myślę, że lepiej będzie, jeśli on...

– Proszę – błagam. – Proszę, powiedz mi. To zła wiadomość, tak? Możesz mi powiedzieć. Jakoś to zniosę.

Patrzy na mnie, jakby wątpiła, czy rzeczywiście to zniosę, po czym wzdycha i bierze płytki oddech.

– Jeden z twoich kolegów jest w naprawdę ciężkim stanie – mówi cicho. – Ma złamany kark w kilku miejscach.

Zakrywam usta dłonią, próbując stłumić krzyk. Na próżno.

– Ale jego stan jest stabilny – dodaje Becca. – Powinien dojść do siebie.

– Który?

Becca krzywi się, najwyraźniej już żałuje, że zaczęła ze mną rozmawiać. A może to poufne informacje.

– Proszę. Powiedz mi, który.

– Mohammed Khan.

– A pozostali? Peter Cross? Freddy Laing?

Kiedy spuszcza wzrok, łzy napływają mi do oczu. Nie. Nie. Proszę. Proszę, niech oni... proszę...

Becca bierze mnie za rękę i mocno ściska.

– Tak mi przykro, Anno. Robiliśmy, co w naszej mocy.

Rozdział 4

Mohammed

Umysł Mohammeda jest szary i mętny, jak gdyby jego żyły i naczynia włosowate nie przewodziły środków przeciwbólowych, lecz gęstą, ciemną mgłą. Mohammed lubi tę mgłę, bo nie tylko uśmierza ból w jego ciele, ale też wprawia w otępienie mózg. Za każdym razem, gdy próbuje uczepić się jakiegoś uczucia – złości, żalu, strachu – te odpływają w oparach mgły. Jako nastolatek zmagający się z burzą hormonów i widmem egzaminów, spoglądał tęsknie na swojego psa, Sonica, który leżał skulony na podłodze obok biurka, i żałował, że nie mogą zamienić się miejscami. Zastanawiał się, jak by to było być psem, znajdować przyjemność w zwykłych rzeczach – jedzeniu, zabawie, czułości – i nie nabijać sobie głowy myśleniem o przyszłości, śmierci, naturze nieskończonego wszechświata, globalnym ociepleniu, wojnach i chorobach. Psu niewiele potrzeba do szczęścia – wystarczyło bieganie po dworze, ganiecie za piłką i drapanie się za uszami. A jemu? Musiał mieć towarzystwo kumpli, przesiadywać do późna, oglądać filmy, grać na PlayStation. Psy żyły chwilą – on nie. Uczył się do egzaminów, których wyniki miały zaważyć na jego przyszłości.

Teraz czuje się trochę jak Sonic. Leży i nie myśli, tylko czeka, chociaż sam właściwie nie wie, na co. Dostrzega kątem oka ruch i odwraca głowę. Nie rozpoznaje stojącego w drzwiach niskiego mężczyzny w średnim wieku i garniturze, ale przygląda mu się i zauważa, jak tamten ściąga brwi i przebiega wzrokiem leżące na wznak ciała na metalowych szpitalnych łózkach. To odwiedzający, który szuka kogoś bliskiego. Lekarze specjaliści wyglądają na pewnych siebie, kiedy wchodzą na oddział. W mglistych oparach myśli Mohammeda pojawiają się dwa nowe uczucia, które zamiast

zniknąć, splatają się, wnikają w jego pierś i owijają wokół serca. Rozczarowanie i żal.

Odwraca głowę od drzwi i zamyka oczy, jednym uchem słuchając plaskania skórzanych podeszew na wyłożonej linoleum podłodze; ten dźwięk tak bardzo różni się od miękkich kroków pielęgniarek. Przybiera na sile, a zaraz potem słycać kasznięcie.

– Mohammed?

Mohammed otwiera oczy. Niski mężczyzna w garniturze stoi w nogach jego łóżka. Ręce trzyma w kieszeniach, a na jego twarzy malują się niepokój i determinacja. W wydatnym nosie i silnej szczęce jest coś znajomego, ale Mohammed jest zbyt zmęczony, by dociekać, co to takiego.

– Tak, to ja – mówi. – Kim pan jest?

– Mogę...? – Mężczyzna wskazuje stojące obok łóżka krzesło, a on, nie widząc powodu, dla którego miałby mu odmówić, kiwa głową.

– Steve – przedstawia się nieznajomy. Podciąga nogawkę spodni z grubego materiału i siada. Jest przysadzisty; bardziej umięśniony niż gruby, myśli z goryczą Mohammed i odruchowo zerka na własne nogi owinięte szpitalną kołdrą. – Steve Laing, ojciec Freddy’ego.

Mohammed patrzy na niego zdumionym wzrokiem. Przez parę sekund ma kompletny mętlik w głowie. Powiedzieli mu, że Freddy zginął w wypadku. Po co więc Steve Laing miałby przychodzić do szpitala? Chyba że... W jego sercu pojawia się promyk nadziei... Chyba że Freddy wcale nie zginął. Czy lekarze mogli się pomylić? Czy on mógł się pomylić? Może był zbyt otumaniony i źle zrozumiał słowa pielęgniarki. Może...

Nadzieja rozwiewa się, pozostawiając w piersi Mohammeda pustą rozpadlinę. Nikt się nie pomylił. Pamięta, jak płakał, kiedy się dowiedział. Przez długi czas nie mógł się uspokoić. Płakał nie tylko nad Freddyem i Peterem, ale też nad sobą.

– Przyniosłem ci czasopisma – mówi Steve Laing. Sięga do torby i kładzie na stoliku stos magazynów filmowych i muzycznych, a także batonik Galaxy, paczkę skittlesów i żelki. – Czekoladki i takie tam.

– Dzięki.

Patrzą na siebie na tyle długo, że sytuacja robi się niezręczna. W końcu ojciec Freddy'ego spuszcza wzrok i opiera dłonie na kolanach.

– Dobrze cię widzieć w takim... – Kręci gwałtownie głową i spogląda na Mohammeda. – Nie, wybaczone, stary. Mógłbym ci wciskać kit o tym, jak dobrze wyglądasz i tak dalej, ale to nie w moim stylu. Mówię, jak jest. Zresztą pewnie masz dość tego, że wszyscy chodzą wokół ciebie na paluszkach i powtarzają ci, żebyś myślał pozytywnie. – Milknie, lecz nie na tyle długo, by Mohammed zdążył cokolwiek powiedzieć. – Prawda jest taka, że to, co się stało z tobą, Peterem i moim Freddyem, to pieprzona farsa. Tragedia. To nie powinno być się wydarzyć, Mo. Nie powinno się być, kurwa... – Odwraca głowę, gdy łzy napływają mu do oczu.

– Przykro mi – mówi Mohammed przez ściśnięte gardło. – W związku z Freddyem. To był naprawdę świetny gość.

– To prawda. – Steve Laing ociera oczy wierzchem dłoni i patrzy na niego. Usta ma zaciśnięte.

– Ja...

Słowa więzną Mohammedowi w gardle. Chce powiedzieć ojcu Freddy'ego, że stara się nie myśleć o jego synu, bo za każdym razem, gdy wyobraża sobie jego śmierć i uświadamia sobie, że nigdy więcej go nie zobaczy, czuje się, jakby opuszczał własne ciało i wirował tysiąc kilometrów nad ziemią, niezwiązany z niczym ani z nikim, przestraszony i pozbawiony wszelkiej kontroli. To właśnie chce mu powiedzieć, ale tego nie robi. Bo nie mówi się takich rzeczy, zwłaszcza komuś, kogo dopiero poznałeś.

– Nawet nie wyobrażam sobie, jak musi być panu ciężko.

Steve Laing kiwa głową, ból w jego oczach przygasa. Rozmowa wróciła na bezpieczne tory, zwykłą niewinną wymianę uprzejmości.

– Chodzi o to, Mo... Przyszedłem tu po to, żeby zapytać cię, co właściwie się stało. Nie chodzi mi o szczegóły – dodaje pośpiesznie, wyczuwając zakłopotanie młodego człowieka. – Nie chcę, żebyś opowiadał mi o wypadku. Nie, to byłoby okrutne, a ja nie jestem okrutny. Przeżyłeś to raz i nie ma potrzeby, żebyś przechodził przez to znowu. Chyba że... – Urywa.

Serce Mohammeda zamiera w piersi.

– Chyba że co?

– Chyba że będziesz świadkiem w sądzie, ale z tego, co powiedzieli mi twoi rodzice, raczej nie wyjdiesz stąd na czas. – Krzywi się. – Wybacz, stary. Nie chcę być nietaktowny.

– Rozmawiał pan z moimi rodzicami?

– Tak. Twój szef... Tim jakiś tam... skontaktował mnie z nimi. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, oczywiście, że nie.

Po chwili milczenia, która zdaje się trwać całą wieczność, Steve odchrząkuje.

– Próbuję to zrozumieć, Mo. Próbuję pojąć, co się stało. Wiem, że policja prowadzi dochodzenie, ale to moje prywatne śledztwo, dla spokoju ducha.

– Oczywiście.

– Zacznijmy od Anny Willis. Co o niej myślisz?

Mohammed zamyka oczy na ułamek sekundy i zaraz je otwiera.

– Co pan chce o niej wiedzieć?

Steve unosi brwi.

– Wszystko.

Rozdział 5

Anna

TRZY TYGODNIE PO WYPADKU

Środa, 14 marca

W ciągu ostatnich trzydziestu minut cmentarz w sercu West Sussex zmienił się z cichej oazy spokoju w siedlisko smutku i rozpacz. Patrzyłam na siedemdziesięciu, może stu żałobników, wszystkich w czerni, z pochylonymi głowami, spuszczonego wzrokiem i zaciśniętymi ustami, jak szli wysypaną żwirem ścieżką od bramy do otwartych drzwi kościoła. Burczy mi w brzuchu i żeby go uciszyć, przyciskam do niego dłoń zaciśniętą w pięść. Znowu zapomniałam zjeść śniadania.

Po tym, jak pielęgniarka powiedziała mi, że dwóch moich kolegów nie żyje, nie jadłam przez dwa dni. Jak mogłam jeść płatki i popijać herbatę, jak gdyby nic się nie stało? Jak mogłam się śmiać i rozmawiać z pielęgniarkami, kiedy Peter i Freddy leżeli w kostnicy? Zamiast tego płakałam. Płakałam i płakałam, i odwracałam głowę od każdego, kto przychodził mnie odwiedzić. Zaciskałam powieki, żeby nie widzieć twarzy wykrzywionych troską, na którą nie zasługiwałam. Dopiero gdy doktor Nowak zagroził, że jeśli nie zacznę jeść, będą mnie karmić przez rurkę, w końcu zgodziłam się zjeść pół tostu.

– Anno. – Alex dotyka mojego ramienia. – Myślę, że powinniśmy wejść do środka. Zaraz się zacznie.

Droga z mieszkania do samochodu zajęła mi piętnaście minut i teraz, kiedy zaparkowaliśmy, nie chcę wysiadać. W jeździe samochodem przeraża mnie wszystko: ruch, bliskość innych samochodów, gwałtowne skręty na rondach. Ze szpitala do domu udało mi się dotrzeć tylko dlatego, że przez całą drogę

miałam zamknięte oczy, a Alex w kółko puszczał moją ulubioną płytę. Kiedy w końcu podjechaliśmy pod dom, czubki palców miałam czerwone i zdrętwiałe, tak mocno ścisnęłam pas bezpieczeństwa. Teraz przyciskam gorący policzek do chłodnej szyby, ale to nie przynosi ulgi obolałym trzewiom, które podchodzą mi do gardła.

– Nie mogę tam iść, Alex. Co ja... Co mam powiedzieć jego rodzicom?

– To, co zwykle mówią ludzie w takich sytuacjach. Przykro mi z powodu państwa straty i tak dalej, i tak dalej... albo w ogóle nic nie mów. Dzwoniłaś do nich tydzień temu. Nie musisz znów przez to przechodzić.

Potrzebowałam dwóch dni, żeby zebrać się na odwagę i zadzwonić do Maureen i Arnolda Crossów. Byłam szefową Petera. Musiałam z nimi porozmawiać. Ale przecież prowadziłam samochód, który dachował na autostradzie M25 i w którym zginął ich syn. Gdybym była skupiona jak należy, gdybym patrzyła w boczne lusterka zamiast spoglądać na Freddy'ego we wstecznym, zobaczyłabym półtonową ciężarówkę zjeżdżającą wprost na nas z sąsiedniego pasa. Zdążyłabym zareagować. Peter nadal by żył. Gdybym pozwoliła Freddy'emu otworzyć okno, a złość o to, co powiedział poprzedniego wieczoru, nie przyćmiłaby mi umysłu, życie trzech osób i wszystkich tych, którzy je kochali, nie ległoby w gruzach.

Telefon odebrał przyjaciel rodziny państwa Crossów. Powtórzył na głos moje imię i nazwisko, jakby mnie anonsował. Nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszałam cichy kobiecy głos: „Nie chcę z nią rozmawiać”. Kiedy zaraz potem starszy mężczyzna rzucił: „Ja to zrobię”, ze strachu zrobiło mi się słabo. Ojciec Petera. Po tym, jak powiedział: „Halo”, przez kilka sekund nie mogłam wydusić słowa, tak bardzo miałam ściśnięte gardło. „Przepraszam – powtarzałam w kółko. – Tak bardzo, bardzo mi przykro. Nigdy sobie nie wybaczę”. Cisza, która nastąpiła później, ciągnęła się w nieskończoność, a ja przygotowywałam się na wybuch wściekłości. Zasługiwałam na nią. Tymczasem mężczyzna powiedział tylko: „Tęsknimy za nim”. Na dźwięk tych słów łzy popłynęły mi po policzkach. „Oboje za nim tęsknimy – dodał. – Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, myślimy, że to on. Że martwi się rwą kulszową Maureen albo chce się mnie poradzić w sprawie ogrodu. Czasami...” Głos mu się załamał, odchrząknął więc i głośno wydmuchał nos. „Podobno

kobieta, która prowadziła ciężarówkę, zasnęła za kierownicą. Nie była pod wpływem alkoholu ani narkotyków. Po prostu zasnęła na niecałe trzydzieści sekund. Niech mi pani powie, że Peter nie cierpiał – błagał. – Tylko tyle, proszę”.

– Anno. – Alex szturcha mnie delikatnie. – Słyszałaś, co powiedziałem?

– Nie, przepraszam. Ja...

– Oni nie winią cię o to, co się stało. Nikt cię nie wini.

– Ojciec Freddy’ego.

– Był zły. Właśnie zginął jego syn. Wybacz – przeprasza pospiesznie, kiedy gwałtownie odwracam się w jego stronę. – Wiem, wiem.

Po rozmowie z ojcem Petera nie byłam w stanie wykonać drugiego telefonu, więc do Steve’a Lainga zadzwoniłam dopiero następnego dnia. Ręka wciąż mi drżała, kiedy sięgałam po telefon, ale nie byłam już taka przerażona jak poprzednio. Wiedziałam, czego się spodziewać – bólu, smutku, rozpacz i niedowierzania – dlatego postanowiłam, że tym razem powiem kilka słów pocieszenia – o tym, jak lubiany był Freddy, o jego osiągnięciach – i że będę cierpliwie odpowiadała na pytania Steve’a Lainga.

Tyle że ojciec Freddy’ego nie był taki jak Arnold Cross. Gdy się przedstawiłam, naskoczył na mnie. Jak śmiem wydzwaniać do niego w takiej chwili?! To przez moje zaniedbanie zginął jego syn, moje i firmy, w której pracuję. Czy mam dzieci? Czy mam pojęcie, przez jakie piekło przechodzi rodzic, który przeżył własne dziecko? Próbowałam przeprosić, ale nie dopuścił mnie do słowa. Czy kiedykolwiek wcześniej prowadziłam samochód w takich warunkach? Czy mam jakieś punkty karne? Czy zatrzymywano mnie za przekroczenie prędkości i czy składałam wnioski o odszkodowanie w ubezpieczalni? Mogłam tylko gapić się w biel ściany przede mną, podczas gdy on ciskał gromy i przelewał na mnie złość i żal.

Do Mohammeda i jego rodziców nie zadzwoniłam. Jeszcze w szpitalu zapytałam pielęgniarkę, czy mogłabym wziąć wózek i pojechać go odwiedzić, ale odparła, że Mo nie życzy sobie żadnych gości. Kiedy kilka dni później zapytałam ponownie i powiedziano mi, że Mo nie chce mnie widzieć i lepiej będzie, jeśli nigdy więcej nie poruszę tego tematu.

– Prokuratura nie wniesie oskarżenia przeciwko tobie – mówi teraz Alex. – Szukają haka na kobietę, która jechała ciężarówką.

– Ale może Steve Laing miał rację. Nigdy wcześniej nie jechałam autostradą na oblodzonej drodze i...

– Wracamy do domu. – Alex uruchamia silnik. – Przyjazd tutaj był błędem.

– Nie! – Chwytam dłonią kierownicę. – Muszę to zrobić.

• • •

W ławkach nie ma już miejsc, więc stoimy ściśnięci w tłumie na tyłach kościoła. Alex napiera na moje prawe ramię, a wysoki, łysy mężczyzna bez przerwy trąca mnie w lewe. Mimo pomarańczowego blasku piecyków gazowych, które ustawiono z tyłu, ludzie z przodu są okutani w czapki, palta i szaliki. Tim, mój szef, siedzi w jednej z ostatnich ławek, ale to od kobiety w pierwszym rzędzie nie mogę oderwać wzroku. Widzę tylko tył jej siwej głowy, a ponieważ opiera ją na ramieniu siedzącego obok mężczyzny, domyślałam się, że to matka Petera. Znowu ogarnia mnie poczucie winy i czuję pod powiekami palące łzy. To przeze mnie jesteśmy tu dziś i to przeze mnie Peter...

Na moją twarz pada cień i czuję, jakby całe powietrze uleciało mi z płuc. W drzwiach kościoła pojawia się trumna niesiona wysoko na ramionach sześciu posępnych mężczyzn. Wszelkie poszeptywania milkną, jak gdyby ktoś nagle wyłączył głos. Alex ściska moją dłoń i robi krok w tył, pociągając mnie za sobą. Chcę patrzeć na niego, pod nogi, wszędzie, byle nie na lśniąca drewnianą skrzynię, która zdaje się przepływać obok mnie; nie pochylam jednak głowy ani nie spuszczam wzroku. Muszę stawić czoło złu, jakie wyrządziłam. Jestem to winna Peterowi. Ale moja odwaga nie trwa długo. Z chwilą gdy niosący trumnę skręcają w nawę główną, nogi uginają się pod mną.

– Muszę stąd wyjść – mówię do Alexa, szlochając. – Muszę zaczerpnąć powietrza.

– Pójdę z tobą.

– Nie. – Dotykam jego ramienia. – Zaraz wrócę. Po prostu muszę побыć chwilę sama.

Puszcza mnie, lecz czuję na sobie ciężar jego spojrzenia, kiedy mijam go i zaczynam przeciskać się między żałobnikami.

• • •

Na zewnątrz mimo marcowego chłodu zdejmuję czapkę, kurtkę i szalik, w których się duszę. Oddycham głęboko, wypełniając płuca zimnym powietrzem i pozbywając się wilgotnego, pełnego smutku zapachu kościoła. Ściska mnie w żołądku, czuję na języku smak żółci i przez upiorną chwilę myślę, że zwymiotuję. Oddycham płytko, walcząc z torsjami, i patrzę w bezchmurne szare niebo, czekając, aż miną. Potem ruszam przed siebie. Podchodzę do kolejnych nagrobków, czytam inskrypcje z nazwiskami i datami, zauważam kwiaty albo ich brak. To tylko częściowo odwraca moją uwagę. Za każdym razem, gdy mijam grób kogoś, kto umarł młodo, czuję się zagubiona we mgle smutku i żalu. Jeden grób szczególnie mnie zasmuca. Na nagrobku widnieją imiona i nazwiska mężczyzny i kobiety – Johna i Elizabeth Oakesów. On zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat w 1876 roku, ona dwadzieścia lat później w wieku siedemdziesięciu sześciu lat. Poniżej widnieją imiona ich dzieci – Alberta, Emily, Charlotte, Edwarda, Marthy i Thomasa. Sześcioro dzieci i żadne z nich nie dożyło piątych urodzin. Grób jest stary i zaniedbany; imiona dzieci porosły mchem, a strzegący go anioł niszczeje. Rysy jego twarzy zatarły się z czasem. Patrzę na zmarzniętą zimną ziemię wokół grobu, szukając stokrotek albo mleczy, z których mogłabym zrobić bukiet i związać go źdźbłami trawy. Moją uwagę przykuwa kępka przebiśniegów rosnących pod drzewem.

Kucam przy nich, chwytam łodyżkę między kciuk a palec wskazujący i zamieram. Ktoś mnie obserwuje. Czuję na sobie spojrzenie, które ciąży mi na barkach i przygniata do ziemi. Odwracam się, spodziewając się zobaczyć fotografa czającego się za którymś z nagrobków albo dziennikarza w czerni z wypisanym na twarzy udawanym smutkiem. Lokalna prasa nęka mnie, odkąd wyszłam ze szpitala.

Ale ktokolwiek mi się przygląda, nie jest zainteresowany rozmową. Dostrzegam tylko skrawek czarnego płaszcza albo kurtki znikający za rogami kościoła. Zostawiam w spokoju przebiśniegi – nagle odstręcza mnie myśl, że miałabym je zerwać i pozostawić, aż zwiędną na grobie – i wracam do kościoła. Kiedy zbliżam się do zasłanego liśćmi przedsionka, drzwi się otwierają i Alex wychodzi przy pierwszych dźwiękach *All Things Bright and Beautiful*.

– Wszystko w porządku? – pyta, patrząc mi w oczy.

– Niezupełnie... Nie.

– Chcesz tam wrócić?

Zerkam w tę stronę, gdzie przed chwilą zniknęła odziana na czarno postać. Nikogo tam nie ma. Tylko rzędy szarych nagrobków – starych i nowych, i... oddech więźnie mi w gardle, kiedy zauważam ją po raz pierwszy: ziejącą w ziemi głęboką dziurę z otaczającym ją zielonym materiałem. Miejsce Petera. Alex odwraca głowę, podążając za moim wzrokiem. Widzę, że drżą mu ręce; przez krótką chwilę myślę, że mnie obejmie. On tymczasem chowa dłonie do kieszeni i dygocze.

– Zimno. Idziemy? – Wskazuje głową parking.

Ostatni raz spoglądam na otwarty grób i w milczeniu kiwam głową, ale Alex jest już w połowie drogi do samochodu.

• • •

Mój chłopak siedzi za kółkiem, pochylony nad telefonem, kiedy chwytam za klamkę drzwi od strony pasażera. Jest pochlapana błotem, podobnie jak cały bok samochodu. Po powrocie do Londynu zapłacę za myjnię. Chociaż tyle mogę zrobić...

Jest tak mały, że prawie go nie dostrzegam.

SEN.

Napisane tuż nad przednim nadkolem, jakby ktoś mokrym palcem wyrył to słowo w zaschniętym błocie.

– Alex. – Gdy pukam w szybę, podnosi wzrok znad telefonu. Na jego twarzy maluje się zaskoczenie, a zaraz potem rozdrażnienie. Przywołuję go

skinieniem jednej ręki, drugą wskazując nadkole. – To dziwne.

Wzdycha i otwiera drzwi.

– O co chodzi? – pyta, wysiadając.

– Ktoś napisał coś na samochodzie.

– Co? – W ułamku sekundy rozdrażnienie ustępuje miejsca wściekłości.

– Nie jest uszkodzony. Ale to dziwne. Spójrz.

Podchodzi do mnie i spogląda we wskazane miejsce.

– SEN? – czyta kompletnie zaskoczony.

– Nie sądzisz, że to dziwne?

– Trochę.

– Jak myślisz, co to znaczy?

Wzrusza ramionami.

– Że jakiemuś nastolatkowi się nudziło? W każdym razie to bardziej oryginalne niż BRUDAS.

– Ale wcale nieśmieszne. Ani... nieważne. – Zerkam w stronę kościoła; znowu mam silne przeczucie, że ktoś nas obserwuje, ale na cmentarzu nie ma nikogo.

– Właśnie. Nie ma się czym przejmować. – Alex podchodzi do drzwi od strony kierowcy i chwyta za klamkę. Kiedy spoglądamy na siebie ponad dachem samochodu, uśmiecha się. – To bzdura, głupi napis, który na pewno nie będzie spędzał mi snu z powiek. – Śmieje się. – Spędzał snu z powiek. Czaisz?

– Tak. – Zaciskam powieki i przez całą drogę powrotną do domu zastanawiam się nad znaczeniem tego jednego słowa: SEN.

Rozdział 6

Anna

OSIEM TYGODNI PO WYPADKU

Czwartek, 26 kwietnia

Czuję się jak balonik na sznurku unoszący się nad chodnikiem. Alex trzyma mnie za rękę, ale nie czuję dotyku jego palców. Nie czuję nic. Ani chodnika pod stopami, ani wiatru na twarzy, ani nawet własnego zmęczonego oddechu. Tony, mój ojczym, idzie przed nami; wiatr targa jego siwymi włosami, powiewają to w jedną, to w drugą stronę. Czarna marynarka Tony'ego jest zbyt opięta w ramionach, dlatego obciąga ją od czasu do czasu. Kiedy nie jest zajęty poprawianiem jej, ogląda się na mnie przez ramię.

– Wszystko dobrze? – pyta bezgłośnie.

Kiwam głową, chociaż mam wrażenie, że nie patrzy na mnie, ale przeze mnie, i zwraca się do kogoś za moimi plecami. Ledwie rozpoznałam kobietę, która rano patrzyła na mnie z lustra, kiedy wkładała białą bluzkę, szary kostium i czarne szpilki – wszystko leżące przed nią na łóżku. Wiedziałam, że kobieta w lustrze to ja, miałam jednak wrażenie, że patrzę na swoją fotografię z dzieciństwa. Widziałam podobieństwo w oczach, ustach, postawie, ale był między nami jakiś rozdźwięk. Zupełnie jakbym była i jednocześnie nie była sobą. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Podczas gdy skulony obok Alex pochrapywał cicho, tuląc się do poduszki, ja leżałam na plecach i gapiłam się w ciemny sufit. W końcu parę minut po trzeciej zasnęłam, ale nie spałam długo. Obudziłam się z krzykiem o piątej, dysząc i szarpiąc za kołdrę. Znowu snił mi się szpital i przyglądająca mi się, pozbawiona twarzy osoba.

– Wszystko się ułoży, kochanie – uspokaja mnie mama, która drepcze obok mnie. Policzki ma zaróżowione, a cienka skóra wokół jej oczu pokryta jest siateczką zmarszczek. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, wzięła mnie za prawą rękę, a Alex za lewą. Czułam się jak dziecko, które zaraz oderwie się od ziemi, lecz zamiast radości czułam strach. W pewnym momencie mama pewnie mnie puściła, bo teraz ręce trzyma po bokach, a dłonie ma zaciśnięte w pięści.

– Anno. – Jej dłoń w rękawiczce muska rękaw mojej kurtki. – Tu nie chodzi o ciebie, skarbie. To nie ty jesteś sądzona. Jesteś świadkiem. Po prostu powiedz, co się stało.

„Po prostu powiedz”... Sędziemu, ławie przysięgłych, kierowcy ciężarówki, ludziom, prasie, rodzinom i przyjaciółom moich kolegów. Będę musiała stanąć przed nimi wszystkimi i przeżyć na nowo to, co wydarzyło się osiem tygodni temu. Gdybym nie czuła się taka odrętwiała, byłabym przerażona.

• • •

– Anno!

– Tutaj!

– Panie Laing!

– Panie Khan!

Hałas przytłacza mnie, jeszcze zanim zrobią to ciała. Gdziekolwiek spojrzę, widzę ludzi, którzy wyciągają szyje i ręce – niektórzy trzymają mikrofony, inni kamery – i krzyczą. Ojczym otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

– Zróbcie jej trochę miejsca! – Podnosi rękę i odpycha sprzed mojej twarzy kamerę. – Z drogi! Przepuście nas, do cholery, kretyni!

Podczas gdy Tony toruje nam drogę, ja rozpaczliwie szukam wzrokiem mamy i Alexa, którzy utknęli w tłumie przy wejściu do sądu.

– Anno! Anno! – Blondynka po trzydziestce w różowej bluzeczce i czarnej puchowej kamizelce przeciska się w moją stronę i podtyka mi pod nos cyfrowy dyktafon. – Jesteś zadowolona z wyroku? Dwa lata i dwóch twoich kolegów nie żyje?

Patrzę na nią zbyt zszokowana, żeby cokolwiek powiedzieć, ona jednak nie przestaje mnie wypytywać.

– Wrócisz do pracy w Tornado Media? Przyszłaś tutaj ze swoim chłopakiem?

– Podobno nie możesz spać. To prawda? – dopytuje się inny głos.

Odwracam się, żeby zobaczyć, kto zadał to pytanie, ale za plecami mam morze ludzi – dziesiątki mężczyzn w garniturach, fotografów w dżinsach i kurtkach, ciemnowłosą kobietę w jaskrawoczerwonej kurtce, starszą siwą panią z trwałą ondulacją, moją mamę – z czerwonymi policzkami, wyraźnie zaniepokojoną – i stojącą nieco dalej chudą niespokojną sylwetkę mojego chłopaka.

Blondynka po prawej szturcha mnie.

– Anno, czy czujesz się w jakikolwiek sposób odpowiedzialna?

– Że co? – O dziwo, wśród całego tego zgiełku Tony usłyszał jej pytanie. Ktoś wpada na mnie, kiedy mój ojczym zatrzymuje się gwałtownie. – Że co, do cholery?!

Zupełnie jak w filmie, jakby ktoś włączył pauzę. Nagle tłum wokół nas milknie i zamiera w bezruchu.

Blondynka posyła Tony’emu cierpki uśmiech.

– Pan Willis, tak?

– Pan Fielding. A kto pyta?

– Anabelle Chance z „Evening Standard”. Właśnie pytałam pańską córkę, czy w jakikolwiek sposób czuje się odpowiedzialna za to, co się stało.

Skóra nad białym kołnierzykiem koszuli mojego ojczyma robi się purpurowa.

– Żartuje sobie pani? – Tony rozgląda się po twarzach otaczających nas ludzi. – Jak pani może?

– Tylko zapytałam, panie Fielding. Anno – dziennikarka próbuje wcisnąć mi do ręki wizytówkę – gdybyś chciała kiedyś porozmawiać, zadz...

Tony odpycha jej rękę.

– Przekroczyła pani granicę. A teraz niech się pani odsunie, zanim ja panią odsunę.

•••

Mama i Alex otaczają nas jak tarcza ochronna, Alex obok mnie, a mama obok Tony'ego, i razem w pośpiechu oddalamy się od zgiełku i chaosu sali rozpraw.

– Masz chusteczkę, skarbie? – pyta mnie mama, kiedy docieramy do samochodu. – Tusz ci się rozmazał.

Dotykam dłonią policzków i zaskoczona odkrywam, że są wilgotne od łez.

– Tak, ja... – Sięgam do kieszeni żakietu i słyszę cichy szelest paczki chusteczek Kleenex. Ale oprócz nich moje palce natrafiają na coś jeszcze. Coś twardego o ostrych krawędziach. Nie pamiętam, żebym wkładała to do kieszeni rano, kiedy szykowałam się do wyjścia. To pocztówka. Niebieskie tło z białymi literami, które układają się w kształt sztyletu. Te, które tworzą czubek ostrza, są czerwone i pojedyncza kropla krwi skapuje na tytuł: *Tragedia Makbeta*.

– Co to? – pyta mama, kiedy obracam kartkę w palcach.

– Nie wiem. – Kręcę głową.

Na odwrocie dużymi, ozdobnymi literami napisano dwa słowa:

Dla Anny

Patrzę na mamę, na Tony'ego i Alexa.

– Ktoś z was włożył mi to do kieszeni?

Kiedy wszyscy zgodnie kręcą głowami, odwracam pocztówkę i czytam cytat:

Jak gdybym słyszał krzyk:

„Nigdy już odtąd nie zaśniesz!

Makbet morduje sen! – niewinny sen;

Sen, co potrafi rozwikłać splątana

Nić każdej troski, sen, tę cowieczorną

Śmierć dziennych trudów, kąpiel dla znużonych

Mięśni i balsam dla zbolałych myśli,

To drugie danie na stole Natury,

Najposilniejszy składnik ucztę życia...”¹

Pamiętam ten cytat z czasów, gdy przygotowując się do egzaminów, przerabialiśmy *Makbeta*. To Makbet opowiada Lady Makbet o potwornych rzeczach, które się dzieją po tym, jak zamordował króla Duncana.

– Anno? – pyta Alex. – Dobrze się czujesz? Strasznie zbladłaś.

Odwracam się w stronę gmachu sądu i kręcącego się przed wejściem tłumu pozbawionych twarzy ludzi.

– Ktoś włożył mi to do kieszeni.

– Chyba nie ta przeklęta dziennikarka, co? – odzywa się Tony. – Bo jeśli to ona, zadzwonię do jej szefa. Nie pozwolę, żeby cię nękała.

– Pokaż. – Alex zagląda mi przez ramię i patrzy na pocztówkę. – To cytat z Szekspira?

– Tak. Makbet opowiada żonie o głosie, który powiedział mu, że już nigdy nie zaśnie.

– To straszne. – Mama otula się ramionami. – Kto mógł ci podrzucić coś takiego?

– Daj mi to. – Tony wyjmuje mi z dłoni kartkę, drze ją na strzępy i ciska na ziemię. – Już. Po wszystkim. Więcej o niej nie myśl.

W drodze do domu nikt nie wspomina o tym ani słowem, ale cytat z pocztówki ciąży mi na umyśle.

Rozdział 7

Steve

Sobota, 28 kwietnia

Steve Laing pochyla głowę i żegna się, kucając przed grobem syna. Nie jest wierzący, ale czuje, że tak wypada. To oznaka szacunku. Dotyka dłonią płyty nagrobnej, a gdy wodzi palcem po wyciętym w zimnym kamieniu imieniu syna, ma wrażenie, że pierś mu płonie z wściekłości i smutku. Nadal nie może uwierzyć, że ciało Freddy'ego spoczęło dwa metry pod ziemią. To takie nierealne. Jak to możliwe? Freddy był młody, silny, trzy razy w tygodniu chodził na siłownię, a w każdą sobotę grał w squasha. Wprawdzie w dzieciństwie przechodził ospę wietrzną i złamał rękę, kiedy spadł ze zjeżdżalni, ale nie był jednym z tych dzieciaków z parku, którym smarki ciekną z nosa. Był zdrowy i praktycznie nie opuszczał lekcji. Tylko raz Steve musiał zawieźć go na oddział ratunkowy, kiedy chłopak upił się na piętnastych urodzinach kolegi i wpadł na przeszkłone drzwi. Gdy odzyskał przytomność, twierdził, że ktoś dodał mu czegoś do drinka. Steve wiedział, że kłamie – zawsze wtedy dziwnie wykrzywiał usta – lecz podziwiał jego odwagę. Freddy jako gówniarz zawsze próbował wywinąć się od kłopotów. Bywał też głośny i trochę niezdarny. Jego dudniący głos niósł się po całym domu. Steve nie pamiętał już, ile razy krzyczał na niego, żeby „się tak nie darł”, gdy syn wracał do domu późną nocą i rozbijał się w kuchni, głodny po kolejnej libacji z kumplami. Ale nigdy się na niego nie złościł, w każdym razie nie tak na poważnie. Freddy był wszystkim, co mu zostało po śmierci Juliet. Pieprzony rak, zabrał matkę dziecku na pięć dni przed jedenastymi

urodzinami. Gdyby rak był człowiekiem, Steve spuściłby mu łomot i rozkwasił gębę na miazgę.

Teraz dom jest cichy. Tak cholernie cichy, że Steve ma ochotę włączyć muzykę na cały regulator i krzyczeć tak długo i głośno, aż zedrze sobie gardło. Właśnie to jest najgorsze w śmierci – cisza, którą po sobie pozostawia. Ale nie w głowie Steve'a, tam nie ma miejsca na ciszę i spokój. Bywają dni, kiedy czuje się tak, jakby tracił zmysły; jego myśli szaleją jak rój rozwścieczonych os. Przez jakiś czas był w stanie je uspokoić – planował pogrzeb i przygotowywał się do procesu – ale później wróciły, głośniejsze i jeszcze bardziej gniewne. Najgorsze jest to, że nie potrafi poradzić sobie z własną bezsilnością. Nie mógł ocalić Freddy'ego. Nie mógł chwycić za skalpel, zanurzyć rąk w piersi syna i masażem przywrócić jego serce do życia. Nie mógł przyspieszyć policyjnego dochodzenia. Nie mógł rozmawiać z prokuratorem i nie mógł rozmawiać z sędzią ani ławą przysięgłych; wolno mu było tylko przygotować oświadczenia. Odebrano mu syna, a on nie mógł zrobić absolutnie nic. „Proszę nam zaufać – powtarzali gliniarze. – Niech nam pan pozwoli wykonywać pracę”. Ale się nie spisali. Ani oni, ani prokurator, ani pieprzony sędzia.

Wodzi palcem po datach narodzin i śmierci syna. Dwadzieścia cztery. Tylko dwadzieścia cztery. Na pogrzebie pastor mówił coś o „wiecznym śnie”. To naprawdę wkurzyło Steve'a. Śmierć nie jest jak sen. Ktoś, kto umarł, nie odpoczywa. Nie śni i nie można go obudzić. Kiedy ostatni żałobnicy odeszli znad grobu Freddy'ego, rozpacz opadła Steve'a niczym czarna chmura. Większość z tych ludzi już tu nie wróci. Będą tęsknić za Freddyem, to oczywiste, ale będą żyć dalej, podczas gdy Steve miał wrażenie, że jego życie się zatrzymało.

To jego kumpel Jim podał mu pomocną dłoń.

„Jeśli czujesz, że sprawiedliwości nie stało się zadość, może sam powinienes ją wymierzyć. Jeżeli wiesz, gdzie jej szukać, mogę wysłać kogoś, kto się tym zajmie, i nikt się o tym nie dowie. Jeśli tego chcesz...”

Steve nie był pewien, czy tego właśnie chce. Szczycił się tym, że jest dżentelmenem. Nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę. Ale co innego, jeśli ta kobieta jest morderczynią, prawda? Bez skrupułów skrzywdziłby Myrę Hindley albo Rose West. A przecież ta kobieta była morderczynią jak one.

Odebrała życie dwóm młodym ludziom, a z trzeciego zrobiła kalekę. Podczas procesu nie patrzyła mu w oczy. Zupełnie jakby go tam nie było. Ale przekona się, jakim człowiekiem jest Steve Laing, i zapamięta jego syna. Już on tego dopilnuje.

Rozdział 8

Anna

Środa, 2 maja

O czwartej rano nasze mieszkanie jest zupełnie innym miejscem. Zwykle w Londynie powietrze jest chłodne i nieruchome, sypialnię spowijają cienie, a ciemność rozświetla jedynie wąska smuga światła ulicznych lamp, sączącego się przez szczelinę w zaciągniętych zasłonach. Alex śpi skulony na boku, ściskając w dłoniach brzeg kołdry. Kiedy wczoraj wieczorem wrócił z pracy, leżałam na kanapie i opatulona w koc, gapiłam się w telewizor. Przez chwilę stał w progu, przyglądając mi się i czekając, aż go zauważę.

– Cześć – rzuciłam i wróciłam do oglądania telewizji. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, w jakim jest nastroju: spięty, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę i zimnymi oczami. Szukał pretekstu, żeby się pokłócić. Znowu.

– Co to? – Sięgnął po stojący na stoliku pusty kubek.

– Kubek.

– A to? – Wziął do ręki talerz.

Spojrzałam na niego.

– Co ty wyprawiasz?

– Co TY wyprawiasz?

Wyszedł z pokoju z kubkiem i talerzem w dłoni. Usłyszałam, jak wkłada je do zlewu, a zaraz potem, jak otwiera drzwi lodówki i zamyka je z wściekłym: „Ja pierdolę”.

– Anno. – Po chwili znów stanął w drzwiach. – W tym domu nie ma nic do jedzenia. Mówiłaś, że pójdziesz do sklepu.

– I poszłam.

– No i?

– Ktoś mnie śledził.

– Tylko nie to. – Opiera głowę o białe lakierowane drewno futryny. – Anno. Musisz przestać. Steve Laing nie czai się na ciebie. Kobieta, która spowodowała wypadek... ta, co prowadziła ciężarówkę, a nie ty... została skazana i trafiła za kratki. Ciebie o nic nie oskarżono. To koniec. Koniec.

Nie rozumiał. Bo i jak mógł zrozumieć? Nie miałam żadnego dowodu na to, że ktoś mnie śledzi. Nie widziałam swojego prześladowcy ani nie miałam jego zdjęcia. Nie wiedziałam nawet, jak wygląda, czułam jednak, że mnie śledzi. Wyszłam z domu jak gdyby nigdy nic. W drodze do Tesco nie miałam tego koszmarnego wrażenia, że coś pełźnie mi po plecach. Świeciło słońce, byłam w dobrym humorze, bo właśnie obejrzałam trzy odcinki *Catastrophe*. Ani razu nie pomyślałam o Stevie Laingu... i nagle to się stało. Poczułam absolutną pewność, że ktoś za mną stoi i patrzy, jak pochylam się, żeby zdjąć z półki bochenek chleba. Kiedy się odwróciłam, w alejce było pięć osób – mężczyzna w garniturze, starsza kobieta, druga, mniej więcej w moim wieku, i jeszcze jedna, niewiele starsza ode mnie, z dzieckiem w wózku. Chłopiec wlepił we mnie duże niebieskie oczy. Jego matka spojrzała na niego, na mnie, po czym zawróciła i zniknęła w głębi alejki. Zła na siebie o to, że zareagowałam zbyt przesadnie, poszłam z koszykiem prosto do kas. Dopiero w domu uświadomiłam sobie, że nie kupiłam połowy rzeczy, o które prosił mnie Alex.

– Dzwoniłaś dziś do Tima? – pyta, krzyżując ręce na piersi.

– Tak.

– I?

– Złożyłam wymówienie.

Alex wznosi oczy do nieba.

– Już w tej chwili ledwie starcza nam na opłacenie rachunków. Jeśli nic się nie zmieni... – Wzdycha ciężko. – Nie wytrzymam tego, Anno. Wiedziałem, że będziesz trochę... rozbita... przez jakiś czas, ale nie mogę tak żyć. Nocami przewracasz się w łóżku, bo nie możesz spać, a w dzień siedzisz ubrana w spodnie od dresu i oglądasz powtórki *Przyjaciół*. Wzięłaś dziś prysznic?

W poprzednim życiu, życiu, które wiodłam, zanim mój świat legł w gruzach, odgryzłabym się i powiedziała, że może powinien wykazać trochę więcej zrozumienia. Tymczasem spojrzałam na niego i odparłam:

– Posypało się, co? Między nami?

– No... – Wbił wzrok w brudny beżowy dywan i pokiwał głową. – Posypało się.

Od wypadku wyobrażałam sobie tę rozmowę setki razy, ale kiedy naprawdę do niej doszło, wydała mi się surrealistyczna. Spodziewałam się, że zaleję się łzami albo poczuję w piersi rozdzierający ból. Tymczasem czułam się oderwana od rzeczywistości, jak gdybym obserwowała rozstanie dwojga obcych mi ludzi. Od dawna oddalaliśmy się od siebie, ale trzeba być draniem bez serca, żeby zostawić kogoś, kiedy najbardziej cię potrzebuje. Nie przestaliśmy się lubić, nie robiliśmy awantur, nie sypialiśmy z innymi ani nawet nie byliśmy wobec siebie okrutni, po prostu prowadziliśmy oddzielne życie. Nawet nie sypialiśmy już ze sobą. Może zdarzała się godzina albo dwie – między moją bezsennością a wstawaniem Alexa do pracy – kiedy leżeliśmy w tej samej pościeli, lecz rzadko się dotykaliśmy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio pocałował mnie na dzień dobry albo na do widzenia. A najbardziej znamienne było to, że wcale mi to nie przeszkadzało.

– Co chcesz zrobić? – zapytałam. – Chcesz zatrzymać mieszkanie?

Spojrzał na mnie zdumiony. Wrócił z pracy, spodziewając się awantury. Może w głębi duszy liczył na to, ale nie spodziewał się, że właśnie dziś dojdzie do tej rozmowy.

– Możesz je zatrzymać – dodałam. – Ja wrócę do Reading i przez jakiś czas pomieszkam z mamą i Tonym.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie, lecz jego oczy nie zdradzały żadnych emocji.

– Myślałaś o tym od jakiegoś czasu, prawda? O tym, że powinniśmy się rozstać.

– A ty nie?

Nagle powietrze między nami stało się nieruchome i ciężkie od smutku.

– Wyprowadzasz się dziś? – Zerknął na otwarte drzwi do sypialni i pokoju za nią, szukając wzrokiem walizek albo jakichkolwiek znaków tego, że

zaczęłam się już pakować.

Spojrzałam na kuchenny zegar. Było po dziewiętnastej.

– Nie wiem. Chyba już za późno.

– To dobrze.

– Dobrze?

– Cieszę się, że zostaniesz na noc. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś tak po prostu wstała i wyszła. Czuję się trochę...

– Zszokowany?

– Tak.

– Wiem, co masz na myśli. – Urwałam, bo nagle nie byłam pewna, czy dobrze go zrozumiałam. – Ty też tego chcesz, prawda?

– Tak... tak. Ale to takie... dziwne. Czuję, że powinienem cię przytulić albo zrobić coś innego.

– Jasne – rzuciłam. Tylko dlatego, że trudniej byłoby mi odmówić.

Odsunęłam koc i książkę, żeby podnieść się z kanapy, podczas gdy Alex ruszył w moją stronę. Spotkaliśmy się na środku pokoju i przez chwilę trwaliliśmy w niezręcznych objęciach z ziejącą między naszymi ciałami wielką rozpadliną. Czulałam się, jakbym tuliła obcego człowieka.

– Przepraszam – powiedział, odsuwając się ode mnie. – Mam wrażenie, że cię zawiodłem.

– Nikogo nie zawiodłeś. Nie jestem taka jak kiedyś. Ty chyba też. Zmieniliśmy się. Nikt nie jest temu winny.

Spojrzał na mnie bacznie, lecz nie odezwał się. Nie musiał.

Na kolację zjedliśmy fasolę na tostach. Siedzieliśmy na sofie z talerzami na kolanach i udawaliśmy, że oglądamy film. Było to lepsze, niż siedzieć naprzeciw siebie przy kuchennym stole i jeść w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć. Razem weszliśmy do łóżka i automatycznie sięgnęliśmy po książki. Zupełnie jak gdybyśmy grali w skeczu parę, która właśnie się rozstała, ale zachowuje się, jakby nic się nie stało.

– Masz jakieś plany poza tym, że zamieszkaasz z rodzicami? – Alex odłożył książkę, ale siedział ze wzrokiem wbitym przed siebie. Ogarnął mnie smutek. A więc to wszystko działo się naprawdę. Zrywaliśmy ze sobą. Nie byliśmy już

kawałkami jednej układanki. Czas nas odmienił. Wypaczył nas i nie pasowaliśmy już do siebie.

– Myślałam o tym, żeby przeprowadzić się do Szkocji.

– Do Szkocji?

– Tak. Może na jedną z tamtejszych wysp. Ja... – Odłożyłam książkę, obróciłam się na bok i okryłam ramiona kołdrą. Patrząc na profil Alexa, przypominałam sobie, jak zobaczyłam go po raz pierwszy – jego długi nos, gęste brwi i lekko cofniętą brodę.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Co to za pomysł z tą Szkocją?

– Już od jakiegoś czasu chciałam się wyrwać z Londynu. Wiesz przecież, mówiłam ci o tym, kiedy się poznaliśmy.

– Mówiłaś, że chciałabyś zamieszkać w Cotswolds albo w Norfolk, ale nie w Szkocji.

– Był kiedyś taki program w telewizji. Na początku tak tylko go oglądałam, ale potem mnie zainteresował. O szkockich wyspach... Są takie piękne, dzikie i odległe.

– I zimne. Deszczowe. I okropne.

– Wcale nie są okropne. – Pokręciłam głową.

– Nikogo tam nie będziesz znała.

– I dobrze. Nie lubię ludzi.

Roześmiał się.

– A tamtejszy rynek marketingowy jest raczej kiepski.

– Nie chcę pracować już w marketingu.

– No to co będziesz robiła? Łowiła ryby?

– Myślałam o tym, żeby pracować w herbaciarni albo w restauracji. Albo mogłabym zostać sprzątaczką.

– Sprzątaczką? – Alex z niedowierzaniem uniósł brew.

– Czemu nie? Nie chcę robić tego co do tej pory. Mam dość tej ciągłej presji i... odpowiedzialności.

Przez chwilę spoglądał na mnie z powagą, jakby czekał, aż dotrze do niego to, co mówię.

– To jakiś rodzaj żalu. Czytałem o tym w sieci. Człowiek podejmuje głupie decyzje.

– Wcale nie. Wiele o tym myślałam.

– Ale... – przyjrzał mi się z uwagą – ...jesteś największą bałaganiarą, jaką w życiu spotkałem. Kto, do diabła, zatrudni cię jako sprzątaczkę?

Oboje się roześmialiśmy.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – dodał po chwili i odwrócił się, żeby wyłączyć lampkę.

– Ja też chcę, żebyś był szczęśliwy.

Nie odpowiedział. Podciągnął kołdrę pod szyję, wtulił twarz w poduszkę i wiercił się przez chwilę, szukając idealnej pozycji. W milczeniu obserwowałam kształt jego głowy i krągłość ramienia, podczas gdy oddech Alexa stawał się coraz bardziej powolny i głęboki. Po jakimś czasie, kiedy byłam pewna, że zasnął, wyslizgnęłam się z łóżka.

•••

Odchyłam się w fotelu i wyciągam ręce nad głowę. Jest cztery po piątej. Rzadko zasypiam przed czwartą. Próbowałam aplikacji pomagających zasnąć, lawendy, hydroksyzyny, kalmsa, ale nic nie pomaga.

Przez ostatnie kilka godzin szukałam ofert pracy na szkockich wyspach. Było ich więcej, niż się spodziewałam, zwłaszcza na Orkadach, ale miejscem, w którym chciałam zamieszkać i w którym zakochałam się, oglądając dokument w BBC, była wyspa Rum. Jej trzydziestu jeden mieszkańców stanowi znaczną mniejszość w porównaniu ze zwierzętami – jeleniami, orłami i kucykami – które biegają wolno po niegościnnym nierównym terenie. Ale jest tu tylko jedna wolna posada – „pomoc” w hotelu Bay View. Zakres obowiązków to praca w recepcji, sprzątanie i aktualizacja strony internetowej. Pensja jest żałośnie niska, a godziny pracy są nieludzkie. Nie miałabym czasu odpocząć, a co dopiero myśleć. Dokładnie tego potrzebuję.

Tak jak mówił Alex, nie nadaję się na sprzątaczkę, lecz po szkole przez kilka lat pracowałam w barze hotelowym, a prowadzenie strony internetowej to dla mnie pestka. Wpatruję się w ekran laptopa, kolejny raz czytam swoje

podanie, szukając ewentualnych błędów albo literówek, po czym klikam na WYŚLIJ.

Zamykając laptopa, tłumię ziewnięcie, po czym wstaję z fotela. Zaczyna świtać; przez szczelinę między zasłonami do pokoju sączy się smuga jasnego światła. Pod warstwą szarych chmur niebo pokrywają pomarańczowo-czerwone smugi. Widzę biały łuk słońca między budynkami naprzeciwko i...

Odwracam głowę, bo kątem oka dostrzegam ruch. Ktoś właśnie ukrył się za samochodem na końcu drogi po drugiej stronie ulicy. Opieram dłoń o szybę i mrużąc oczy, wpatruję się w dal. Za wycieraczką mojego samochodu łopocze skrawek papieru.

– Alex? – wypowiadam szeptem imię swojego już byłego chłopaka. Przecinam sypialnię i wychodzę, po cichu zamykając drzwi. Zapalam światło w przedpokoju, wkładam kurtkę i buty i sięgam po klucze. Niespełna dwie minuty później zbiegam po schodach i otwieram drzwi do budynku. Zatrzymuję się i rozglądam wzdłuż ulicy. Nie ma na niej żywego ducha, nie licząc dużego pręgowanego kota, który przysiadł na niskim murku kilka domów dalej i patrzy na mnie obojętnym wzrokiem. Zostawiam uchylone drzwi i wybiegam na ulicę. W kilkunastu susach docieram do samochodu, wyszarpuję umieszczony pod wycieraczką skrawek białego papieru i biegiem wracam do domu. Zamykam za sobą drzwi i rozkładam kartkę. Na środku widnieją dwa słowa.

TERAZ ZAŚNIESZ.

Ku pamięci

Niech spoczywają w pokoju

Emily i Eva Gapper

Emily Gapper, oddana żona i matka.

Odeszła 13 lutego 2015 roku, by połączyć się z naszą ukochaną córką Evą Gapper. Tylko myśl, że jesteście teraz razem, dodaje mi otuchy.

Na zawsze pozostaniecie w mojej pamięci. Kocham Was i tęsknię za Wami...

To, że potrafię „czytać” ludzi, interpretować mowę ich ciała, intonację i mikroekspresję, było dla mnie zawsze powodem do dumy. To nie tyle dar, ile technika umożliwiająca przetrwanie, arsenał i zbroja wykuta w dzieciństwie – konieczność, kiedy ma się niedojrzałą emocjonalnie matkę.

Weźmy na przykład ciebie, Anno Willis. W jednej chwili siedzisz przy oknie w blasku monitora, a w drugiej biegniesz chodnikiem otulona przydużym swetrem, przyciskając dłoń do brzucha. Tym razem byłaś zbyt daleko, by zobaczyć twoją twarz, ale bywałaś znacznie bliżej. Tak blisko, że można było dokładnie przyjrzeć się twojej bladej skórze, rozszerzonym źrenicom, kropelkom potu na linii włosów. Usłyszeć, jak odchrząkujesz, i widzieć, jak wykręcasz rękę. Twój niepokój i ból są jak światło latarni morskiej, ale tylko dla tych, którzy są ci najbliżsi, słodka Anno. No i, oczywiście, dla mnie.

Plany, by porzucić dotychczasowe życie, przejść na emeryturę i zająć się innymi rzeczami, spełzły na niczym, bo on chce, żebyś zginęła, a trudno mu odmówić. Dla mnie zawsze było to niewykonalne.

Najlepiej by było załatwić to jak najszybciej, Anno. Zrobić co trzeba i mieć to za sobą. Ale ostatni raz podejmuję się takiego zadania i chcę, żeby wszystko było idealnie. Kiedy nadejdzie czas, pomogę ci zasnąć.

Rozdział 9

Anna

Alex, w garniturze, pachnący szamponem i wodą po goleniu, wchodzi do kuchni i wyciąga rękę.

– Pokaż mi tę wiadomość – prosi.

Próbowałam go obudzić, kiedy wróciłam biegiem na górę, trzymając w dłoni karteczkę, którą znalazłam za wycieraczką, ale zbył mnie machnięciem ręki i kazał mi wracać do łóżka. Spróbowałam jeszcze raz o szóstej trzydzieści, kiedy zadzwonił budzik, lecz spojrzał na kartkę zaspanym, niewidzącym wzrokiem, pokręcił głową i powiedział, że musi się wysikać. Poszłam za nim do łazienki z kartką w dłoni, aż w końcu wycofałam się do kuchni, gdzie słyszałam, jak bierze prysznic.

– Ktoś zostawił to za wycieraczką – powtarzam.

Rzuca okiem na wiadomość, odwraca kartkę i widząc, że nie ma na niej nic więcej, mnie ją w dłoni i wyrzuca do kosza.

– Brzmi jak słowa wsparcia. Może któryś z sąsiadów zauważył, że nie śpisz po nocach.

– Ale to podkreślone „końcu”... Sprawia, że całość brzmi jak groźba.

– Może to ta dziennikarka, która zamęcza cię, żebyś udzieliła jej wywiadu. „Porozmawiaj ze mną, a będziesz spać lepiej”. Nie było przy tym żadnej wizytówki?

– Nie. Nic. – Urywam. – Myślę, że to Steve Laing.

Alex ściąga brwi. To imię i nazwisko nic mu nie mówią.

– Ojciec Freddy’ego – Przypominam. – Pamiętasz, co powiedział po procesie: że sprawiedliwości tylko częściowo stało się zadość? Naprawdę myślę, że to on. Najpierw słowo SEN napisane na samochodzie, później pocztówka, a teraz to. – Sięgam do kosza i wyjmuję pogniecioną kartkę. –

Może myśli, że ja też zasnęłam za kierownicą? Albo że czuję się tak winna, że nie mogę spać.

Alex wyciąga buty spod kuchennego stołu i wkłada je.

– Wyrzuć to, Anno – mówi.

– Ale to dowód.

– Na co?

– Że ktoś... – Zawieszam głos. Na co właściwie był to dowód? Że ktoś zauważył, że nie śpię o piątej rano, i zostawił mi za wycieraczką sympatyczny liścik? Pisanie palcem po samochodach też nie jest zakazane. Gdyby tak było, setki dowcipnisiów piszących BRUDAS siedziałyby za kratkami za niszczenie brudnych furgonetek.

– Zdarzyło się coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałaś? – Alex prostuje się i wkłada kurtkę. – Dziwne telefony albo maile?

– Nie, tylko... no wiesz... to uczucie, że ktoś mnie obserwuje.

Mój chłopak, mój były chłopak, skubie zębami dolną wargę i marszcząc brwi, przewierca mnie wzrokiem.

– O procesie pisali w gazetach, tak?

– Tak.

– Podali nasz adres? Albo chociaż ulicę?

– Tak.

– To pewnie ktoś, kto był wtedy na sali rozpraw. Jakiś dziwak, który ma świra na punkcie tej sprawy. Albo nie – dodaje pospiesznie, widząc przerażenie na mojej twarzy. – Może jest tak, jak mówisz, i to sprawka Steve’a Lainga. Tak czy inaczej, musisz przestać się tym przejmować. Ktokolwiek to jest, da ci spokój, kiedy zamieszkas z rodzicami.

Pociesza mnie ta myśl, ale nie łudzę się, że jeszcze dziś uda mi się stąd wyprowadzić. Mam za dużo rzeczy. Garnków i patelni, naczyń, sztućców. Książek, ubrań, płyt z filmami i muzyką w sypialni. Ozdóbek, zdjęć w ramkach i obrazów w salonie. No i są jeszcze meble, które należą do mnie. Żeby to wszystko spakować, będę potrzebowała kilku dni.

– Alex. – Wyciągam rękę, żeby go dotknąć, zaraz ją jednak opuszczam. Nie jesteśmy już razem. Taki gest nie byłby właściwy.

– Tak?

Chcę go poprosić, żeby nie szedł do pracy i został ze mną w domu. Żebyśmy obejrżeli film, upili się albo pograli w planszówki i posłuchali muzyki. Wiem, że jeśli zostanę tu sama, będę wzdrygać się na każdy dźwięk, wyglądać przez okno, krążyć po mieszkaniu i wyszukiwać w sieci historię o ludziach, których ktoś prześladował. Tylko że nie mogę prosić Alexa, żeby nie szedł do pracy. Nie dlatego, że nie musi mnie już chronić ani pocieszać. Muszę pozwolić mu żyć własnym życiem.

– Mogę zostawić tu swoje meble? – pytam. – Na jakiś czas? I pudła z rzeczami?

Wzrusza ramionami.

– Jasne. W każdym razie do czasu, aż sam nie znajdę nowego mieszkania.

– Dziękuję. Przyślę po nie kogoś. Samochód też zostawię. Pewnie go sprzedam. Chyba że ty go chcesz.

– Pozbywasz się samochodu?

– Tak. – Jestem zaskoczona jego reakcją. Widział przecież, jak trudno jest mi usiąść na miejscu pasażera. Nie ma mowy, żebym wróciła za kierownicę. Przynajmniej na razie. – Pojadę pociągiem, tylko najpierw spakuję swoje rzeczy.

Oczywiście, jeśli mama i Tony zgodzą się, żebym z nimi zamieszkała. Odkąd przeszli na emeryturę, bez przerwy odwiedzają ich dawno niewidziani krewni i przyjaciele. Być może będę musiała spać na kanapie.

– O rany! – rzuca w osłupieniu Alex, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co to wszystko znaczy. – To znaczy, że kiedy wrócę z pracy, już cię nie będzie?

– Tak. – Zadzieram głowę i mrugam wściekle, żeby powstrzymać łzy, które cisną mi się do oczu.

– Chryste. – Przygląda mi się z uwagą, zatrzymując wzrok na moich ustach, górnym guziku piżamy i pomalowanych paznokciach u nóg z odpryskującym tu i ówdzie lakierem. – A więc to pożegnanie?

Kiwam głową, bo nagle nie mogę dobrać głosu.

– Uściskasz mnie, zanim wyjdę? – pyta i nie czekając na odpowiedź, przyciąga mnie do siebie, tuli mocno i zaraz wypuszcza z objęć. Wszystko to trwa niespełna pięć sekund. – Uważaj na siebie, Anno – mówi w drodze do

przedpokoju. Otwiera drzwi i nie oglądając się za siebie, wychodzi z mieszkania. Jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 10

Anna

Sobota, 2 czerwca

Pierwszy dzień sztormu

– Anno. Anno?

Odwracam się i uśmiecham. Choć minął tydzień, nadal nie mogę przyzwyczać się do tego, jak David wymawia moje imię. Zupełnie jakbym została przechrzczona. W Londynie byłam Anną: An-ną – z naciskiem na pierwsze „n” i drugie „a”. Teraz jestem Ah-nah. Moje imię brzmi łagodniej i cieplej, kiedy David wymawia je z tym przyjemnym dla ucha szkockim akcentem. Przez pierwsze dni chodziłam spięta, przygarbiona i nieufna. Teraz czuję, jak moje ramiona się rozluźniają, a napięcie, które sprawiało, że kuliłam się w sobie, ustępuje. Łagodniej, zupełnie jak moje imię.

– Tak, David?

– Masz listę nazwisk gości?

– Jasne. – Wyciągam z drukarki pod biurkiem kartkę i podaję mu ją.

•••

Miałam zastrzeżenia co do Davida, kiedy przeprowadzał ze mną rozmowę kwalifikacyjną przez telefon. Był bezpośredni, szorstki i napsuszony, zwracał się do mnie per „młoda damo” (choć mam trzydzieści dwa lata) i w kółko pytał, czy jestem gotowa ciężko pracować i nie narzekać. Wyobrażałam go sobie jako wysokiego, barczystego, brodatego byłego żołnierza. Kiedy prom przybił do Rum i zesłam na nabrzeże, minęłam niskiego, pulchnego

rumianego człowieczka w żółtej nieprzemakalnej kurtce i podeszłam prosto do brodacza w czapce z daszkiem stojącego obok dużego czarnego labradora.

– Anna? – Ktoś poklepał mnie po ramieniu i odwróciłam się gwałtownie.

– David?

– Tak. – Wyciągnął rękę. – Jak tam podróż?

Przez telefon powiedział mi, że gościom nie wolno zabierać na Rum samochodów, więc wsiadłam na mały prom razem z kilkunastoma innymi osobami. Połowa z nich miała rowery, a druga połowa wypchane plecaki. Tylko ja ciągnęłam za sobą walizkę. Wniosłam ją na trzeci pokład i usiadłam przy oknie. Kilka minut później prom wypłynął z Mallaig. Niebo było równie szare jak morze. Po mniej więcej czterdziestu minutach minęliśmy wyspę Eigg, która wyrastała z morza niczym ciemny nos wieloryba. Jeśli Eigg była wielorybem, to Rum była zakrzywionym smoczym grzbietem wyłaniającym się z wody. Myślałam, że jestem przygotowana na podobne widoki – po tym, jak David potwierdził przez telefon, że przyjmie mnie na trzymiesięczny okres próbny, bez końca oglądałam na iPlayerze *Small Isles* – ale i tak oddech wiązał mi w gardle i ścisnęło mnie w dołku ze zdenerwowania. Weszłam na górny pokład i uśmiechnęłam się, kiedy wiatr uderzył mnie w twarz, poderwał moje włosy i owinął mi je wokół twarzy. Z niebem i morzem ciągnącymi się aż po horyzont miałam wrażenie, że zostałam przeniesiona do innego świata, a nie na małą wysepkę na zachód od wybrzeży Szkocji. Byłam pełna życia i energii. I czułam się wolna.

Nie powiedziałam o tym Davidowi.

– Z Reading na Rum jest kawał drogi – zauważyłam tylko. – Podróż trochę się dłużyła, ale widoki z promu zapierają dech w piersi.

Kiedy uśmiechnął się szeroko, jego pulchne policzki niemal zupełnie przesłoniły oczy.

– Wiem, bo sam nie mogę wyjść z podziwu, nawet po tylu latach. – Przyjrzał mi się z uwagą. – To wszystko? – spytał, mając na myśli walizkę, a gdy przytaknęłam, podniósł ją. – Dobrze – rzucił. – A przy okazji, to – wskazał ręką kilkanaście budynków – nazywamy „wioską”. Hotel mieści się w Harris, po drugiej, południowej, stronie wyspy.

Wsiadłam do białego land rovera i zapiąwszy pas bezpieczeństwa, pierwszy raz od miesiący nie zamknęłam oczu. Dalej zaciskałam palce na podłokietniku, kiedy wjeżdżaliśmy na wzgórze, tłukliśmy się po kamienistych drogach i pokonywaliśmy ostre zakręty, ale byłam urzeczona widokami: pagórkami szarymi jak skóra słoni, trawą, krzewami kolcolistu, bezkresnym niebem, morzem i...

– Kucyki! Patrz!

David się roześmiał.

– A, tak, jest ich tu trochę. Podobnie jak jeleni.

Zanim dotarliśmy do hotelu Bay View, przytulonego do wzgórza i oddzielonego od reszty wyspy płytką rzeką, przez którą przejechaliśmy samochodem, czułam się pijana szczęściem.

– To mauzoleum, tak? – spytałam, wskazując budowlę z szarobrazowego piaskowca pośrodku pola zieleni. Z imponującymi kolumnami i dwuspadowym dachem, pod którym mieściły się trzy granitowe grobowce, wyglądała, jakby spadła prosto z nieba albo została tu przeniesiona ze starożytnej Grecji.

– Tak. – David pokiwał głową. – To grobowiec rodziny sir George’a Bullougha. Spoczywa tam razem ze swoją żoną i synem.

Z trudem powstrzymałam drżenie, bo przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy byłam na cmentarzu.

– A tam kto mieszka? – Wskazałam małą chatkę na skraju rzeki, jedyną w pobliżu hotelu.

– Gordon Brodie. Jest przewodnikiem wycieczek. I dozorcą w szkole podstawowej. Na pół etatu. – Roześmiał się. – W szkole jest tylko czworo dzieci.

– Czworo? W całej szkole?

– W przyszłym roku będzie pięcioro, kiedy córeczka Susi McFarlane skończy cztery lata. Pamiętaj, że wyspa liczy tylko trzydziestu jeden mieszkańców.

– Dzieci nie mogą chodzić do szkoły na lądzie?

– Te starsze tak, ale o tej porze roku promy kursują tylko trzy razy w tygodniu. Większość z tych dzieciaków wraca do domu w co drugi weekend.

Mieszkają u krewnych.

Spojrzałam na ciemniejące niebo.

– A jeśli jest sztorm?

– Przez jakiś czas promy w ogóle nie kursują. – Wzruszył ramionami. –
Jakoś sobie radzimy.

•••

Teraz David przebiega wzrokiem listę nazwisk, którą trzyma w dłoni, i jego nozdrza rozszerzają się, kiedy wodzi po kartce palcem z obgryzionym paznokciem.

– Siedmioro. To oznacza dwa kursy land roverem. – Sięga za biurko, zdejmuje kluczyki z haczyka na ścianie i wciska mi je w dłoń. – Masz.

– Nie. – Trzymam kluczyki między kciukiem i palcem wskazującym, jakby to była brudna pielucha albo mokra ścierka do naczyń. – Nie mogę.

– Jak to nie możesz? Przez telefon mówiłaś, że masz prawo jazdy.

– Bo mam, ale... Kilka miesięcy temu miałam wypadek i trafiłam do szpitala. Od tamtej pory nie siedziałam za kierownicą.

– Cóż... niedługo będziesz musiała. – Wyrywa mi klucze i kręcąc głową, odsuwa się od biurka. – Bo nie zawsze będę pod ręką, żeby odebrać i przywieźć gości. Ostrzegałem cię, że będziesz musiała przyłożyć się do pracy... Boże. – Zatacza się i opiera dłonią o ścianę.

– Nic ci nie jest, David?

Odgania mnie machnięciem dłoni.

– To tylko... – Przykłada rękę do piersi. – Mała niestrawność. Chryste, myślałem, że zwymiotuję.

Kropelka potu spływa mu ze skroni i znika w kilkudniowym zaroście.

– David, na pewno nic ci nie jest? Mogę wezwać pomoc. – Kładę rękę na słuchawce telefonu, gotowa zadzwonić na Eigg. Na Rum nie ma lekarza. Doktor przyjeżdża tu raz na dwa tygodnie w czwartki, ale dziś jest sobota. Jest za to dwóch ratowników. Najbliższy mieszka w Kinloch, piętnaście minut drogi stąd, a drugi na przeciwnym końcu wyspy.

– Nie, nie. – David prostuje się, nadal masując pierś. – Nic mi nie jest. Kiedy mnie nie będzie, zajrzyj do pokoi i sprawdź, czy wszystko jest w porządku. Aha, i przypilnuj chleba. Za dwadzieścia minut trzeba go wyjąć z piekarnika. No już, nie stój tak beczynn timer. Mamy mnóstwo pracy.

Zimne powietrze wpada do holu, kiedy David otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Za zalany deszczem oknem przemykają ciemne chmury, drzewa gną się na wietrze. Według porannej prognozy pogody zbliża się sztorm. To kiepska wiadomość dla gości, którzy przyjechali tu spacerować, jeździć na rowerach, łowić ryby i tropić jelenie. Myślę jednak, że damy radę zawieźć ich do zamku Kinloch i sklepików z artykułami rękodzielniczymi. A jeśli pogoda będzie naprawdę zła, w każdym pokoju jest telewizor, a w salonie są książki i magazyny. Poza tym hotel ma spore zapasy alkoholu i drewna na opał. Wzdrygam się, kiedy komórka piknięciem informuje mnie o nadejściu nowej wiadomości. To SMS od Alexa:

Myślałem o tobie. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i jesteś szczęśliwa, a świeże wyspiarskie powietrze sprawia, że się wysypiasz.

Rozdział 11

Alex

Alex zaciska palce na bukietcie kwiatów, kiedy drzwi do szpitala Royal Free rozsuwają się i chmura ciepłego przesyconego zapachem środków dezynfekujących powietrza uderza go w twarz. Jest piękny letni dzień; koszula lepi mu się do pleców. Chciałby zdjąć marynarkę i poczuć na skórze odrobinę chłodu, ale martwi się, że ma pod pachami plamy potu. Zerka na zegarek: za pięć trzecia. Nie chciał ryzykować, że się spóźni, więc przyjechał wcześniej i przez ostatnią godzinę siedział w KFC za rogiem i popijał colę. Wolałby kawę, ale bał się, że będzie miał nieświeży oddech.

Siada w poczekalni niedaleko oddziału ratunkowego i przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu paczki miętówek, które kupił po drodze. Wrzuca jedną do ust, przytrzymuje bukiet kolanami i wyciera dłonie w nogawki dżinsów. Wie, że zachowuje się nedorzecznie, pocąc się i denerwując jak trzynastolatek przed pierwszą randką, ale nie potrafi uspokoić serca, które wali mu jak młot, ani pozbyć się uczucia ściskania w dołku. Nie pierwszy raz w życiu robi coś takiego, jeszcze nigdy tak bardzo nie denerwował się przed spotkaniem z kimś, kogo prawie nie zna. Ale Becca go lubi. Musi go lubić, skoro odpisuje na jego wiadomości na Facebooku; nie mówiąc o tym, że się z nim umówiła. Na dźwięk telefonu wibrującego w kieszeni żołądek podchodzi mu do gardła. Rozmyśliła się i odwołała spotkanie? Wymknie się tylnym wyjściem, żeby nie musiała go oglądać, podczas gdy on siedzi tu w szpitalnym holu, czekając, aż ona skończy zmianę?

Spogląda na ekran i oddycha z ulgą. To tylko Anna.

Próbujesz być zabawny?

Alex ściąga brwi i zakłopotany czyta wiadomość, którą wysłał do niej wcześniej. O co jej chodzi? Przecież był miły. Chciał wiedzieć, jak sobie radzi.

Rozgląda się, wypatrując wzrokiem Bekki (byłoby kiepsko, gdyby przyłapała go, jak koresponduje ze swoją byłą), i odpisuje:

Nie. O co ci chodzi?

Odpowiedź przychodzi od razu.

Ten komentarz o śnie.

Alex się krzywi. A, to! Jeśli ma być szczerzy, od wyjazdu Anny prawie w ogóle nie myślał o tych napisach. Pewnie, że myślał o Annie; po dwóch latach związku trudno tak po prostu o kims zapomnieć, ale cieszył się, że wreszcie ma łóżko tylko dla siebie, że nie musi znosić, jak ona przewraca się z boku na bok albo patrzy na niego przerażonym wzrokiem z drugiego końca pokoju. Mimo to czuł się winny, kiedy wracał do domu i logował się na Facebooku, podczas gdy wszędzie dookoła walały się pudła z rzeczami Anny. Jej strona łóżka jeszcze nie wystygła, a on już oglądał się za pielęgniarką, która się nią zajmowała. Od razu wpadli sobie w oko – zupełnie jakby przeskoczyła między nimi niewidzialna iskra, która sprawiła, że stracił dech. Był pewien, że ona poczuła to samo; wyczytał to ze sposobu, w jaki się zarumieniła i odwróciła wzrok, by spojrzeć na nieprzytomną Annę. Wmawiał sobie, że źle odczytuje jej życzliwość, że obowiązkiem pielęgniarki jest nie tylko opieka nad pacjentami, ale również nad ich bliskimi, ale Becce najwyraźniej sprawiały radość rozmowy, które prowadzili, kiedy Anna spała. Był przerażony, gdy Anna się obudziła i zaczęła krzyczeć. Oczy miała szkliste i puste, jak gdyby patrzyła przez niego. I ten wrzask... nigdy dotąd nie słyszał czegoś takiego. Miał ochotę przytulić Becę za profesjonalizm, z jakim podeszła do sytuacji. Naturalnie tego nie zrobił. Po pierwsze, byłoby to niestosowne; po drugie, kiedy Anna odzyskała przytomność, zrobiło mu się wstyd. Jakim trzeba być podłym gnojkiem, żeby oglądać się za pielęgniarką, gdy twoja dziewczyna dochodzi do siebie po ciężkim wypadku? W chwilach słabości tłumaczył sobie, że to mechanizm radzenia sobie z tragedią, sposób na to, by wyjść z dołka, do którego wpadł po tym, jak ojczym Anny zadzwonił i łamiącym się głosem poinformował go o wypadku.

Ale Anna nie zginęła. Przeżyła wypadek i operację, a kiedy chirurg powiedział im, że jedyną pamiątką będzie blizna na brzuchu, Alex wzniosł oczy w biały szpitalny sufit i podziękował Bogu, w którego nie wierzył.

Wiedział, że jego obowiązkiem jest opiekowanie się nią po powrocie do domu; był jej to winien po dwóch latach bycia razem. Tyle że rano ledwie zwlekał się z łóżka po tym, jak Anna przez pół nocy przewracała się z boku na bok, walcząc z koszmarami. Czuł się jak w potrzasku za każdym razem, gdy wracał do domu. Wiedział, że to nie jej wina, ale nie mógł opanować rozdrażnienia, które przelewało się przez brzegi jego cierpliwości niczym rzeka po burzy.

Nie spodziewał się, że będzie chciała zakończyć ich związek. Myślał, że będzie o niego dbała, tak jak robiła to zawsze. A tymczasem ona też miała dość. Był tak wdzięczny, że miała odwagę powiedzieć to na głos, że przytulił ją i poprosił, żeby została na jeszcze jedną noc, na wypadek gdyby chcieli powiedzieć sobie coś jeszcze. Nie chcieli. Odbyli tylko nerwową rozmowę na temat kartki, którą znalazła za wycieraczką. Kiedy tamtego ranka szedł na stację metra, czuł nieopisaną ulgę, że nie musi się już martwić o Annę. I było mu z tego powodu wstyd.

•••

– Alex? – Wzdryga się, kiedy ktoś dotyka jego ramienia.

Prawie nie poznaje kobiety, która uśmiecha się do niego. Ma na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, zaczesane do tyłu długie kasztanowe włosy opadają jej na ramiona. Kąciki oczu podkreśliła brązową kredką, a jej lśniące usta mają kolor wiśni.

– Becca? – Wstaje pospiesznie i niezdarnie całuje ją w policzek. – Ślicznie wyglądasz. Prawie cię nie poznałem.

– Dzięki. – Ona śmieje się i bierze kwiaty, które Alex wpycha między nich. – Pięknie pachną – mówi, wdychając zapach lilii i róż. Spogląda na niego znad bukietu, a on nie może uwierzyć, jakie piękne ma oczy, jakie roześmiane i jakie cudownie niebieskie.

Czuje ucisk w żołądku, kiedy Becca odwraca wzrok i chabrowymi oczami wodzi po twarzach ludzi, którzy siedzą pochyleni nad magazynami, kawą i telefonami, zatraceni we własnych małych światach.

– O co chodzi? – pyta, widząc jej ściągnięte brwi.

– O nic. – Becca prostuje się i delikatnie kręci głową.

– Na pewno? Wyglądałaś, jakbyś kogoś szukała.

W odpowiedzi zgarnia włosy w dłoń i zarzuca je na ramię. Jest zdenerwowana, myśli zaskoczony Alex, podczas gdy Becca nie przestaje bawić się włosami i spogląda na niego pytająco. Chęć, by otoczyć ją ramieniem i przytulić, jest niemal nie do wytrzymania.

– Ja tylko... – Becca przestępuje z nogi na nogę. – Między tobą i Anną to na pewno koniec? Nie wyskoczy nagle jak diabeł z pudełka i nie zarzuci mi, że ukradłam jej chłopaka?

Alex śmieje się rozbawiony jej paranoją.

– Nie, pewnie, że nie. Tak jak ci pisałem, nasz związek rozpadł się na długo przed wypadkiem.

– To dobrze. – Becca bierze go pod rękę i opiera głowę o jego ramię. – W takim razie mam cię tylko dla siebie.

Rozdział 12

Anna

Alex nie odpisał na moją ostatnią wiadomość i teraz żałuję, że na niego naskoczyłam. Chciał tylko wiedzieć, jak sobie radzę, ale wzmianka o śnie była jak nóż w serce. Myślałam, że przyjeżdżając tu, zostawię to wszystko za sobą. Tylko że smutek to nie kurtka, nie można go tak po prostu zrzucić. Staje się częścią ciebie, niewidoczną powłoką na twojej skórze. Czasami ją czujesz, a czasami nie, zawsze jednak tam jest.

– Wchodźcie, wchodźcie. – Mój szef wprowadza do holu pięcioro gości: dwóch mężczyzn, dwie kobiety i nastoletnią dziewczynę. Ich kurtki i torby są mokre od deszczu.

David przeciska się w stronę biurka i staje obok mnie.

– Witamy w hotelu Bay View, najlepszym na wyspie Rum – mówi, otwierając ramiona w powitalnym geście.

Chuda kobieta w średnim wieku, w czerwonej kurtce przeciwdeszczowej z kapturem i w czerwonej czapce z pomponem, wybuchła wymuszonym śmiechem. Hotel Bay View jest jedynym hotelem na wyspie.

– Anna was zamelduje, a ja zaniósę wasze bagaże do pokoi – dodaje David.

Odwraca się do stojącego najbliżej mężczyzny – wysokiego, średniej budowy bruneta w jasnoniebieskim polarze, ciemnych spodniach i butach trekkingowych – i sięga po pasek jego plecaka. Mężczyzna cofa się gwałtownie i wpada na stojącą za nim kobietę w czerwieni.

– Przepraszam, przepraszam. – Rozgląda się nerwowo zza okularów bez oprawek, szukając miejsca, w którym mógłby stanąć, nie dotykając nikogo. – Ale ja... ja... mam tam pewne ważne rzeczy i... i...

– W porządku. – David przeproszająco podnosi rękę i rozciąga usta ni to w półśmiechu, ni w grymasie. – Jeśli nie chcecie, żebym zaniósł wasze

bagażę, nie ma problemu.

– Mój może pan wziąć. – Kobieta w czerwieni przeciska się między pozostałymi i odwraca tyłem do Davida, niemal podstawiając mu plecak pod nos. – Nie czuję ramion.

Łysiejący starszy mężczyzna, który stał obok niej, podnosi lewą rękę na znak protestu. Na palcu serdecznym błyska złota obrączka.

– Mówiłem, że będę go niósł, Mel, ale się uparłaś...

Kobieta ignoruje go i ruchem głowy ponagla Davida, żeby pomógł jej zdjąć plecak. David zerka na jej męża i prawie niezauważalnie kiwa głową.

– Właściwie, panie i panowie, muszę wrócić na przystań po resztę gości. Jeśli chcecie, żebym zaniósł wasze bagaże, zostawcie je tutaj, a zajmę się nimi, kiedy wrócę. Anna zaprowadzi was do pokoi. Kiedy już się rozgościcie, zejście do salonu na kropelkę whisky, a jak już będziemy w komplecie, przedstawię wam plan na najbliższy tydzień.

Podnosi ręce i niczym krab bokiem przeciska się w stronę wyjścia. Gdy dociera do drzwi, dostrzegam ulgę malującą się na jego twarzy.

• • •

Po wyjściu Davida twarze wszystkich zwracają się w moją stronę. Jako pierwsza do biurka podchodzi para. Kobieta przejmuje dowodzenie, wpycha się przed swojego towarzysza i opiera ręce o blat.

– Melanie i Malcolm Wardowie. I... Katie. – Zdejmuje czapkę z pomponem i zerka na drobną nastolatkę o ziemistej cerze, która wygląda, jakby chciała być gdziekolwiek, byle nie tu. – Również Ward – dodaje kobieta.

W przeciwieństwie do dziewczyny w przydużej kurtce i różowych conversach, Melanie i Malcolm ze swoimi markowymi kurtkami przeciwdeszczowymi, kijkami, znoszonymi butami trekkingowymi i pękatymi plecakami wyglądają na wytrawnych turystów. Malcolm trzyma mapę w plastikowej koszulce. Melanie ma mysie włosy zebrane w koński ogon, grzywkę, która kończy się tuż nad niewiarygodnie szerokimi brwiami, i okulary w czerwonych oprawkach. Sprawia wrażenie gibkiej i silnej, jakby potrafiła na jednym oddechu zdobyć Rum Cuillin². Jej mąż jest starszy;

wygląda na pięćdziesiąt pięć, może nawet sześćdziesiąt lat. Ma przerzedzone siwe włosy i wysokie czoło upstrzone plamami wątrobowymi. Łuki jego brwi są tak krótkie, że kończą się gdzieś w połowie oka, co nadaje mu wygląd wiecznie skwaszonego.

Wprowadzam ich dane do laptopa, sięgam za siebie i podaję Melanie pęk kluczy.

– Proszę bardzo. Pokoje siedem i osiem. Od frontu. Proszę wejść schodami na pierwsze piętro. Pokoje są zaraz naprzeciwko...

– Od frontu? – Melanie zerka na Malcolma, a ten wzdycha ciężko.

– Tak – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem, który nijak nie łagodzi zbolącej miny pani Ward.

– Bez widoku na morze?

– Niestety, bez. Przydzielamy pokoje według listy, którą otrzymujemy od organizatora wycieczek, i obawiam się... – Wzruszam ramionami. – Litera „w” jest na końcu...

– Poważnie? – rzuca Malcolm Ward. – W ten sposób przydzielacie pokoje? W dzisiejszych czasach? Całe dzieciństwo byłem ostatni tylko dlatego, że moje nazwisko zaczyna się na jedną z ostatnich liter alfabetu.

Zerkam na Katie, która wygląda, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

– Podróż tutaj zajęła nam prawie dwa dni – tłumaczy Melanie. – Przyjechaliśmy aż z Londynu. Mój mąż tak się cieszył, że będzie miał pokój z widokiem na morze. Prawda, Malcolm?

Mężczyzna potakuje.

– Gloria w Hikers' Friend powiedziała, że mamy to jak w banku.

– Ale mają państwo wspaniały widok na góry. – Zerkam w stronę drzwi, marząc, żeby wrócił David. Kiedy tu przyjechałam, powiedział mi jasno i wyraźnie, że to on jest właścicielem hotelu i do niego pierwszego mają zwracać się goście. „Zaspokajam wszystkie ich potrzeby – wyjaśnił, po czym dodał pospiesznie: – No, prawie wszystkie”.

Melanie pochyła się nad biurkiem, źrenice ma małe i czarne za szklami okularów.

– Może to pani zmienić?

– Nie mogę, naprawdę. Wszystkie pokoje zostały już przydzielone. Jesteśmy małym hotelem i możemy pomieścić tylko osiem...

– Ja się zamienię. – Obok Melanie staje kobieta dobiegająca sześćdziesiątki. Jej siwe włosy, obcięte krótko po bokach, na czubku głowy kręcą się jak owcze runo. – Jeśli mam pokój z widokiem na morze.

Kiedy spoglądam na nią, uśmiecha się do mnie ciepło.

– To bardzo miło z pani strony. – Odwzajemniam uśmiech. – Pani godność?

– Christine Cuttle.

– Jak mątwą³? – pyta Malcolm.

– Tak. – Christine uśmiecha się cierpko. Pewnie słyszała to tysiące razy.

– Dziękuję, pani Cuttle – mówię. – Sprawdzę tylko...

– Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

– Dobrze. – Zerkam na ekran. – Mają państwo szczęście. – Patrzę na Melanie. Christine przydzielono pokój numer jeden z widokiem na morze.

Melanie piszczy z radości i spogląda na męża, a zaraz potem na Katie. Jej uśmiech gaśnie.

– Nie będziemy obok siebie.

Dziewczyna wzrusza ramionami, a jedyne, co można wyczytać z jej twarzy, to ulga.

– Będzie po drugiej stronie korytarza – uspokajam Melanie. – To mały hotel. Wszystkie pokoje są blisko siebie.

Napięcie znika z twarzy Melanie.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, Katie? Jesteś na wakacjach tak samo jak my.

Nastolatka kolejny raz wzrusza ramionami.

– Mam gdzieś widoki – bąka.

– Jest pani pewna – Melanie zwraca się do Christine – że możemy się zamienić? Naprawdę nie musi pani.

„Właśnie, że musisz – zdają się mówić jej twarz i dłonie zaciśnięte w pięści – skoro już to zaproponowałaś”.

– Chętnie się zamienię – zapewnia ją Christine. – Ten widok nigdy mi się nie znudzi. Tak tu pięknie. – Spogląda na mnie. – Masz szczęście, że tu mieszkasz.

– Tak. – Kiwam głową. – To prawda.

•••

Odesławszy Christine, Melanie i Malcolma do ich pokoi, przywołuję skinieniem ostatniego z gości, który stoi sztywno przy drzwiach. Mężczyzna unika kontaktu wzrokowego i zatrzymuje się pół metra od biurka. Ciszę przerywa huk grzmotu i oboje się wzdrygamy. Dwie sekundy później ciemne niebo za oknem przeszywa błyskawica, a deszcz, który siąpił przez ostatnią godzinę, nagle przybiera na sile.

– Witamy na Rum! – mówię ze śmiechem.

Mężczyzna wbija wzrok w lśniąca powierzchnię dzielącego nas biurka. Jest młodszy od pozostałych; myślę, że zbliża się do czterdziestki. Ma ciemne włosy, gęste i kędzierzawe, z widocznymi zakolami. Jest przeciętnej budowy, ale twarz ma dziwnie pulchną, z mięsistymi policzkami i podbródkiem, i długim, szerokim nosem. Widoczne za okularami bez oprawek oczy mrugają gwałtownie.

– Trevor Morgan. – Wyciąga rękę, na co ja podaję mu swoją. – Nie. – Opuszcza dłoń na blat. – Klucz.

– Och. – Zerkam na ekran laptopa i odwracam się w stronę szafki z kluczami. – Pokój numer dwa, z tyłu hotelu. Proszę iść...

– Dziękuję, dam sobie radę. – Kiedy bierze klucz, nasze spojrzenia się spotykają. Patrzy na mnie nie dłużej niż przez sekundę, ale pod jego spojrzeniem czuję nieprzyjemny ucisk w piersi, który nie mija jeszcze długo po tym, jak mężczyzna znika na schodach.

•••

Kwadrans później drzwi wejściowe otwierają się i do hotelu wchodzi David z parą mniej więcej w moim wieku. Oboje niosą plecaki. Mężczyzna jest wysoki, ma długą hipsterską brodę i ciemne włosy wygolone po bokach i zaczesane do tyłu. Kobieta ma mniej więcej metr siedemdziesiąt, jasne, kręcone włosy, krępa budowę ciała. I grymas niezadowolenia na twarzy,

w przeciwieństwie do jej towarzysza, który podchodzi do mnie z promiennym uśmiechem. Jego ciężkie buciory dudnią na wypolerowanej drewnianej podłodze.

– Joe Armstrong. – Wyciąga rękę. – A ty musisz być Anna. David mówił nam o tobie.

Podaję mu dłoń i odwzajemniam uśmiech.

– Tak? A co?

– Same dobre rzeczy! – woła David, wieszając kurtkę na kołku. – Głównie...

– Fiona Gardiner. – Blondynka wciska się między Joego a ścianę.

– Miło mi panią poznać. – Podaję jej rękę, a ona ściska ją mocno. – Dobrze... zaraz... – Stukam palcami w klawiaturę. System pokazuje, że zostali ulokowani w osobnych pokojach. – Panie Armstrong, z tego, co widzę, zamieszka pan w pokoju numer sześć z widokiem na góry. A pani Gardiner w pokoju numer trzy z widokiem na morze. – Spoglądam na nich. – Mogą państwo wybrać, który z nich bardziej wam odpowiada, a ja anuluję drugą rezerwację. Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka, więc nie policzymy państwu dwukrotnie.

– Słucham? – Joe Armstrong patrzy na mnie w osłupieniu. – Chyba nie bardzo rozumiem.

Fiona jest równie zdezorientowana, a ja czuję, że się rumienię. David, który idzie do jadalni, chichocze, otwierając drzwi. Dobrze wie, co zrobiłam.

– Myślałam, że są państwo parą – tłumaczę. – Przepraszam. Weszliście razem, więc założyłam...

– Boże, nie! – Joe wybucha serdecznym śmiechem, ale widząc urażoną minę Fiony, dodaje pospiesznie: – Proszę mnie źle nie zrozumieć... Fiona jest urocza. Jestem pewien, że byłaby cudowną dziewczyną, ale... – Przeczesuje dłonią włosy. – Nie jesteśmy parą. Nawet się nie znamy. Zamieniliśmy tylko kilka słów na przystani.

– To moja wina, przepraszam. – Rzucam Fionie przeproszające spojrzenie. – Jestem nowa. Nigdy dotąd nie pracowałam w recepcji.

– Nic się nie stało. – Kąciki jej ust unoszą się nieznacznie, ale bardziej przypomina to grymas niż uśmiech. Wyciąga rękę. – Gdybym mogła prosić o klucz.

– Oczywiście. – Wręczam jej klucz do pokoju numer trzy, a Joemu do pokoju numer sześć.

– Pomóc ci? – pyta Joe, widząc, że Fiona poprawia plecak.

– Nie, dziękuję – pada krótka odpowiedź. – Dam sobie radę.

Odwracam się do laptopa, kiedy oboje gramolą się po schodach, Fiona pierwsza, a Joe tuż za nią. Z chwilą gdy ich kroki rozbrzmiewają na piętrze nad moją głową, David wychyla się z jadalni.

– Wybacz – rzuca ze śmiechem. – Mogłem wyprowadzić cię z błędu, ale to było takie zabawne. – Zerka w stronę schodów. – W tym tygodniu mamy kilku ciekawych gości. Coś mi mówi, że musimy być czujni.

Rozdział 13

Steve

Steve stawia kołnierz płaszcza i mijając kolejną z ulic południowego Londynu, przy której nie znajduje pubu o nazwie Biały Jeleń, klnie w duchu, że nie zabrał parasola ani telefonu. Mimo to brak Google Maps i GPS-u jest dużo lepszy od alternatywy – odsiadki za morderstwo. Jak do tej pory, oprócz często zmienianej komórki na kartę w szufladzie biurka i jednej krótkiej rozmowy telefonicznej, nie ma dowodów na to, że coś go łączy z Jimem Thompsonem, i Steve chce, żeby tak zostało.

– Gdzie, do kurwy...? A! – Zatrzymuje się u wylotu pozbawionej charakteru wąskiej uliczki, przyspiesza kroku i chwilę później otwiera drzwi do Białego Jelenia.

Wchodzi do środka i unosi brwi. Kolejna stara knajpa, którą przekształcono w gastropub z wentylatorami sufitowymi w stylu kolonialnym, drewnianymi podłogami, dębowym barem i dużym wyborem piw kraftowych. Pieprzeni hipsterzy, myśli, kiedy podchodzi do baru i zamawia półlitrowego heinekena. Lubią udawać, że są wyjątkowi, serwując jedzenie na pokrywach pojemników na śmieci i wypinając się na technologię, ale w głębi duszy to kapitalistyczne sukinsyny, jak my wszyscy.

Upija łyk piwa i jakby od niechcienia rozgląda się, szukając Jima. Minęło trochę czasu, odkąd widział go ostatni raz, ale natychmiast rozpoznaje łysiejącego gościa w okularach o grubych oprawkach, który siedzi sam przy stoliku w kącie i czyta gazetę. Dawno temu (bardzo dawno temu) siedzieli w jednej celi – Steve za oszustwo, a Jim za ciężkie uszkodzenie ciała, ale pochodzili z podobnych środowisk, mieli podobne poczucie humoru i taki sam kodeks moralny.

– W porządku? – Stawia piwo na stoliku i wyciąga krzesło.

Jim nie odpowiada od razu. Starannie składa gazetę, chowa ją do torby, prostuje się i dłuższą chwilę wpatruje się w Steve'a.

Ku swojemu niezadowoleniu Steve czuje, że jego serce zaczyna bić szybciej, a żołądek podchodzi do gardła. Nie ma powodu obawiać się Jima. To znaczy ma, bo osiągnięcia Jima mówią same za siebie, ale oni dwaj są przecieź... kumplami, jeśli nie przyjaciółmi.

– W porządku, bałwanie! – odzywa się nagle Jim.

Steve uchyla się, ale nie dość szybko, żeby umknąć przed wyciągniętą ręką, która trafia go w skroń. Kręci głową i uśmiecha się wesoło; jego serce zaczyna bić normalnie.

– Obaj wiemy, kto tu jest bałwanem – rzuca.

– Dobra. – Jim sięga po kufel. – Zapytałbym cię, co słyhać, ale chyba nie będziemy bawić się w takie pierdoły.

Steve kręci głową.

– Wiem, że to nic nie da, ale przykro mi – mówi Jim. – Wygląda na to, że Freddy był dobrym dzieciakiem. W kółko o nim gadałeś.

– Taaa. – Steve nie odrywa wzroku od jego twarzy i małych, brązowych oczek, które wyglądają jak szklane kulki za szklami okularów. Nie chce wracać wspomnieniami do więzienia i tego, jak dostawał zdjęcia i listy od sześćoletniego Freddy'ego, który pytał go, kiedy wróci do domu. Niczego nie żałował bardziej niż tego, że nie było go przy synu, kiedy ten był dzieciakiem.

– Dobra. – Jim wściekle drapie się kciukiem po boku nosa. – Miło cię widzieć, Steve, ale to nie może się więcej powtórzyć. Mam na myśli wspólny wypad na piwo. – Przenosi wzrok na barmana czyszczącego dozowniki.

Na zewnątrz spokojny, ale w środku aż gotuje się ze zdenerwowania, myśli Steve, pociągając łyk piwa. Nie ja jeden nie chcę wracać do pierdła.

Odstawia kufel i pochyla się w stronę byłego kumpla z celi.

– Minęło trochę czasu, odkąd rozmawialiśmy, i chciałem sprawdzić, czy wszystko jest jak należy – mówi. – I czy będzie tak, jak ustaliliśmy.

Nie może znieść tej ciszy. Proces odbył się niespełna sześć tygodni temu i po początkowym zainteresowaniu mediów, telefonach i wizytach przyjaciół i krewnych teraz jest tak, jakby tamto w ogóle się nie wydarzyło. Jak gdyby Freddy nie zginął. Życie toczy się dalej, a ludzie zachowują się, jakby wszystko

było w porządku. Ale Steve wie, że coś jest bardzo nie w porządku, lecz chyba tylko on jeden to zauważył.

– Tak jak mówiłem – odzywa się Jim, zniżając głos. – Mam kogoś na północy.

– I... – Steve ma wrażenie, że żołądek zaciska mu się w supeł. Chce już mieć to za sobą, szybko, tak by sprawiedliwości stało się zadość i żeby mógł powiedzieć synowi, że go pomścił. Wtedy w końcu będzie mógł zasnąć.

– Czeką na właściwy moment, zdobywa jej zaufanie. Nie ma sensu działać w pośpiechu i ryzykować, że coś pójdzie nie tak. Jeśli się da, zrobi to tak, żeby wyglądało na wypadek albo samobójstwo. Tak będzie prościej.

Ucisk, który Steve czuje w piersi, jest tak silny, że ledwie jest w stanie mówić.

– A jeśli się nie uda?

Jim wzrusza ramionami i odchyła się na krześle.

– Co ci zależy? Chcesz, żeby umarła. No to umrze.

Rozdział 14

Anna

Niedziela, 3 czerwca

Drugi dzień sztormu

Zeszłej nocy zasnęłam po drugiej. Kiedy tylko zamknęłam oczy, z ciemności pod powiekami wyłoniły się twarze Freddy'ego, Petera i Mohammeda, z zapadniętymi oczami i rozdziawionymi ustami. *Jak możesz spać po tym, co zrobiłaś?* Kiedy otworzyłam oczy, twarze nie odeszły, ale unosiły się w mroku pokoju. *Ty to zrobiłaś, Anno, zniszczyłaś nam życie.* Odwróciłam się i naciągnęłam kołdrę na głowę, ale miałam wrażenie, że się duszę. Nie mogłam oddychać. *My też nie możemy, Anno,* powtarzały głosy w mojej głowie. *My też nie możemy.*

Miałam wrażenie, że zdrzemnęłam się na zaledwie pięć minut, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Piąta trzydzieści, oznajmił David. Pobudka. Zwlokłam się z łóżka i z zamkniętymi oczami stałam pod prysznicem, podczas gdy ciepła woda spływała mi po włosach i ciele. Później owinięta ręcznikiem podeszłam do okna sypialni i patrzyłam na wzgórza i niebo, które ciągnęły się w nieskończoność. Nawet z deszczem dudniącym o szybę i niebem czarnym jak łupek krajobraz zapierał dech w piersi. W Londynie, spiesząc zatłoczonymi wąskimi ulicami, przemykając pod ziemią w wagonikach metra i kolejny raz zanurzając się w gąszczu ulic, czułam się mała i schwyтана w pułapkę, jak mysz w labiryncie. Codziennie jechałam do pracy tą samą drogą, tam i z powrotem, w tę i we w tę. Nie znalazłam drogi ucieczki, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby jej szukać. Aż do wypadku.

– Przepraszam. – Niski, dudniący głos wyrywa mnie z zadumy i podskakuje na krześle.

– Pan to pewnie Gordon. – Wstaję, gdy tymczasem potężny mężczyzna z wełnistą brodą, w kurtce przeciwdeszczowej sięgającej do połowy masywnych ud i jasnoniebieskiej czapce naciągniętej prawie na oczy, ociekając wodą, podchodzi do biurka.

– A ty musisz być Anna. – Krzywi się i ściska mi dłoń. – Miła odmiana po paskudnej gębie Davida.

– Tak mi się zdawało, że słyszę twój słodki szczebiot, Gordon. – David wychyla się zza drzwi do jadalni. Przy silnym szkockim akcencie Gordona jego głos brzmi niemal afektownie. – Goście kończą właśnie śniadanie i zaraz przyjdą. – Zamyka drzwi i znowu je otwiera. – A z moją gębą wszystko jest w porządku.

Gordon śmieje się, krzyżuje ramiona na potężnej piersi i patrząc na mnie, kiwa głową.

– Nie jedziesz z nami? Deszcz trochę się uspokoił.

Kręcę głową.

– Chciałabym, ale muszę posprzątać pokoje, zmienić pościel i przygotować lunch.

– Zmienić pościel i przygotować lunch! – powtarza Gordon z udawanym angielskim akcentem i znowu się śmieje. – Już wiem, dlaczego David cię zatrudnił. Dodajesz klasy tej zapyziałej norze.

– Poważnie? A ja myślałam, że dostałam tę pracę, bo nikt inny jej nie chciał.

– Wprost nie może się ciebie nachwalić.

Rozpiera mnie duma i odruchowo dotykam dłonią policzka.

– W tym tygodniu nie pracujesz w szkole?

– Nie. Jest przerwa semestralna. Ale jeśli pogoda znów się pogorszy – wygląda przez wąskie okno przy drzwiach wejściowych – być może będę musiał podjechać do szkoły i sprawdzić, czy dach nie przecieka.

Otwieram usta, żeby zadać mu kolejne pytanie, kiedy drzwi do jadalni otwierają się i pojawia się w nich Katie. Widząc Gordona, staje jak wryta, ale Melanie, która idzie tuż za nią, delikatnie popycha ją do przodu.

– Nie możesz tak po prostu stawać w drzwiach, Katie – strofuje ją. – Prawie na ciebie wpadłam!

Wita Gordona skinieniem głowy, rzuca radosne „Dzień dobry” i szturchnięciem pokazuje dziewczynie, żeby poszła na górę. Malcolm, który wchodzi do holu zaraz za nią, idzie w naszą stronę.

– Pan jest pewnie przewodnikiem – mówi, wyciągając rękę.

– Zgadł pan. – Gordon zamyka jego rękę w swej potężnej dłoni. – Gordon Brodie.

– Malcolm Ward. Mogę zadać panu kilka pytań dotyczących dzisiejszej trasy? Chodzi o to, że jest z nami czternastolatka i...

Chwilę po tym, jak obaj wychodzą z recepcji, z jadalni wysypują się kolejno Fiona, Christine i Joe. Uśmiechnięci witają mnie skinieniem głowy i idą na górę. Pięć minut później schodzą z plecakami i w ciepłych swetrach, gotowi do drogi. Kiedy wkładają buty i kurtki przeciwdeszczowe, David wychyla się zza drzwi.

Pospiesznie liczy obecnych i ściąga brwi.

– Kogoś brakuje – mówi.

– Trevora Morgana. Wyszedł jakieś pół godziny temu.

Stojący obok Malcolma Gordon unosi brwi.

– Sam?

Kiwam głową.

– Mam nadzieję, że wie, co robi. Ta okolica jest zdradliwa, zwłaszcza w taką pogodę.

Malcolm prychnie pogardliwie.

– My nie boimy się deszczu i błota, prawda, dziewczęta?

Melanie uśmiecha się i kręci głową. Katie, której rękawy swetra wystają z mankietów kurtki i zakrywają dłonie, nie wygląda na przekonaną.

– W takim razie ruszajmy. – Gordon otwiera drzwi i do holu wdziera się podmuch zimnego powietrza, przyprowadzając mnie o dreszcze.

Kiedy ostatni z gości wychodzi, zamykając za sobą drzwi, David opiera dłoń o futrynę i uśmiecha się do mnie.

– I jak? Już myślisz tylko o tym, żeby wsiąść na najbliższy prom i dać stąd nogę?

– Boże, nie!

Śmieje się.

– Możesz zmienić zdanie, kiedy zobaczysz, w jakim stanie są ich pokoje. – Ruchem głowy wskazuje jadalnię. – Napijmy się kawy i pokażę ci co i jak.

• • •

David powiedział, że zmiana pościeli i posprzątanie jednego pokoju zajmie mi góra dwadzieścia minut, ale już w pierwszym – w którym mieszka Joe Armstrong – spędziłam prawie czterdzieści minut, bo do głosu doszedł mój perfekcjonizm i chciałam, żeby wszystko wyglądało jak należy. Dziwnie się czułam, otwierając drzwi kluczem uniwersalnym i wchodząc do czyjegoś pokoju. Jak włamywacz stałam naprzeciw nieposłanego łóżka, plecaka opartego o ścianę, brudnych ubrań przerzuconych przez oparcie krzesła i drobiazgów leżących w nieładzie na szafce nocnej, biurku i półce łazienkowej. W końcu to skrępowanie minęło i zmieniwszy pościel, bez skrępowań wzięłam do rąk książki, zatyczki do uszu i butelkę wody i starłam kurz z szafki nocnej. W łazience sięgnęłam po kosmetyczkę, nie sprawdzając, czy jest otwarta, i zakląłam pod nosem, kiedy coś wypadło z brzękiem na podłogę. Było to małe białe pudełeczko z napisem *Accu-Chek Mobile* na wieczku. *Kasetka z testami do mierzenia poziomu cukru we krwi*, napisano na dnie. Schowałam pudełko z powrotem do kosmetyczki z nadzieją, że niczego nie zepsułam i że Joe ma w plecaku zapasowe testy. Na drugim końcu wyspy mieszkali ratownicy medyczni, ale gdyby któryś z gości miał poważne problemy ze zdrowiem, musielibyśmy wezwać przez radio pomoc z lądu. Kończąc sprzątać pokój, postanowiłam, że kiedy Joe wróci, powiem mu, co się stało.

Następnie poszłam do pokoju Christine Cuttle (bardzo czystego; na wierzchu nie znalazłam niczego oprócz butelki whisky Bowmore), a gdy otworzyłam drzwi do Melanie i Malcolma, ogarnęło mnie zmęczenie i poczułam, że muszę chwilę odpocząć. Po dwóch, góra trzech godzinach snu i posprzątaniu dwóch pokoi zaczynałam opadać z sił. Marzyłam tylko o tym, żeby powlec się do siebie, położyć się i zasnąć, ale nie mogłam, bo wciąż

chciałam zrobić dobre wrażenie na Davidzie. Z westchnieniem podniosłam się z krzesła, spryskałam twarz wodą i wsunęłam do ust cukierek z kofeiną.

To było dwadzieścia minut temu, a ja wciąż mam do ogarnięcia dwa pokoje. Mijam drzwi do Trevora Morgana – podobno prosił Davida, żebym tam dziś nie wchodziła – i otwieram te do Katie. Kiedy wychodzę z pokoju Fiony, bolą mnie plecy i głowa i cała jestem spocona. Zerkam na zegarek – dwunasta trzydzieści. Podczas gdy ja sprzątałam, David przygotowywał lunch, ale i tak nie mam czasu na szybki prysznic. Niebawem wrócą goście. Odkładam mop, wiadro i środki czyszczące do schowka na końcu korytarza i pędzę do pokoju, żeby opłukać się nad umywalką i zmienić koszulkę. Gdy zbiegam po schodach, drzwi wejściowe otwierają się i widzę zmokniętą i potarganą Christine. Zaraz za nią wchodzi Melanie z policzkami czerwonymi od wiatru. Wzdrygam się, kiedy podmuch zimnego powietrza wdziera się do środka.

– Udany spacer? – pytam, gdy zdejmują kurtki i trapery, które zostawiają przy wejściu.

– Męczący. – Christine wzdycha, rozwiązując sznurówki.

– I śliski – dodaje Malcolm, który przeciska się obok niej. Nogawki spodni ma pochłapane błotem.

Kiedy zdejmuje czapkę, na jego łysej głowie perlą się krople potu. Za nim do holu wchodzi Katie. Dziewczyna przedstawia sobą obraz młodszej nędzy i rozpacz.

– Wiem! – warczy, gdy Melanie upomina ją, żeby zdjęła buty.

Joe i Fiona wracają jako ostatni.

– Do jutra, stary! – woła Joe do Gordona, a ten w odpowiedzi podnosi rękę i zamyka za sobą drzwi.

Podczas gdy Joe wygląda na uradowanego, Fiona sprawia wrażenie zmartwionej i poirytowanej. Kiedy inni zdejmują mokre ubrania i rozchodzą się do pokoi, żeby wziąć ciepły prysznic i przebrać się, ona stoi przy wejściu w kurtce i butach i marszcząc brwi, wpatruje się w ekran telefonu.

– Kto ma ochotę na lunch? – pyta David, który niespodziewanie staje w drzwiach jadalni. Niewielki hol wypełnia ciepły drożdżowy zapach

dolatujący z pomieszczenia za jego plecami. – Mamy zupeł, świeżo upieczony chleb, pieczone ziemniaki, ser, szynkę, quiche i sałatę.

Goście, którzy wchodzą po schodach, kiwają głowami i pomrukują z aprobatą. Kiedy Joe mija moje biurko, podnoszę rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Tymczasem Fiona woła Davida i idzie do niego, wymachując telefonem.

– Tak? – Joe posyła mi szeroki uśmiech i muska dłonią brodę wciąż wilgotną od deszczu.

– Sprzątałam dziś twój pokój – zaczynam – i niestety, zdarzył się...

– W biurze podróży mówili, że na wyspie jest zasięg – zwraca się Fiona do Davida.

Mój szef jest odwrócony do mnie plecami, ale po jego postawie widzę, że nie podoba mu się ton jej głosu.

– Upuściłam coś – mówię, patrząc na Joego, który czeka cierpliwie, aż dokończę – kiedy sprzątałam łazienkę.

– Czekam na telefon od kogoś... – Fiona czuje na sobie moje spojrzenie. Ledwie zerkam w jej stronę, ale to wystarcza, żeby zniżyła głos.

– Przepraszam. – Patrzę znów na Joego.

On jednak kręci głową.

– Przez całą drogę marudziła, że nie może złapać zasięgu. Nie mam pojęcia, po co w ogóle brała ze sobą telefon. Więcej czasu spędziła, gapiąc się w ekran, niż podziwiając widoki.

– Rano był zasięg. – Sięgam do tylnej kieszeni, wydaję telefon i chowam go z powrotem, widząc informację o możliwości wykonywania jedynie połączeń alarmowych. – Ale teraz nie ma.

– To pewnie przez pogodę – domyśla się Joe. – Nawet na chwilę nie przestało padać. Czuję się jak człowiek-ryba. Tylko patrzeć, jak wyrosną mi skrzela.

Śmieję się.

– Przepraszam, że cię zatrzymuję. Chodzi o to, że sprzątajac łazienkę, przez przypadek upuściłam coś na podłogę. Chyba zestaw do pomiaru poziomu cukru we krwi. Wypadł z kosmetyczki. Bałam się, że mógł się zepsuć.

– Glukometr czy paski?

– Chyba... – Próbuję sobie przypomnieć, co było napisane na dnie pudełeczka, ale umysł mam zaćmiony ze zmęczenia. – Chyba paski.

– Nic im nie będzie. – Rozchmurza się i uśmiecha. – Spokojnie.

– Mam nadzieję.

Podchodzi do schodów, przystaje, odwraca się w moją stronę i zatrzymuje na mnie wzrok. W jego spojrzeniu jest coś, co sprawia, że czuję się tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłam Alexa wśród gości na domówce. Czas staje w miejscu. Głosy Davida i Fiony milkną, wycie wiatru za oknem ustaje. Nie mogłabym odwrócić wzroku, nawet gdybym chciała.

– Do zobaczenia – rzuca Joe i czar pryska.

Przez sekundę nie wiem, gdzie jestem i o czym rozmawiamy.

– Na lunchu. – Wskazuje na okno. – Chociaż jeśli pogoda się pogorszy, możliwe, że będziemy widywać się nieco częściej. – Śmieje się i dodaje głosem lektora filmowego: – A kiedy nadciągnął sztorm, nie było ucieczki...

•••

Miałam nadzieję, że zmęczeni wędrówką goście wieczorem zaszyją się w swoich pokojach. Ale nie, po kolacji wszyscy oprócz Trevora i Katie postanowili zejść do salonu na kieliszek czegoś mocniejszego. A ponieważ David miał wolne, to ja pełniłam dyżur w recepcji i to ja musiałam robić drinki, odpowiadać na pytania i zajmować się wszystkim do późnego wieczora. Było już po północy, kiedy skończyłam sprzątać hol, zamknęłam drzwi i upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, powlokłam się schodami na górę. Rozebrałam się, włożyłam piżamę, umyłam twarz i zęby. Resztkami sił padłam na łóżko, otuliłam się kołdrą i zamknęłam oczy.

To było prawie dwie godziny temu.

Nie rozumiem, jak mój mózg może przejść z trybu „Zaraz padnę ze zmęczenia” w tryb „Czy na pewno zamknęłam drzwi wejściowe?” i „Muszę pamiętać, żeby powiedzieć Davidowi, że lampa w pokoju Fiony nie działa” albo „Czy błędnie interpretuję sytuację, czy Joe jest mną zainteresowany?”. Później wpadam w ciemny wir myśli typu: „Jak w ogóle mogę myśleć o flirtowaniu z Joem, kiedy Freddy i Peter nie żyją?”.

Poczucie winy to takie podstępne uczucie. Czai się w mrokach umysłu, czekając, aż będzie mogło odsunąć na bok radość, zadowolenie i spokój; rośnie w siłę i spycha ze sceny wszelkie inne emocje, aż pozostaje już tylko ono. W dzień jestem zbyt zajęta, żeby myśleć o czymś innym niż obowiązki. Za dnia moje myśli o wypadku leżą skulone w kłębek i śpią, ale z chwilą, gdy świat wokół mnie zwalnia i uspokaja się, ziewają, przeciągają się i dobijają się do głowy, żądając posłuchu.

Z westchnieniem wychodzę z łóżka. Nie ma sensu udawać, że śpię. Równie dobrze mogę zejść na dół i zająć się tym, co zaplanowałam na jutro.

Kiedy wkładam szlafrok, szczelina między zasłonami rozjarza się blaskiem błyskawicy. Grzmoty przetaczają się nad wyspą od kilku godzin, a jeszcze do niedawna miarowy deszcz przybiera na sile. Najciszej, jak mogę, podchodzę do drzwi i otwieram je. Nie chcę obudzić Davida. Przy kolacji wyglądał na wykończonego, a nikomu nie wyjdzie na dobre, jeśli jutro oboje będziemy niewyspani. Idę na palcach schodami na dół i na krótką chwilę przystaję na piętrze dla gości. Wyteżam słuch, ale nie rejestruję nic oprócz cichego pochrapywania. Z dłonią na poręczy z polerowanego drewna schodzę do holu, coraz bardziej oddalając się od pomarańczowej poświaty oświetlenia awaryjnego i coraz bardziej pogrążając się w mroku. Patrę przed siebie i mrugając, próbuję dostrzec coś w otaczającej mnie atramentowej czerni. Na dole schodów obok drzwi prowadzących do holu jest włącznik światła i...

Zamieram, kiedy snop światła omiata pomieszczenie od prawej do lewej i od lewej do prawej, a zaraz potem znika.

– Halo? – Mój głos jest nieco głośniejszy od szeptu.

Odpowiedź nie nadchodzi, ale słyszę ciche poskrzypywanie wysuwanych i wsuwanych szuflad. Ktoś siedzi na moim krześle w recepcji i świecąc sobie latarką w telefonie, przetrząsa biurko.

– Halo?

Zasłaniam oczy ramieniem, kiedy światło przesuwa się w moją stronę.

– Boże, Anno. Przestraszyłaś mnie!

– Możesz... – Macham ręką. – Nic nie widzę.

– Tak, oczywiście. Przepraszam.

Słyszę trzask włącznika, a gdy opuszczam ramię, widzę Fionę, która stoi na dole schodów. Jest nieumalowana, jasne włosy opadają jej na ramiona.

– Co się dzieje? – pytam.

– Wybacz. – Patrzy na mnie przepraszająco. – Mam okres i strasznie boli mnie brzuch, a nie wzięłam żadnych środków przeciwbólowych. Nie chciałam nikogo budzić, więc zesłam do recepcji. Myślałam, że znajdę tu jakąś apteczkę albo coś w tym stylu.

– Mamy apteczkę, ale nie ma w niej środków przeciwbólowych. – Na biurku wszystko wygląda tak jak zawsze. Jeśli zaglądała do zielonej apteczki w dolnej szufladzie, musiała odłożyć ją na miejsce.

– Tak. – Śmieje się cicho. – Teraz już wiem.

– Trzeba było mnie obudzić. Właściwie – wskazuję na górę – mogę ci przynieść tabletki.

– Naprawdę? – Przykłada rękę do brzucha. – Byłoby super.

– Żaden problem.

W milczeniu idziemy na górę i dopiero gdy zatrzymujemy się na piętrze z pokojami dla gości, Fiona odchrząkuje i mówi:

– Wygląda na to, że ty i Joe się dogadujecie.

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć.

– Wszyscy goście są mili – odpowiadam zdawkowo.

Fiona wstrzymuje oddech, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale gryzie się w język. Kiedy docieramy do mojego pokoju, daję jej dwie tabletki ibuprofenu.

– Dzięki – rzuca, nie patrząc mi w oczy, po czym odwraca się i wychodzi.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Droga Mavis Mascull

1943–2014

*Która połączyła się ze swoim ukochanym Edwardem „Tede” Mascullem.
Słodka jest pamięć o niej, drogą jest jej imię, a ona sama na zawsze pozostanie
w naszych sercach.*

Zdumiewające, jak zwodnicze potrafią być pozory i jak nadal oceniamy ludzi na podstawie tego, co widzimy, słyszymy i przypuszczamy. Jak to mówią? Wystarczy siedem sekund, żeby zrobić pierwsze wrażenie. Wolimy myśleć, że nie oceniamy innych, ale tak nie jest. Oczywiście, że ich oceniamy. Wszyscy to robią. Życie jest mniej pogmatwane, kiedy szufladkujemy ludzi i przyklejamy im etykiety.

Zobaczmy więc, do jakich przegródek wrzucilibyśmy mieszkańców hotelu Bay View.

- właściciel*
- recepcjonistka*
- para*
- nastolatka*
- hipster*
- singielka*
- emerytka*
- samotnik*

Wiesz, którą z tych osób jesteś, Anno? Oczywiście! Recepcjonistką. Gratulacje. Jesteś paniusią, która siedzi za biurkiem, wystukuje coś na

klawiaturze laptopa i uśmiecha się do gości, kiedy ci wchodzi i wychodzi. Jesteś uprzejma, elegancko ubrana i chętna do pomocy. To zdumiewające, jak dobrze udajesz kogoś, kim nie jesteś.

Rozdział 15

Anna

Poniedziałek, 4 czerwca

Trzeci dzień sztormu

Z gardeł gości dobywa się jęk, kiedy David wchodzi do jadalni i oznajmia, że z powodu pogody dzisiejsza wycieczka została odwołana.

Malcolm odsuwa talerz ze śniadaniem i wstaje od stołu.

– Czy Gordon jeszcze tu jest? – pyta, wskazując głową hol. – Chciałbym zamienić z nim słowo.

David kręci głową.

– Niestety, nie ma go. Musiał jechać do szkoły. W nocy w budynek uderzył piorun i trzeba oszacować straty.

Unoszę brwi, ale nie powiem, żebym była zdziwiona. Burza, którą obserwowałam w nocy z okna pokoju, zapierała dech w piersi. Błyskawice cięły niebo jak nożyce materiał; wzdrygałam się na każdy huk grzmotu.

– I tak wyjdziemy – rzuca Malcolm. – Trevor już wyszedł.

Melanie, która bezskutecznie próbuje przekonać Katie, żeby zjadła ostatni kawałek tostu, podnosi wzrok na męża.

– Nie pozwolę wyjść Katie w taką pogodę. Jeszcze wiatr zdmuchnie ją z klifu.

– No to zostanie w hotelu. Do szczęścia potrzeba jej tylko telefonu.

Dziewczyna przewraca oczami i mruczy coś pod nosem. Sądząc po jej minie, chodzi o zasięg. Nadal go nie ma, chociaż sygnał Wi-Fi w hotelu jest silny.

– Nie zostawię jej tu samej – upiera się Melanie. – Ma dopiero czternaście lat.

Malcolm wzrusza ramionami.

– Jak sobie chcesz. W takim razie pójdę...

– Zwykle w takiej sytuacji – przerywa mu David – proponuję wycieczkę do zamku albo sklepików z artykułami rękodzielniczymi, ale rano dostałem telefon z informacją, że będą dziś zamknięte z powodu pogody.

Christine odchyła się na krześle, wzdycha ciężko i krzyżuje ramiona na piersi.

– A więc utknęliśmy w hotelu.

– W salonie są gry planszowe. – W głosie Davida słyhać udawaną wesołość. – A także karty do gry, szachy i tryktrak. Mamy kolekcję płyt DVD, gdyby ktoś chciał obejrzeć w pokoju film. No i oczywiście całe mnóstwo książek.

– Słyszałem, jak ktoś mówił, że w nocy wiatr powalił drzewo na jedną z szop. – Joe, który przez większą część rozmowy wyglądał przez okno, odwraca się i spogląda na Davida. – Potrafię to i owo. Chętnie pomogę.

– Tak. – David kiwa głową. – Większość szkód usunęliśmy jeszcze w nocy, zwłaszcza te w ogrodzie. Poluzowało się też kilka dachówek. Oczywiście, możesz pomóc, tylko uważaj. Nie jestem pewien, czy moje ubezpieczenie pokrywa szkody wyrządzone turystom przez burzę.

Joe zerka na mnie.

– Może Anna pokaże mi, co trzeba naprawić...

– Ja muszę... – zaczynam, lecz David kładzie rękę na moim ramieniu.

– Nie, nie – przerywa mi. – Pokaż panu Armstrongowi ogród. Ja załaduję zmywarkę. Posprzątasz pokoje, kiedy wrócisz.

Gdy odwraca się, żeby pójść do kuchni, kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

• • •

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, odwracam się, żeby powiedzieć coś do Joego, lecz jest tak wietrznie, że nie mogę oddychać, a co dopiero mówić.

Pokazuję mu więc, żeby szedł za mną. Przy rogu budynku zatrzymuję się i wskazuję ponad polami na klif i widoczne za nim morze. Wygląda jak ruchome spiętrzone góry w kolorze szarego granitu, z pianą, która przecina je niczym białe żyłki kwarcu.

– Niesamowite! – krzyczy Joe. Podnosi rękę do oczu, żeby zasłonić twarz przed zacinającym deszczem. – Pierwszy raz widzę coś takiego!

– Człowiek czuje, że żyje, prawda?

Kręci głową z podziwem.

– Masz szczęście, że tu mieszkasz!

To prawda. Jestem wielką szczęściarą, że trafiłam na Rum. Nawet w takie dni jak ten, kiedy wiatr jest tak silny, że niemal ciska mnie na ściany hotelu.

– Potęga morza – dodaje rozmarzony. – Jest piękne, a jednocześnie przerażające.

Przyglądam mu się ukradkiem, gdy tak stoi wpatrzony we wzburzone wody. W obcisłych czarnych dżinsach, z rękami w kieszeniach i kurtce koloru khaki z naciągniętym na głowę kapturem, pod którym widać mokrą brodę, wygląda jak hipsterski superbohater. Do pełni obrazu brakuje mu tylko butelki piwa kraftowego w dłoni. Nigdy nie przepadałam za tego rodzaju stylem, ale Joe ma w sobie coś, co mi się podoba. Na pewno nie jest pretensjonalny. Słyszałam, jak rozmawiał z innymi gośćmi, i wiem, że zawsze jest miły i zainteresowany rozmówcami. No i muszę przyznać, że pod krzaczastymi brwiami ma wyjątkowo seksowne oczy.

Kiedy zerka na mnie, jakby czuł na sobie moje spojrzenie, pospiesznie odwracam wzrok, zawstydzona, że mnie przyłapał.

– Dlaczego wyjechałaś? – pyta.

– Słucham?

– Z Londynu. To stamtąd pochodzisz, prawda?

– No... właściwie z Reading, ale przez pięć lat mieszkałam w Londynie.

Czeka, aż powiem coś jeszcze. Pod jego uważnym spojrzeniem czuję się... może nie skrępowana, mam jednak wrażenie, że patrzy nie na mnie, ale we mnie.

– Ja... yyy... miałam wypadek samochodowy. Dzięki temu zrozumiałam, czego naprawdę chcę od życia.

Joe unosi brwi. Nie z zaskoczeniem, raczej z uznaniem, jakbym powiedziała coś, do czego sam może się odnieść.

– A ty? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Miałem ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Śmiejemy się oboje. Pokazuję mu, żeby szedł za mną na tyły hotelu.

– Tam! – krzyczę, wskazując powaloną wierzbę, którą wiatr przewrócił na szopę ogrodową. Ceglane ściany przetrwały, lecz z dachu zostało niewiele.

Odwracam się, żeby zobaczyć, czy Joe wie, o co chodzi, ale on rzuca się na mnie i popycha z całej siły. Słyszę głośny brzęk, jakby ktoś z całych sił cisnął talerzem o ziemię, a zarazem potem przygnieciona przez Joego ląduję bez tchu na mokrej trawie. Leżę bez ruchu, zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. W końcu Joe odtacza się na bok, spogląda w niebo i rozkłada ręce.

– Jezu Chryste – mówi i obraca się na bok, żeby na mnie spojrzeć. – Nic ci nie jest?

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Co jest, do cholery? Czemu...

Milknę i patrzę we wskazanym przez niego kierunku. Pokazuje na ścieżkę biegnącą wokół budynku, upstrzoną ostrymi kawałkami potłuczonych dachówek.

– Spadły jak gilotyna! – tłumaczy. – Po prostu ześlizgnęły się z dachu. Nie zauważyłbym ich, gdybym stał tam gdzie ty. Rozwaliłyby nam głowy.

– Dziękuję. – Podnoszę się z ziemi. Dżinsy, ręce i policzek mam uwalane błotem. – Boże... chyba właśnie uratowałeś mi życie.

Dobrodusznie wzrusza ramionami.

– Zrobiłabyś dla mnie to samo. Nadal masz ochotę oglądać to powalone drzewo, czy wolisz wrócić do środka?

•••

Nie mogliśmy nic zrobić ani z drzewem, ani z szopą. Wierzba była zbyt mokra, żeby ją podnieść, a Joe uznał, że próbując ją odciągnąć, jeszcze bardziej uszkodzilibyśmy ściany. Nie mieliśmy jak dostać się do środka, żeby

ocalić kosiarkę do trawy, podkaszarkę żyłkową, maszynę do przycinania żywopłotu i inne sprzęty, więc zostawiliśmy je i wróciliśmy do hotelu. Joe poszedł przekazać złe wieści Davidowi, a ja wzięłam u siebie prysznic. Zamierzałam zejść do holu schodami dla pracowników, kiedy usłyszałam dobiegające z dołu głosy. Pode mną na korytarzu z pokojami dla gości rozmawiali Wardowie. Zatrzymałam się, nie chcąc im przeszkadzać.

– Kompletnie zamknęła się w sobie – usłyszałam głos Melanie.

– To zrozumiałe. Wiele przeszła.

– Próbowałam z nią o tym porozmawiać, ale na każdą wzmiankę o ojcu zmienia temat.

O ojcu? Zakładałam, że to Malcolm jest ojcem Katie.

– Tęskni za nim – powiedział. – Po prostu daj jej czas.

– Tak, ale... – Melanie urwała, kiedy przeniosłam ciężar z jednej nogi na drugą, na co deski podłogowe pod moimi stopami zaprotestowały głośnym skrzypnięciem.

Malcolm odchrząknął.

– Chodź, zobaczymy, gdzie jest.

Czekałam na szczycie schodów i dopiero gdy ich kroki ucichły, zeszłam piętro niżej i ruszyłam do schowka ze środkami czystości na końcu korytarza. O cokolwiek chodzi między Melanie, Malcolmem i Katie, to nie moja sprawa, powiedziałam sobie, wyjmując mopa i wiadro. To mnie nie dotyczy, upomniałam się w duchu, kiedy otworzyłam drzwi do ich pokoju i rozejrzałam się.

• • •

Hol jest pusty, kiedy idę na dół, ciągnąc po schodach czarne worki ze śmieciami. Słyszę jednak rozmowy i śmiech, a w całym hotelu pachnie wybornie stekami Davida i potrawką piwną. Posprzątawszy wszystkie pokoje z wyjątkiem tego, w którym mieszka Trevor, odwieszam klucz uniwersalny na kołek i wynoszę worki na zewnątrz do stojących na tyłach hotelu kubłów na śmieci. Omijam ściany szerokim łukiem i spoglądam na dach. Przeraza mnie myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby Joe mnie nie odepchnął.

Powstrzymuję ziewnięcie i wrzucam worki do kosza. Potrzebuję więcej snu. David nie zauważył jeszcze, jak bardzo jestem zmęczona, ale to tylko kwestia czasu. Jeśli nie będę ostrożna, zacznę popełniać błędy. Nawet dziś, kiedy sprzątałam pokoje, nie mogłam sobie przypomnieć, czy zmieniłam pościel Fiony. Dopiero gdy odrzuciłam kołdrę i zobaczyłam, jak głęboko prześcieradło jest wciśnięte pod materac, uświadomiłam sobie, że to zrobiłam.

Wracając do hotelu, mówię sobie, że napiję się kawy i po lunchu trochę się zdrzemnę. Ale gdy otwieram drzwi, woła mnie David, który stoi przy biurku w towarzystwie Trevora Morgana.

– Anno, mogę prosić cię na chwilę?

– Jasne. – Ze ściśniętym żołądkiem podchodzę do biurka. David się nie uśmiecha. Trevor również. – Tylko to zdejmę. – Wskazuję na ociekający wodą płaszcz przeciwdeszczowy. Ściągam go, wieszam na kołku i zmieniam buty.

– Sprzątałaś dziś rano pokoje, tak? – pyta David.

– Tak, skończyłam sprzątać ostatni jakieś... – Zerkam na zegarek. – Dwadzieścia minut temu. Coś się stało?

– Byłaś w moim pokoju – odzywa się Trevor. – Chociaż mówiłem Davidowi, żebyś tam nie wchodziła. – Włosy ma zaczesane do tyłu, a jego niebieski polar wydaje się ciemniejszy na ramionach, jakby kurtka przemokła od deszczu. Nie słyszałam, jak wrócił ze spaceru. Musiał przyjść, kiedy wyrzucałam śmieci.

Przenoszę wzrok z Trevora, którego ciemne, małe jak paciorki oczka gapią się na mnie zza szkieł okularów, na Davida. Mój szef unosi brwi, co odczytuję bardziej jako przejaw sympatii niż zdumienia. Uważa, że Trevor robi problem tam, gdzie go nie ma.

– Nie sprzątałam pańskiego pokoju – mówię. – Nawet tam nie wchodziłam.

– Więc kto poskładał moje ręczniki?

– Słucham?

– Ktoś wszedł do mojego pokoju i poskładał ręczniki, które zostawiłem powieszony na wieszaku w łazience.

– Nie wiem, jak to się stało, ale to nie ja. Tak jak mówiłam, nie wchodziłam do pańskiego pokoju.

David wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że on również tam nie wchodził.

– Zabrałaś coś, co należy do mnie. – Trevor wyciąga rękę. – Chciałbym to odzyskać.

– Coś się stało? – Zza drzwi sali telewizyjnej wygląda wyraźnie zaintrygowana Christine Cuttle. – Usłyszałam podniesione głosy i pomyślałam...

– Wszystko w porządku, Christine. Dziękujemy. – David machnięciem ręki pokazuje jej, żeby wróciła do pokoju.

Czekamy w milczeniu, aż Christine zamknie drzwi. Dopiero wtedy spoglądam na Trevora.

– Co zostało zabrane z pana pokoju?

– Coś, co należy do mnie. Leżało na szafce nocnej.

– Co dokładnie?

– Dobrze wiesz.

– Nie, nie wiem. – Patrzę na Davida, przerażona, że ktoś oskarża mnie o kradzież. – Przysięgam na Boga, że nie byłam w pańskim pokoju i niczego stamtąd nie wzięłam.

– Jak już mówiłem, panie Morgan, może to, czego pan szuka, spadło z szafki nocnej i leży pod łóżkiem. – Głos Davida jest zdecydowanie spokojniejszy i bardziej wyważony niż mój. – Jeśli powie nam pan, o co chodzi, może będziemy mogli pomóc w poszukiwaniach.

Trevor piorunuje go wzrokiem. Jego oczy są jak wąskie, ciemne szparki w nalanej twarzy.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek wchodził do mojego pokoju. Ani pan, ani ona, ani nikt inny. Chcę również odzyskać swoją własność.

Jestem tak przejęta, że robi mi się niedobrze. Okradanie gości to wykroczenie, za które wylatuje się z pracy, a ja jestem na trzymiesięcznym okresie próbnym. Jeśli David uwierzy w oskarżenia Trevora, wrócę do domu najbliższym promem.

– Powiedziałam – zaczynam – że nie byłam w pańskim...

Szef uciska mnie gwałtownym machnięciem dłoni. W zamyśleniu kładzie palec na ustach, a ja tłumię słowa protestu i wbijam wzrok w podłogę.

– Przykro mi, że coś panu zginęło, panie Morgan – mówi ze spokojem David. – Ale nie mam powodu podejrzewać, że Anna zignorowała moją prośbę, by nie wchodzić do pańskiego pokoju. Nie wierzę również, że zabrała którąś z pańskich rzeczy. Jest tu nowa, mimo to jej ufam i jeśli twierdzi, że niczego nie wzięła, wierzę jej na słowo.

W tym momencie czuję, jak schodzi ze mnie całe napięcie i oddycham swobodnie. David mi wierzy. Bogu niech będą dzięki. Podnoszę wzrok na Trevora. Jego zimne, stalowoszare oczy wwiercają się w Davida. Ten jednak nie odwraca wzroku. Zmusza się do uśmiechu i mówi:

– Jeśli jest jeszcze coś, w czym mogę pomóc, proszę mówić. Jeśli nie, zobaczymy się za pół godziny w jadalni na lunchu.

Trevor wpatruje się w niego przez kilka kolejnych sekund, po czym odwraca się na pięcie i rusza po schodach na górę.

– Anno – odzywa się David, kiedy kroki Trevora cichną, a ja mam ochotę rzucić mu się na szyję i pocałować go w szorstki, czerwony policzek, ale się powstrzymuję.

– Naprawdę nie wchodziłam do jego pokoju.

– Wiem. – Pokazuje mi, żebym nachyliła się w jego stronę, i zniżając głos do konspiracyjnego szeptu, dodaje: – Sądzę jednak, że zrobił to ktoś inny.

Rozdział 16

Mohammed

Mohammed gapi się w sufit i liczy płytki, podczas gdy lekarz rozmawia z jego rodzicami. To ta sama gadka, którą doktor Newman sprzedał mu kilka dni wcześniej. Słowa spływają po nim: uszkodzenie kręgu T6 i nerwów kręgosłupa piersiowego, pobyt w szpitalu od trzech do dziewięciu miesięcy, trudno określić, rehabilitacja potrwa prawdopodobnie około dwóch lat, podejrzenie paraplegii, formy porażenia, w której pacjent jest sparaliżowany od pasa w dół.

Słyszy zboląły krzyk matki i niskie dudnienie głosu ojca, który zasypuje lekarza pytaniami. Z kącika oka Mohammeda spływa samotna łza.

– Już dobrze, kochanie. – Matka pochyła się nad nim i rękawem swetra delikatnie wyciera mu twarz.

Mohammed znów czuje się jak dziecko. Nie, nie jak dziecko. Dziecko mogłoby uciec i się schować. Czuje się jak ameba albo jak żywy trup. Mózg uwięziony w ciele, które nie reaguje bez względu na to, jak głośno krzyczy, żeby robiło, co mu każe.

Najgorsze są ręce. Nie jego. Ich. Pielęgniarek, lekarzy i rodziców. Przed wypadkiem nie lubił, kiedy go dotykano; wzdrygał się przed przytulaniem i krzywił na myśl o uściskach dłoni i poklepywaniu po plecach. Teraz bez przerwy ktoś go dotyka, wyciera, przesuwają albo głaszczą, a on nie może nic z tym zrobić. Musi tak leżeć i znosić wszystkie te rzeczy, bo wygląda na to, że powinien być wdzięczny, że w ogóle żyje. Wdzięczny? Kolejna łza skapuje z kącika oka i spływa we włosy. Do końca życia będzie siedział na wózku. Już nigdy nie będzie chodził, biegał, jeździł na rowerze ani na nartach.

– Proszę, Mo, nie płacz. – Matka ociera łzę i kładzie mu rękę na głowie. Głaszczą go i głaszczą, jakby był psem, a on nie protestuje, bo wie, że

przynajmniej ona znajduje pocieszenie w tej jakże prozaicznej czynności.

– Gdzie babcia? – pyta Mohammed.

Babcia pierwsza z całej rodziny zobaczyła go po wypadku. Była pierwszą znajomą twarzą, jaką zobaczył po korowodzie twarzy pielęgniarek, lekarzy i policjantów. Jej widok przyniósł mu większą ulgę niż silne lekarstwa, które pompowano mu do żył i którymi faszerowano jego mięśnie. Babcia była skałą i mógł się jej ucześcić. Była zupełnym przeciwieństwem jego matki – opanowana, a nie neurotyczna, zrównoważona, a nie emocjonalna i lekkomyślna. Niezawodna. Nigdy nie widział, żeby płakała. Ani razu. Także wtedy, gdy umarł dziadek i kiedy walczyła z chorobą. Nawet tamtego dnia, kiedy spojrzała mu w oczy i zapytała go, jak się czuje. Wiedział, że może powiedzieć jej prawdę, a ona nie wzdrygnie się i nie będzie go oceniać.

– Jestem zły – wyznał. – Jestem tak wściekły, że mógłbym krzyczeć.

– To normalne – odparła. – To nic.

– Tak? Wiesz, co powiedziałem lekarzowi, kiedy dowiedziałem się od niego, że Freddy nie żyje? Powiedziałem, że zazdroszczę Freddy’emu. Że żałuję, że też nie zginąłem.

– Nadal tak się czujesz? – spytała, patrząc na niego ze spokojem.

– Nie.

Jej twarz złagodniała odrobinę, a ręce, które trzymała splecione kurczowo na kolanach, rozluźniły się.

– Babcia nie mogła dziś przyjść – mówi matka. – Ale kazała ci przekazać, że cię kocha. Tim też. Mówił, żebyś się nie spieszył. Że Anna nie wróci... – Urywa i zakrywa dłonią usta. Powiedziała coś, czego nie powinna była mówić.

– Mamo... prosiłem, żebyś o niej nie wspominała.

Czemu wszyscy chcieli, żeby przez cały czas mówił o Annie? Zupełnie jakby go prześladowała. Nie, jakby z niego szydziła. Ona jedna wyszła z wypadku bez szwanku. Wyszła, dosłownie.

Tak naprawdę Mohammed wie, że to nie była jej wina; nie mogła przecież wiedzieć, że ciężarówka zjedzie na sąsiedni pas i uderzy w samochód, którym jechali, ale nie chce widzieć smutku w oczach Anny, kiedy podchodzi do jego łóżka i przekonuje go, jak bardzo jest jej przykro. Nie chce też jej współczucia. Nie chce niczyjego współczucia. Chce zamknąć oczy i obudzić się w domu,

w swoim łóżku, z powrotem w normalnym życiu. Ale sen jest bardziej zwodniczy od rzeczywistości. Sen jest nadzieją. Okrutną, okrutną nadzieją. Mohammed nie pamięta, ile razy śniło mu się, że lekarz mówi, że się pomylili, że z jego kręgosłupem jest wszystko w porządku i może iść do domu. Dlatego teraz walczy z sennością. Nie dlatego, że nie radzi sobie ze snami, ale dlatego, że przebudzenia są tak bardzo bolesne.

Rozdział 17

Anna

Wtorek, 5 czerwca

Czwarty dzień sztormu

– Znalazłeś klucz? – pytam Davida, kiedy niesiemy talerze, kubki i sztućce z kuchni do jadalni. Jest pora śniadania, czwarty dzień pobytu gości na wyspie Rum, a za oknami błyskawica rozdziera ciemne, zasnuwane chmurami niebo. Kiedy chwilę wcześniej otworzyłam drzwi wejściowe, wiatr omal mnie nie przewrócił. Wszyscy, którzy liczyli, że wybiorą się dziś na wycieczkę, będą srodze rozczarowani.

– Nie. – David kręci głową. – Sprawdziłaś kieszenie?

– Mówiłam ci, odwiesiłam go na haczyk.

Wczoraj w porze lunchu, po tym, jak Trevor poszedł na górę do swojego pokoju, David zapytał mnie, gdzie jest zapasowy klucz uniwersalny. Pomachał mi przed nosem breloczkiem, który zwykle nosi przypięty na łańcuszku przy spodniach. Są na nim wszystkie hotelowe klucze uniwersalne. Zapasowe – w tym ten, którym otwieram drzwi do pokoi gości – są w recepcji.

– Jest na... – Wskazałam wieszak na klucze, ale górny lewy haczyk był pusty. – Ale jestem pewna, że... – Weszłam za biurko i sprawdziłam na podłodze, na biurku i w szufladach. – Na pewno go odwieszałam. Zrobiłam to, zanim wyszłam ze śmieciami.

– Nie wrzuciłaś go przypadkiem do kubła?

– Nie. Jestem pewna.

Ale wcale nie byłam pewna. Skoro nie pamiętałam, czy zmieniłam pościel w pokoju Fiony, może zapomniałam też, gdzie położyłam klucz. Brak snu nie

tylko ograbił moje ciało z energii, ale zaczynał też płać figle mózgowi. Pod czujnym okiem Davida jeszcze raz sprawdziłam kieszenie spodni roboczych i kurtki. Cierpliwie czekał w recepcji, podczas gdy ja przetrząsałam schowek ze środkami czystości i bielizniarkę, i nie powiedział ani słowa, gdy ubrałam się i wyszłam, żeby zajrzeć do kubłów na śmieci. Kiedy wróciłam z pustymi rękami i zalatująca zgnitym jedzeniem, wzruszył ramionami.

– Na pewno się znajdzie.

– A jeśli wzięł go któryś z gości i wszedł do pokoju Trevora? – odparłam szeptem, widząc Joego wychodzącego z salonu. Powitał nas skinieniem głowy, przeciął hol i otworzył drzwi do toalety.

Pierwszy raz tego dnia David wyglądał na naprawdę zdenerwowanego.

– To będzie miał dostęp do wszystkich pokoi w hotelu.

Nadal się martwi, widzę to po jego przygarbionych ramionach, napięciu i zbolalej minie, która pojawia się na jego twarzy za każdym razem, kiedy David myśli, że nie patrzę. Szybko zmieniam temat.

– Wiedziałaś, że sztorm będzie aż tak silny? – pytam, stawiając talerze i miski na kredensie.

On również odstawia naczynia i zerka na mnie kątem oka.

– Oczywiście, że wiedziałem. Nie możesz mieszkać na Rum i nie sprawdzać regularnie prognozy pogody. Ale biznes to biznes. Gdybym odwoływał rezerwacje za każdym razem, gdy nadciąga sztorm, musiałbym sprzedać wszystko i wynieść się stąd w ciągu roku. Wkrótce się roz pogodzi i jeśli nasi goście będą mieli szczęście, zostanie im dzień, dwa na wędrowniki... pod warunkiem że nie przeszkadza im błoto.

– Wiesz, że Wi-Fi padło?

David wzdycha.

– Tak. Facet z żoną... ten łysiejący... jak on się nazywa?

– Malcolm Ward?

– O właśnie. Przed śniadaniem zszedł do recepcji, żeby mi o tym powiedzieć. Jego żona oglądała program na iPlayerze i nagle sygnał zniknął. – Wzrusza ramionami. – Zobaczysz, co się stanie, kiedy odkryją, że nie mogą skontaktować się z rodzinami.

– Ale jest przecież telefon stacjonarny.

– Na razie.

– Nie martwi cię to? Świadomość, że jesteś zupełnie odcięty od świata?

– Czy nie po to właśnie ludzie przyjeżdżają na Rum? Zwykle? Żeby uciec od wszystkiego. Nie po to tu jesteś?

– Właściwie tak.

– Sama więc widzisz. W każdym razie Gordon ma w swojej chatce telefon satelitarny, gdybyśmy naprawdę utknęli tu na dobre. Chociaż dzisiaj się nie odzywał. – Otwiera kredens, wyjmuje plastikowe pojemniki z płatkami śniadaniowymi i stawia na blacie. – Napełniłaś je? – pyta, unosząc brwi.

– Tak, wczoraj wieczorem. – Przemilczam fakt, że zrobiłam to o pierwszej w nocy, bo nie mogłam spać.

– Dobra robota. – Kiwa głową z uznaniem i kciukiem wskazuje kuchenne drzwi. – Tylko nie spocznij na laurach, dziewczyno. Trzeba wyjąć chleb z pieca.

• • •

Pierwszy z gości pojawia się w drzwiach jadalni punktualnie o siódmej rano i wcale nie dziwi mnie, że to Trevor. Nie odzywa się słowem ani do mnie, ani do Davida. Lawiruje między stołami i siada najbliżej okna.

– Ty go obsłuż – wydaje mi polecenie David, wygladzając fartuch na brzuchu. – Ja idę do kuchni. – Śmieje się. – Tam gdzie moje miejsce.

Ignorując dziwną, pełną napięcia ciszę, która nastaje po jego wyjściu, sięgam do kieszeni fartuszka po notes i długopis i podchodzę do Trevora.

– Dzień dobry – mówię, on jednak nie podnosi wzroku. – Co panu podać?

– Kiełbaski, bekon i jajka sadzone. Żadnej fasoli, pomidorów, kaszanki ani tostów.

– Oczywiście. – Notuję wszystko skrupulatnie. – A do picia?

– Kawę.

Tak trudno powiedzieć „proszę”, myślę i o mały włos nie mówię tego na głos, ale w porę gryzę się w język.

– Dobrze. Zaraz wszystko podam.

Kiedy się odwracam, w drzwiach do jadalni pojawiają się pozostali goście; wszyscy z wyjątkiem Katie. Joe kieruje się do stołu, przy którym siedział wczoraj, podczas gdy Christine, Malcolm, Melanie i Fiona rozmawiają z ożywieniem. Czekam, aż na chwilę przerwą, i pytam, czy usiądą przy osobnych stołach, czy razem. Melanie zerka w stronę holu.

– A może wolicie zaczekać na Katie? – dodaję.

Kręci głową.

– Powiedziała, że chce dzisiaj dłużej poleżeć w łóżku – mówi. – Może nawet do dziesiątej.

Uśmiecham się, ale w głębi duszy kulę się w sobie. David nie będzie zachwycony, kiedy mu powiem. Nie będzie mógł zamknąć kuchni na kilka kolejnych godzin. Z powodu jednej osoby. Od rana przebąkuje o tym, że musi sprawdzić generator w piwnicy, na wypadek gdyby zabrakło prądu.

– Rozumiem. Czyli stół dla czterech osób czy...

Christine spogląda na pozostałą trójkę, a oni kiwają zgodnie głowami.

– Stół dla czterech osób.

– Ten sztorm chyba nie minie – rzuca Fiona, kiedy prowadzę ich do stołu. – Zanim padł internet, wyczytałam w raporcie pogodowym, że ma być jeszcze gorzej.

– Poważnie? – pyta Malcolm. – Nie wiem, ile partii remika mogę jeszcze rozegrać, zanim zaczniesz mi odbijać.

– To straszne. – Christine sadowi się na krześle. – Liczyłam, że dziś pójdziemy do zamku. Anno, może ty albo David moglibyście zabrać nas do zamku land roverem?

– Zapytam go – odpowiadam i idę do kuchni.

David wyciera ścierką do naczyń krawędzie talerza, na którym leżą dwie kiełbaski, trzy plasterki bekonu i jajka sadzone.

– Proszę. – Wręcza mi talerz i wierzchem dłoni ociera spocone czoło.

– Wszystko w porządku?

Kręci głową.

– Strasznie tu gorąco. Chyba regulacja ogrzewania szwankuje. Żaden z gości się nie skarżył?

Po jego twarzy spływa kropla potu. W kuchni jest ciepło, ale nie ciepłej niż zwykle. Za to w jadalni, prawdę mówiąc, jest dość chłodno.

– David, myślę, że powinieneś napić się wody i trochę posiedzieć. Ja się tym zajmę.

– Nie, nie. – Odgania mnie machnięciem ręki. – Ty musisz zająć się gośćmi. Nic mi nie jest. Pewnie się przeziębilem. Mam nadzieję, że to nie przekłeta grypa.

• • •

David staje w drzwiach kuchni, akurat gdy wracam z pustym talerzem Trevora, który wyszedł z jadalni jakieś dziesięć minut temu. Kiedy pozostali goście powitali go gromkim „Dzień dobry”, pokiwał głową i machnął ręką, ale nie odezwał się ani słowem.

– David – zaczynam. – Może...

– Chwileczkę. – Podnosi rękę i poruszając ustami, w milczeniu liczy gości. – Brakuje jednej osoby.

– Katie Ward. Jej matka mówiła, że dziewczyna chce trochę poleniuchować. Przed dziesiątą powinna zejść.

David zerka na zegarek i wzdycha. Jest dopiero siódma trzydzieści pięć.

– Zrobię jej śniadanie, jak zejdzie – obiecuję. – Potrafię usmażyć jajka na bekonie.

– Dobrze, ale muszę nauczyć cię obsługiwać zmywarkę. – Popycha skrzydło drzwi, przystaje i chwytą się futryny. Na jego czole i górnej wardze perli się pot.

– David? Nic ci nie jest?

Chwytą się za pierś i patrzy na mnie przerażonym wzrokiem.

– Nie mogę... – zaczyna.

– Usiądź. – Sięgam po najbliższe krzesło, ale zanim udaje mi się je przysunąć, David osuwa się na podłogę.

– Davidzie? DAVID! – Nawet nie widząc, że wszyscy goście zrywają się od stołów i biegną w naszą stronę, klękam przy nim i chwytam go za nadgarstek. Oczy ma zamknięte, pierś nieruchomą. – Wezwijcie karetkę!

Słyszę krzyk, kroki dudniące na drewnianej podłodze holu, i nagle otaczają mnie ludzie, którzy napierają na mnie i mówią coś jeden przez drugiego.

– Co się stało?

– Zemdlał?

– To zawał?

– Oddycha?

– Proszę! – mówię błagalnie. – Proszę, bądźcie cicho. – Wodzę palcami po nadgarstku Davida. Nie czuję tętna, ale nie wiem, czy to dlatego, że krew dudni mi w uszach, czy może robię coś nie tak... A może po prostu...

Za moimi plecami goście sprzeczkają się o to, kto ma największe doświadczenie w udzielaniu pierwszej pomocy.

– Telefon stacjonarny nie działa – oznajmia Joe, który staje obok głowy Davida, zdyszany i z paniką wypisaną na twarzy. – Próbowałem zadzwonić na numer alarmowy, ale w ogóle nie ma sygnału. Musimy znaleźć Gordona.

– Nie mogę go tu zostawić – mówię.

– My się tym zajmiemy – proponuje Malcolm.

Pomaga mi wstać, podczas gdy Christine pochyla się nad nieruchomym ciałem Davida i ciągnie go za ramię, by ułożyć go na plecach.

– Zróbcie miejsce! – krzyczy, splatając palce. – Proszę, odsuńcie się i zróbcie trochę miejsca!

Obserwuję to wszystko jak we śnie. Jak gdyby nie działa się naprawdę.

– Anno? – Joe potrząsa mnie za ramię i zagląda mi w oczy. – Anno, musimy znaleźć Gordona. Musimy wezwać karetkę. Natychmiast!

Kiedy ciągnie mnie za sobą przez jadalnię, słyszę tylko rytmiczny dźwięk, z jakim Christine ugniata pierś Davida.

Rozdział 18

Trevor

Ziemia płaska pod grubymi podeszwami butów trekkingowych Trevora Morgana i z każdym krokiem do nogawek jego spodni przywiera błoto. Trevor drży pod grubą kurtką firmy Gore-Tex i ogląda się na hotel Bay View. Ledwie wyszedł na poranny spacer, kiedy przecinając podjazd, kątem oka dostrzegł poruszenie w jadalni. Przystanął przy oknie i patrzył, jak goście przepychają się obok kuchennych drzwi. Dopiero gdy się odsunęli, zobaczył, że właściciel hotelu leży na podłodze, a starsza kobieta klęczy obok niego, ugniatając jego pierś. Jej siwa głowa podskakiwała w górę i w dół.

Widział, jak zamykają się drzwi między jadalnią a holem, a Christine – przypomniał sobie, że tak właśnie ma na imię – przestaje reanimować mężczyznę i ujmuje w dłonie jego rękę. Nie mógł zobaczyć jej twarzy, ale zauważył, że pochyła się nad właścicielem hotelu i delikatnie odgarnia mu włosy z czoła.

Trevor odwrócił się gwałtownie i drżącymi rękami zasłonił oczy. Kiedy znów spojrzął, kobieta zmieniła pozycję i przesunawszy dłonią po twarzy mężczyzny, zamknęła mu oczy.

A więc nie żył.

Trevor dziesiątki razy oglądał śmierć. Głównie mężczyzn, ale widział też, jak odchodzą kobiety. Za pierwszym razem popłakał się i upił, żeby uśmierzyć ból, i przez kilka dni prawie nie zmrużył oka. Za drugim razem było trochę lepiej, ale tylko odrobinę. Ostatnim razem nawet nie mrugnął okiem.

Teraz wzdrygnął się, kiedy Christine odwróciła się, czując na sobie jego spojrzenie. Utkwiła w nim wzrok, a on czym prędzej odszedł od okna.

Skręcił w lewo za rogiem hotelu, kierując się w stronę klifu, i w tym momencie usłyszał chrzęst kroków na żwirze i zobaczył dwie sylwetki –

mężczyzny i kobiety – spieszące podjazdem. Odprowadzał je wzrokiem, aż były zbyt daleko, by zobaczyć je wyraźnie; wtedy podniósł do oczu lornetkę. Wydawało się, że idą do małej chatki u stóp wzgórza. Był tam poprzedniego dnia i nikogo nie zastał. Właściciel nie wrócił. Jeśli tych dwoje myślało, że po drugiej stronie zalanej wodą drogi znajdą ambulans albo karawan, bardzo się myliło. Hotel Bay View był całkowicie odcięty od świata, z czego Trevor Morgan bardzo się cieszył.

Rozdział 19

Anna

– Gordon?! – Pięciami walę do drzwi chatki, podczas gdy Joe biegnie do najbliższego okna, przykłada dłoń do szyby i zagląda do środka. Deszcz sprawił, że otrząsnęłam się z szoku i niedowierzania po tym, jak zobaczyłam upadającego Davida. Teraz czuję tylko wszechogarniające przerażenie.

– Halo? Jest tam kto?

Joe znika za rogiem i chwilę później pojawia się znowu. Ciemne włosy lepią mu się do czoła, krople deszczu skapują z nosa i ściekają na splątaną brodę. Biegliśmy nie dłużej niż dziesięć minut, ale kurtkę, sweter i koszulkę mam mokre od deszczu, którego lodowate palce szczypią moją skórę.

Joe mówi coś, lecz wiatr unosi jego głos, więc kręcę głową na znak, że nie rozumiem.

– Nikogo nie ma! – krzyczy, waląc pięścią do drzwi. – Nie pali się żadne światło. I nie ma samochodu. – Wskazuje ręką wąski prostokąt żwiru z widocznymi ciemnymi śladami kół. – Wygląda na to, że nie wrócił wczoraj ze szkoły.

– Spróbuj jeszcze raz zadzwonić ze swojego telefonu! – odkrzykuję.

– Nie ma zasięgu – odpowiada i kręci głową.

– Cholera. – Walę pięściami do drzwi i opieram czoło o mokre drewno. Nie wiem, co robić. Próbowałam zadzwonić z telefonu stacjonarnego w recepcji, ale wiatr musiał uszkodzić linię. Wszyscy próbowali dzwonić ze swoich komórek; Malcolm pobiegł nawet na górę, żeby obudzić Katie i poprosić ją, żeby sprawdziła swoją, nikt jednak nie miał zasięgu. Bez internetu naszą jedyną nadzieją jest telefon satelitarny Gordona, ale jego nie ma w domu. I Bóg jeden wie, kiedy wróci. – Musimy wpakować Davida do land rovera i zawieźć go do wsi.

Joe dotyka mojego ramienia.

– Co?! – krzyczy mi do ucha.

– Musimy jechać. – Pokazuję na migi, udając, że prowadzę samochód.

Kręci głową.

– Rzeka wylała. Popatrz. – Wskazuje dolinę między górami.

Nawet z tej odległości widzę rwącą rzekę w miejscu, gdzie jeszcze niedawno płynął leniwie płytki strumień.

– Musimy spróbować. Chodź. – Pokazuję mu, żeby biegł za mną z powrotem do hotelu, ale kilkaset metrów dalej chwytam mnie kolka i muszę się zatrzymać.

Joe czeka przy mnie, kiedy zgięta wpół, oddycham głęboko zimnym powietrzem. W końcu kładzie mi rękę na plecach.

– Dostaniemy zapalenia płuc, jeśli zostaniemy tu dłużej – ostrzega mnie.

Kiedy się prostuję, widzę Melanie, która biegnie w naszą stronę, trzymając nad głową płachtę zielonego brezentu.

– Co z Davidem?! – krzyczę, gdy jest już na tyle blisko, żeby mnie usłyszeć.

– Czy Christine...

Urywam, widząc, że kręci głową ze smutkiem.

•••

Nikt się nie odzywa, kiedy ociekając wodą, wchodzę do holu, ale Christine, Katie, Malcolm i Fiona podnoszą wzrok.

– To prawda? – pytam, lecz wystarczy spojrzeć na zmęczoną, poszarzałą twarz Christine, żeby wiedzieć, że stało się najgorsze.

– Zatrzymanie akcji serca – wyjaśnia Malcolm. – Biedak, nie miał najmniejszych szans.

– Malcolm! – Melanie podchodzi do męża i trzepie go w ramię. – Miejże trochę szacunku.

Ignoruję oboje.

– Gdzie on jest? – rzucam.

Katie powstrzymuje szloch. Fiona, która siedzi najbliżej niej, wzdryga się, ale nie próbuje pocieszać dziewczyny. Christine wstaje z krzesła i przecina

hol.

– Nadal w jadalni – odpowiada mi szeptem. – Nakryłam go prześcieradłem. Znaleźliście... – Zerka na mnie i Joego, i nasze puste ręce.

– Gordona nie ma w domu – tłumaczy Joe. – Jego samochodu też. A drzwi są zamknięte.

– Weźmy więc land rovera i pojedźmy na drugi koniec wyspy.

Kręcę głową.

– Droga jest zalana. – Robię krok w tył i idę do jadalni.

Christine, nadal w kapciach, drepcze za mną.

– Mam wejść tam z tobą? – pyta szeptem.

Chcę powiedzieć, że „Nie, że dam sobie radę”, lecz to nieprawda. Mam wrażenie, jakbym znowu śniła koszmar, w którym pielęgniarka przemawia do mnie łamiącym się głosem ze łzami w oczach.

– Chodź. – Christine otwiera drzwi i odsuwa się na bok, żeby mnie przepuścić.

Przez jedną cudowną, pełną nadziei chwilę widzę tylko krzesła, stoły i ciemnozieloną wykładzinę i mam wrażenie, że zaraz usłyszę Davida krzątającego się w kuchni i śpiewającego barytonem którąś z piosenek Roda Stewarda. I nagle dostrzegam ciało okryte białym płótnem, leżące bez ruchu przy kuchennych drzwiach.

• • •

Jestem zbyt przerażona, żeby zdjąć prześcieradło z głowy Davida, ale odkrywam jego dłoń. Ostrożnie dotykam palców; serce łomocze mi w gardle, kiedy patrzę na kształt jego twarzy rysujący się pod materiałem. Głaszczę jego ciepłą, szorstką skórę, czekając, aż ciało pod prześcieradłem drgnie, zadrży albo westchnie. On jednak się nie porusza. Słyszę własny oddech i głosy w holu: Malcolm mówi coś o land roverze, Joe odpowiada mu podniesionym głosem, a Christine powtarza obu, żeby się uspokoiłi. Chwilę później rozlegają się kroki, stukot i łomot, przekleństwo, dzwonięcie kluczy i trzaśnięcie drzwi frontowych.

Później nastaje cisza.

Ręka Davida wciąż spoczywa w mojej; palce ma przykurczone, paznokcie czyste i krótko obcięte, spod białego rękawa wystają ciemne włoski, które porastają grzbiet dłoni aż do kłykci.

– David? – Wsuwam dwa palce w rękaw jego koszuli i dotykam miejsca, w którym powinien być puls. Czekam, aż poczuję, jak jego krew pulsuje mi pod opuszkami. Może Christine się pomyliła. Dobiega siedemdziesiątki i pewnie zapomniała już, jak się udziela pierwszej pomocy. Możliwe, że David po prostu zemdłał, a my traktujemy go tak, jakby już nie żył. – David!

Odrzucam prześcieradło i przykładam rękę do jego policzka. Jest ciepły, zupełnie jak dłoń. Kładę mu rękę na piersi i obserwuję opięty koszulą brzuch, czekając, aż zacznie się unosić i opadać. Wydaje mi się, że powieki Davida drgają.

– David! To ja, Anna. Otwórz oczy.

Pochyliam się nad nim i przykładam ucho do jego lekko rozchylnych warg, lecz nie czuję oddechu, nawet najśłabszego.

– No dalej, David! – Zaciskam pięść, kładę mu na piersi i naciskam drugą ręką. – No już!

Słoniczka Nellie

Kufer spakowała

A do środka

Swą trąbę schowała

I powiedziała

Żegnaj...

– Anno! – Czyjeś silne ręce ciągną mnie za ramiona, podczas gdy ja nie przestaję okładać pięściami ciała Davida. – Anno, co ty robisz? Przestań! Przestań! On nie żyje. Anno, on nie żyje.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Adam Vincent Falkirk, który walczył dzielnie aż do końca.

Na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

To naprawdę niesamowite, że w tak małej wyselekcjonowanej grupie osób może być tyle nieszczęścia i bólu. Zauważyłaś to, Anno, czy jesteś zbyt skupiona na sobie, żeby zwrócić na to uwagę? Chyba nie ma w tym hotelu nikogo, kto nie cierpi na bezsenność. Weźmy na przykład tego biednego Davida. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby zapytać go, dlaczego kupił ten hotel? To smutek przywiódł go na Rum. Kiedy zmarła jego partnerka, poczuł się zagubiony i stracił cel w życiu; był jak statek pozbawiony steru, który dryfuje bez celu po bezmiarze wody. Czy wiesz, jak nakłonić kogoś, by się przed tobą otworzył? Zadajesz pytania, słuchasz i czekasz. Większość ludzi otworzy się przed tobą, jeśli tylko dasz im dość czasu. A tego mamy teraz pod dostatkiem. Po co grać w gry planszowe, skoro można rozmawiać? David rozmawiał ze mną, Anno, i znalazł we mnie słuchacza. Ach, jakim był miłym człowiekiem. Niech mu ziemia lekką będzie.

Rozdział 20

David nie żyje.

Podrywam się, siadam na łóżku i powtarzam to na głos w pustym pokoju:

– David nie żyje.

Mój głos dźwięczy mi w uszach.

Nic.

Wewnątrz mnie nadal nic. Żadnego cierpienia. Żadnego bólu. Czuję się jak dziecko, które podczas przedstawienia beznamietnym głosem obwieszcza coś niewidocznej publiczności.

– David nie żyje. – Przejdź na lewą stronę sceny.

Kiedy Joe podniósł mnie z podłogi w jadalni i pomógł mi wejść na górę, bez przerwy pytał, czy nic mi nie jest; jego jasnobrązowe oczy wpatrywały się we mnie, czekając na odpowiedź. Powiedziałam mu, że czuję się dobrze, że mogę iść o własnych siłach i nie potrzebuję pomocy. Gdy dotarliśmy na pierwsze piętro, uwolniłam się od jego ramienia i kazałam mu wrócić na dół do pozostałych. Zapewniałam go, że nic mi nie jest. Po prostu chciałam być sama.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– To szok, Anno. Jeszcze to do ciebie nie dotarło. Ale wierz mi, że kiedy to nastąpi, nie będziesz chciała być sama.

„Ale ja jestem sama – mam ochotę wykrzyczeć mu w twarz. – I to, że się na mnie gapisz, nie zmieni tego!” Wściekłość spada na mnie znienacka, jest niczym ciężar, który przygniata mnie do ziemi i wyciska z płuc powietrze.

– Proszę – rzuciłam. – Wróć na dół i zostaw mnie samą.

– Chcesz, żeby przyszła tu któraś z pań?

– Niby po co?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i tylko pokiwał głową. Nie czekałam, aż odejdzie.

Odwróciłam się i czując na plecach jego wzrok, poszłam na górę do siebie.

Teraz wstaję, opuszczam swój pokój, schodzę na półpiętro i naciskam klamkę w drzwiach do pokoju Davida. Są zamknięte. Oczywiście, że są zamknięte. Wracam do siebie i siadam na taborecie przed toaletką. Z lustra patrzy na mnie moje odbicie. Codziennie rano maluję się przed tym lustrem, ale twarz, która spogląda na mnie teraz, nie jest opuchnięta ani niewyspana. Jest wymizerowana, prawie nieumalowana – makijaż spłynął razem z deszczem albo potem – a bez korektora ciemne, fioletowe cienie pod oczami są widoczne jak na dłoni.

– David nie żyje – szepczę do kobiety w lustrze.

Ledwie go znałam. Pracowaliśmy razem niecałe dwa tygodnie, jednak zdążyłam go polubić. Wniósł do mojego życia stabilizację i przewidywalność, dzięki którym poczułam się bezpieczna. Jak to możliwe, że już go nie ma? W jednej chwili rozmawiał ze mną w kuchni, a w drugiej leżał martwy na podłodze. Czy to możliwe, żeby życie tak po prostu uszło z człowieka? Jutro rano nie zapuka do moich drzwi, żeby mnie obudzić. A gdy zejść do holu, nie usłyszę, jak krząta się w kuchni. Nie wybuchnie serdecznym uśmiechem, kiedy przez nieuwagę zrobię coś, co go rozbawi. Stojąc w drugim końcu pokoju, nie pochwyci mojego spojrzenia i nie uniesie brwi. Nie...

Po policzku kobiety w lustrze spływa łza.

– On nie żyje – powtarzam szeptem.

Łzy napływają jej do oczu. Lśniące płytkie kałuże wzdłuż linii rzęs.

– Nie żyje.

Przelewają się przez krawędzie i wijąc się, spływają w dół; omijają nos, usta i skapują z brody.

Ściska mnie w żołądku, czuję ból w piersi, a z gardła dobywa się szloch. Zakrywam dłonią usta, odwracam się od lustra i zginam się wpół, porażona bólem, który tnie moje ciało niczym ostrze.

To nie jest gra. To wszystko dzieje się naprawdę.

Na drżących nogach wstaję z taboretu i robię niepewny krok w stronę łóżka. Zaraz potem drugi i trzeci, aż w końcu padam na materac, podciągam kolana pod brodę i wyję z bólu.

Nie żyje ktoś inny.

• • •

Budzi mnie delikatne pukanie. Otwieram oczy.

– Anno? – słyszę łagodny głos.

Drewniane drzwi w drugim końcu pokoju powoli otwierają się ze skrzypnięciem i w szczelinie pojawia się twarz.

– Przepraszam, że cię obudziłam – mówi Melanie. Oczy za okularami w czerwonych oprawkach mają w sobie łagodność. – Jak się czujesz?

Szukam w głowie właściwej odpowiedzi. Zmęczona? Zdruzgotana? Rozbita?

– Dobrze – mówię zamiast tego.

Najwyraźniej ośmielona moją odpowiedzią, Melanie uchyla drzwi nieco szerzej i wślizguje się do pokoju. Zatrzymuje się tuż za progiem; jej drobna twarz w kształcie serca wyraża niepewność.

– Wiem, że prawdopodobnie nie chcesz o tym myśleć... a nikt z nas... Nie chcieliśmy zawracać ci głowy, ale...

– W porządku – zapewniam ją. W tej sytuacji obie czujemy się niezręcznie.

– David... on nadal leży na podłodze obok kuchennych drzwi – mówi Melanie i krzywi się. – Jeśli drzwi do jadalni są otwarte, widać go. Oczywiście jest przykryty prześcieradłem, ale Katie...

– Niepokoi ją to.

– Tak. – Melanie kiwa głową z wdzięcznością. – Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy przenieść go... to znaczy Davida... do czasu, aż przyjedzie pomoc. Może do... – Zerka w stronę pokoju Davida.

– Oczywiście. – Opieram się na łokciach. – Oczywiście.

– Nie musisz wstawać – dodaje pospiesznie Melanie. – Jeśli potrzebujesz więcej czasu dla siebie, damy sobie radę.

– Nie. – Siadam na łóżku i dotykam dłońmi twarzy. – Powinnam tam być. Daj mi chwilę, zaraz zejdem.

• • •

To było straszne, patrzeć, jak Joe i Malcolm wnoszą Davida na górę. Kiedy wyciągali nas z wraku samochodu, byłam nieprzytomna, ale widok bezwładnego ciała Davida, jego kiwającej się na boki głowy, sprawił, że zaczęłam myśleć o Freddym i Peterze, o tym, jak wyglądali. W chwili gdy Joe i Malcolm dźwignęli ciało z podłogi, miałam ochotę uciec i gdzieś się ukryć, zmusiłam się jednak, żeby zostać. Malcolm wziął Davida za nogi, a Joe, młodszy i silniejszy, chwycił go pod pachy i ostrożnie zaczął wchodzić tyłem po schodach. Prześcieradło wciąż się ześlizgiwało i bałam się, że Malcolm się potknie, dlatego przecisnęłam się obok nich i zdjęłam je ostrożnie.

On tylko śpi, tłumaczyłam sobie, patrząc na poszarzałą, pozbawioną wyrazu twarz. Tylko tak mogłam się powstrzymać, żeby nie zbiec po schodach.

– Uważajcie – powiedziałam, kiedy zbliżali się do drugiego półpiętra i schodów prowadzących do pokoi dla pracowników. – Jedna z klepek jest obluzowana. Nie potknijcie się.

David pokazał mi ją pierwszego dnia po tym, jak zaniósł moją walizkę do pokoju. Zapewnił mnie, że klepka znajduje się na jego „liście rzeczy do zrobienia”. Problem polegał na tym, że na liście bez przerwy pojawiały się nowe, ważniejsze zadania.

Joe i Malcolm ominęli zdradziecką klepkę, a kiedy wyjęłam z kieszeni Davida klucz uniwersalny i otworzyłam drzwi, ostrożnie wnieśli ciało do pokoju i położyli na łóżku.

– Dziękuję. – Dotknęłam dłońmi ich pleców; ubrania mieli wilgotne od potu. – To nie było łatwe.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić – odparł Malcolm, tyłem wychodząc z pokoju.

Joe ociągał się z wyjściem.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie teraz.

– Niezupełnie. – Podnoszę rękę Davida i kładę mu na piersi. Jest ciężka i bezwładna. Czuję się dziwnie, gdy okrążam łóżko, żeby zrobić to samo z drugą ręką. Wiem, że David nie żyje, lecz nie mogę się z tym pogodzić. Spodziewam się, że lada chwila otworzy oczy i zapyta, co, u diabła, robię.

Joe obserwuje mnie od progu. Ręce ma skrzyżowane na piersi. Jest blady i zaniepokojony.

– Nigdy dotąd nie widziałem nieboszczyka – przyznaje.

– Ja też. – Odwracam wzrok od twarzy Davida. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, mam ochotę wybuchnąć płaczem.

– Był miłym człowiekiem. Naprawdę go lubiłem.

– Ja też. – Kiedy strzepuję prześcieradło, żeby na powrót przykryć nim Davida, uświadamiam sobie, że kiedy sztorm minie i telefony znowu zaczną działać, będę musiała powiadomić jego bliskich. Żołądek podchodzi mi do gardła, bo przypominam sobie, jak dzwoniłam do rodziców Freddy'ego i Petera. Nie wierzę, że znowu muszę to zrobić.

– Anno – odzywa się Joe, gdy odwracam się od łóżka i wierzchem dłoni ocieram oczy. Deszcz nadal tłucze w okno mansardowe, a niebo jest tak szare, że niemal czarne. – Co się stanie, jeśli nie damy rady przeprowić się przez rzekę?

– Będziemy musieli poczekać na poprawę pogody. Lodówka jest pełna i dopóki mamy światło i ogrzewanie, poradzimy sobie.

Słyszę, jak śmieje się cicho.

– Nie przynieś nam pecha, Anno.

Pecha? Czuję się, jakby ktoś wrzucił mi do brzucha zimne, ciężkie kamienie. David jest trzecią znaną mi osobą, która umarła w tym roku i której śmierci byłam świadkiem.

Rozdział 21

Steve

Steve Laing odsuwa krzesło od biurka i podchodzi do dużego okna panoramicznego, które zajmuje całą ścianę jego gabinetu. Spogląda na Londyn z jego wieżowcami, nowoczesnymi budynkami i zabytkową architekturą, odchyła głowę i bierze głęboki oddech. Przez ostatnią godzinę wpatrywał się w ekran monitora, na próżno szukając sensu w danych, które wczoraj wieczorem wysłał mu księgowy. Nie chodzi o to, że nie zna się na liczbach – gdyby tak było, nie miałby firmy wartej ponad milion funtów – ale nie może się skupić. Od spotkania z Jimem jest niespokojny. Nie może znaleźć sobie miejsca i ma problemy ze snem. Za każdym razem, gdy włącza się ekran telefonu, sprawdza, czy to aby nie wiadomość od Jima. Za każdym razem, gdy ktoś puka do drzwi, myśli, że to policja. W domu ogląda wyłącznie kanały informacyjne, nadaremnie wypatrując jej twarzy. To samo robi w biurze, tyle że z portalami informacyjnymi; co chwila odrywa się od pracy i sprawdza aktualizacje. Za każdym razem, gdy na ekranie pojawia się słowo „zabójstwo”, boleśnie ściska go w dołku. Ale to nie ona, to nigdy nie jest ona.

Najgorsza jest ta niewiedza. Steve nie wie, kiedy to się stanie ani jak. Co chwila wyciąga z kieszeni telefon na kartę, pisze wiadomość do Jima i ją kasuje. Nie może zdradzić się z tym, jak bardzo się denerwuje. Jeśli nie wyluzuje i nie będzie trzymał się zasad, Jim może się wystraszyć i wszystko odwołać.

Steve przeciąga się, rozwiera zaciśnięte pięści i wyciąga ręce nad głowę, jakby chciał dotknąć sufitu.

– Proszę – mówi do pustego pokoju. – Na miłość boską, załatw to w końcu. Byle szybciej.

Rozdział 22

Anna

Kiedy razem z Joem wracamy na dół, Fiona Gardiner i Malcolm Ward czekają na nas w holu. Mają na sobie kurtki i buty trekkingowe. Na twarzy Malcolma maluje się ponura determinacja.

– Jak się czujesz? – pyta mnie.

– Dobrze – kłamię. Wchodzę za biurko, zdejmuję z haczyka kluczyki do land rovera i podaję mu.

– Nie będziesz prowadziła? – pyta zaskoczony.

Joe wygląda na równie zdziwionego, ale po chwili przypomina sobie, co mówiłam mu o wypadku.

– Wolałabym nie – odpowiadam.

– Nerwowy kierowca, co? – Malcolm uśmiecha się i kiwa głową. – Melanie jest taka sama. Unika autostrad jak ognia, chyba że naprawdę nie ma wyboru.

– Jest jakiś powód, dla którego dałaś kluczyki Malcolmowi, a nie mnie? – zwraca się do mnie Fiona, unosząc brwi. – Dlatego, że jest mężczyzną?

– Nie. Dałam je Malcolmowi, bo stał bliżej – mówię i nie dając jej dojść do głosu, pytam: – Jedziecie tylko we dwoje?

– Tak. – Fiona uśmiecha się, ale w jej oczach nie widać cienia tego uśmiechu. – Christine poszła się zdrzemnąć. Melanie opiekuje się Katie. A Trevor zniknął Bóg jeden wie gdzie. – Mówiąc to, macha ręką w stronę drzwi. – A Joe... – Zatrzymuje wzrok na stojącym obok mnie mężczyźnie – wygląda na to, że zajmuje się tobą.

Jest w jej tonie coś, co mi się nie podoba. Wydaje się miła, lecz wyczuwam w jej głosie dezaprobatę i kpinę. Nie daję się jednak sprowokować. Nie byłaby pierwszą osobą, która mnie nie lubi.

– No dobra. – Malcolm chowa kluczyki do kieszeni. – Przy odrobinie szczęścia za mniej więcej godzinę wrócimy z posiłkami.

• • •

Wracają dwadzieścia minut później. Sami. Wchodzą do holu wyraźnie przybici.

– Nie ma jak się przeprawić. – Malcolm opada na fotel i wodzi dłońmi po łysej głowie. – Zalalibyśmy silnik.

Patrzę na Fionę, która stoi przy oknie i ze smutkiem spogląda na szalejący na zewnątrz sztorm. Chwilę później odwraca się, jakby czuła na sobie moje spojrzenie.

– Dlatego Gordon nie wrócił. Jesteśmy odcięci od reszty wyspy.

– Utknęliśmy tutaj? – pyta Katie. W jej zielonych oczach czai się strach. – Mieliliśmy wrócić za cztery dni. A jeśli spóźnimy się na prom?

– Nie spóźnimy się. – Melanie, która siedzi obok na kanapie, kładzie rękę na jej ramieniu. – Do tego czasu sztorm ucichnie. Prawda, Anno?

Patrzy na mnie tak znacząco, że odpowiadam skinieniem głowy, chociaż nie mam pojęcia, czy tak właśnie będzie.

– Tak. – Posyłam Katie pokrzepiający uśmiech. – W sobotę wszyscy będziecie w drodze do domu.

W pomieszczeniu zapada cisza. Nie wiem, o czym myślą pozostali – pewnie o ciepłych, suchych domach i swoich bliskich – ale ja myślę o Davidzie, który leży sam w pokoju na piętrze. To nie w porządku, że my wszyscy siedzimy tutaj, pijemy herbatę i rozmawiamy. Za każdym razem, gdy słyszę jakiś dźwięk, nasłuchuję ciężkich kroków albo dudniącego głosu Davida. Zerkam na zegarek – jest dwunasta. Zwykle o tej porze wołał mnie, by się upewnić, że nakryłam do stołów, albo prosił, żebym mu pomogła.

– Przygotuję lunch – mówię odrobinę zbyt głośno.

Melanie podnosi wzrok.

– Pomóc ci?

– Nie, poradzę sobie, ale dziękuję za troskę.

• • •

Wybucham płaczem, jeszcze zanim udaje mi się wejść do kuchni, i tłumiąc szloch, biegnę przez jadalnię. Pochylam się nad blatem i chowam głowę w ramionach. Czuję się, jakby śmierć podążała moim tropem od Londynu aż na Rum, rzucając mi w twarz poczucie winy, ból i żal, wstrząsając ziemią pod moimi nogami i czekając, aż się załamie. Na świetle są teraz trzy otchłanie, mroczne cienie w miejscach, gdzie kiedyś byli Freddy, Peter i David. Trzy życia zgasły tak po prostu, jak zdmuchnięte płomyki świec. Co począć z pustką, którą pozostawili po sobie? Nie możemy jej zapełnić. Nikt nie może jej zapełnić i to nie w porządku, że ja wciąż żyję i jak gdyby nigdy nic przygotowuję w kuchni lunch. To kuchnia Davida, jego kolekcja fartuchów wisi na kołku obok lodówki, to jego stojak na noże, jego ulubiona patelnia. To on otworzył ten hotel. Był jego sercem i duszą. Teraz to tylko budynek z grupką ludzi, którzy utknęli tu przez sztorm, nie wiedzą, co ze sobą zrobić, i patrzą na mnie, jakby oczekiwali, że im powiem. Nie chciałam takiej odpowiedzialności, ale albo przejmę kontrolę, albo się rozsypię.

Odpycham się od blatu i wycieram oczy i twarz ścierką do naczyń.

„Lepiej wrzucić ją od razu do prania”, słyszę w głowie głos Davida.

„Wrzucę ją do pralki – odpowiadam mu. – A jeśli ci się poszczęści, może nawet umyję ręce, zanim zabiorę się do warzyw”.

• • •

Niespełna godzinę później, gdy gęsta zupa jarzynowa pyrka na kuchence, niosę talerze do jadalni i ustawiam je na podkładkach pod nakrycia. David lubił podawać lunch prosto z garnka, więc zamierzam zrobić to samo.

Kładę dłoń na drzwiach do holu i próbuję uspokoić oddech. Muszę zachować spokój dla dobra gości, zwłaszcza Katie, która wyglądała na przerażoną, kiedy Malcolm powiedział, że nie udało im się przepłynąć przez rzekę.

Zerkam na zegarek i otwieram drzwi. Dochodzi wpół do drugiej, goście muszą umierać z głodu. Oprócz zupy jest świeży chleb, który od śniadania

stygnie w piekarniku, a także mnóstwo sera i szynki...

Nagle zamieram.

Skroplona para osiadła na wąskich okienkach po obu stronach drzwi wejściowych naprzeciw recepcji, a na jednej z szyb pojawił się napis.

Dwa słowa odcinają się na zaparowanym szkle.

UMRZEĆ, USNAĆ

• • •

Gapię się przez chwilę na okienko, zbyt oszołomiona, by się poruszyć, a potem, czując, jak narasta we mnie wściekłość, szybko wycieram szybę rękawem. Kto mógł napisać coś tak prostackiego zaledwie kilka godzin po śmierci Davida? Robi mi się niedobrze na myśl, że ktoś uznał, że to zabawne.

Goście odwracają się, kiedy wpadam do sali telewizyjnej.

– Kto to napisał? – Drżącą ręką wskazuję otwarte drzwi.

Nikt się nie odzywa, a ja czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy przenoszę wzrok z jednej speszonej twarzy na drugą. Nie widzę Christine ani Trevora, ale pozostała piątka patrzy na mnie w osłupieniu.

W końcu odzywa się Joe:

– Co się stało, Anno?

– Ktoś napisał... – Kręcę głową, oburzona, że można być aż tak bezdusznym. – Ktoś napisał UMRZEĆ, USNAĆ na szybie w holu.

– Co? – Fiona zrywa się na równe nogi, zagląda do holu i patrzy na mnie zmieszana. – Tam nie ma żadnego napisu.

– Bo go starłam.

Spoglądam na gości z nadzieją, że któryś powie mi, że źle to odebrałam, że napis na szybie był żartem, bo wszyscy są zmęczeni i potrzebują snu.

– To ty, Katie? – Patrzę na dziewczynę, która siedzi na kanapie z podwiniętymi nogami i przenośną konsolą do gier.

Katie wbija we mnie wzrok.

– Oczywiście, że to nie ona – odpowiada Melanie, nachylając się w stronę nastolatki. – Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego jak graffiti.

– To nie było graffiti, tylko napis na zaparowanej szybie. Katie, czy ty... napisałaś to, żeby... – szukam w głowie odpowiednich słów – ...uczcić pamięć Davida?

– Nie. – Dziewczyna marszczy nos. – Po co miałabym to robić?

Melanie posyła mi spojrzenie oznaczające „A nie mówiłam?”. Patrzę na jej męża, który dziwnie cichy siedzi w fotelu przy kominku, a zaraz potem na Joego i Fionę.

– Może ktoś się w końcu przyzna, że to napisał?

– Anno – odzywa się Joe. – Nikt z nas tutaj niczego nie napisał.

– Skąd wiesz?

– Bo żadne z nas nie wychodziło z pokoju, odkąd poszłaś do kuchni robić lunch.

– Czyli nikt nie chodził do toalety?

Malcolm, Fiona i Melanie lekko się poruszają.

– A więc jednak ktoś wychodził – mówię.

– Może to Christine – rzuca Malcolm. – Albo Trevor.

– Co „Może Christine”? – odzywa się głos za moimi plecami. Christine, najstarsza z hotelowych gości, uśmiecha się do mnie. Oczy ma zaczerwienione od snu. – Co mnie ominęło?

– Anna urządza polowanie na czarownice – oświadcza Malcolm, przewiercając mnie wzrokiem. – Wygląda na to, że któreś z nas napisało coś niestosownego na szybie...

– Polowanie na czarownice! – W głosie Fiony pobrzmiewa złość. – Ona jest zdenerwowana, a ty, Malcolm, to banalizujesz.

– Zamknijcie się w końcu! Wkurzacie mnie. – Krzyk Katie odbija się echem od ścian pokoju.

Przez krótką chwilę nikt nie reaguje. W końcu Melanie kręci głową z niedowierzaniem.

– Katie, nie możesz się tak zachowywać.

– Wal się. – Dziewczyna schodzi z kanapy i idzie w moją stronę.

– Katie, wracaj tu. Natychmiast!

– Daj mi spokój. Nie jesteś moją mamą.

– Katie! – Melanie biegnie za nią w stronę schodów. – Katie! Zaczekaj!

Malcolm wzdycha ciężko, wstaje z fotela i idzie za nimi. Kiedy zamykają się za nim drzwi, pozostali goście wymieniają spojrzenia, patrzą na mnie i unoszą brwi.

– Ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty? – pytam, sięgając po brudny kubek Malcolma.

Rozdział 23

W sali telewizyjnej panuje dziwny nastrój, jakby wypełniła ją gęsta szara mgła, spowijając nas i zamykając w naszych własnych małych światach. Christine popija herbatę przy oknie, spoglądając na deszcz. Joe przegląda magazyn, a Fiona układa piramidę z kostek domina. Nikt nie próbuje zaczynać rozmowy, siedzimy w pełnej napięcia ciszy. A może tylko ja tak to widzę. Teraz, kiedy nieco ochłonęłam, w mojej głowie pojawiła się mroczna, niepokojąca myśl: A jeśli wiadomość UMRZEĆ, USNAĆ nie była reakcją na śmierć Davida? Jeśli człowiek, który w Londynie nękał mnie wiadomościami, przyplłynął za mną na Rum i jest jednym z hotelowych gości? Jeśli jest w tym pomieszczeniu?

Na samą myśl robi mi się niedobrze ze strachu. Wiadomości w Londynie wytrącały mnie z równowagi, ale czułam, że mają na celu wywołanie we mnie poczucia winy w związku z wypadkiem. Tymczasem słowa zapisane na szybie brzmiały jak groźba.

UMRZEĆ, USNAĆ. Cytat z *Hamleta*. Ktokolwiek to napisał, myśli, że chcę się zabić albo że się nad tym zastanawiam. Albo – chociaż w pokoju jest ciepło, przebiega mnie dreszcz – uważa, że powinnam.

Spoglądam kolejno na Joego, Christine i Fionę. Co właściwie o nich wiem? Christine jest emerytowaną nauczycielką szkoły podstawowej, Fiona kierowniczką w call center, a Malcolm wykładowcą psychologii pracującym już tylko na część etatu. Ale nie mam pojęcia, czym zajmują się Joe, Trevor czy Melanie. Nie wiem o ich życiu nic poza tym, co sami mi powiedzieli. A nie było tego wiele. Zakładałam, że Malcolm i Melanie są rodzicami Katie, ale się pomyliłam. Domyślałam się więc, że są jej wujostwem. Przeczucie podpowiadało mi, że wszyscy goście to przyzwoici ludzie, może z wyjątkiem Trevora, który od samego początku sprawiał, że czułam się nieswojo.

Założenia... Domysły... Przeczucia...

Jeśli któryś z gości rzeczywiście przyjechał tu za mną aż z Londynu, nie mogę polegać na założeniach, domysłach i przeczuciach. Muszę odkryć jego tożsamość.

• • •

Na kolację jemy potrawkę jagnięcą, której przydałyby się dwie dodatkowe godziny na wolnym ogniu. Pierwszy przyszedł Trevor i usiadł sam przy oknie. Po nim pojawili się Malcolm, Melanie i Christine. Malcolm i Christine zajmują miejsca naprzeciw siebie, ale Melanie nie przyłącza się do nich; idzie w moją stronę z wyrazem determinacji na twarzy.

– Cześć, Anno. – Zmusza się do uśmiechu. – Myślisz, że mogłabym wziąć dwie porcje potrawy i pójść z nimi na górę? Katie nie czuje się najlepiej, a nie chcę ciągnąć jej tu na siłę.

Po wybuchu dziewczyny Wardowie zaszyli się na górze.

– Będę z tobą szczerą. – Melanie poprawia okulary i spogląda na mnie spod gęstej grzywki, która niemal wpada jej do oczu. – Nie wiem, co się z nią dzieje. Próbowałam do niej dotrzeć, ale w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. – Wzdycha ciężko. – Myśleliśmy, że ten wyjazd dobrze jej zrobi, ale jest jak sprężyna, która lada chwila pęknie.

Kiwam głową ze zrozumieniem i czekam, aż powie coś jeszcze.

Tymczasem ona unosi brwi i pyta:

– No to jak? Mogę pójść z jedzeniem na górę?

Podaję jej talerze i mówię, żeby zawołała, jeśli będzie potrzebowała czegoś jeszcze. W odpowiedzi kiwa głową i wychodzi z jadalni. Kiedy mija Malcolma, wymieniają przelotne spojrzenia. Malcolm w milczeniu zajada potrawkę.

Christine, która siedzi naprzeciw niego, pochwycyła moje spojrzenie, uśmiecha się i wraca do jedzenia.

Ona, Malcolm i Trevor właśnie kończą kolację, gdy w jadalni zjawia się Fiona ze sfatygowanym egzemplarzem książki i zajmuje miejsce przy stole obok drzwi. Kiedy kilka sekund później przychodzi Joe, Fiona podnosi wzrok znad książki i spogląda na niego zapraszająco, on jednak mija ją i siada przy

stole sam. Jej uśmiech znika równie nagle, jak się pojawił, i Fiona wraca do lektury.

Gdy stawiam przed nią talerz, zerka na mnie i dziękuje, ale na moje pytanie, czy podać coś jeszcze, tylko kręci głową. Joe zachowuje się zupełnie inaczej. Widząc, że podchodzę do niego z talerzem parującej potrawy, uśmiecha się od ucha do ucha.

– Jak się trzymasz? – pyta. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Bywało lepiej.

Zerka w stronę kuchennych drzwi.

– Pomagałem wnieść go na górę, mimo to cały czas mam nadzieję, że zaraz tu wejdzie. – Zanurza łyżkę w potrawce, wzbijając w powietrze obłoczek gorącej pary. – Sprawdzałaś telefon stacjonarny i Wi-Fi?

– Mniej więcej godzinę temu.

– I?

– Nic.

Wzdycha ciężko.

– Ktoś na drugim końcu wyspy na pewno próbuje się tym zająć – mówi i zanim udaje mi się powiedzieć „Mam taką nadzieję”, dodaje: – Nigdzie nie ma zasięgu. Wyszedłem wcześniej, żeby sprawdzić, ale... – Wzrusza ramionami. – Nic. Pozostali mieli tyle samo szczęścia.

Odwracam się, żeby wyjrzeć przez okno, i w tym momencie światła zaczynają migać. Christine wydaje stłumiony okrzyk.

Patrzę na żarówki, modląc się w duchu, żeby nie została przerwana dostawa prądu, na szczęście po kilku sekundach miganie ustaje i światła nadal się palą. W jadalni słychać westchnienia ulgi.

– Czy w hotelu jest generator prądu? – pyta Malcolm, odwracając się na krześle. – Na wypadek awarii linii energetycznej?

– Tak, w piwnicy. – Posyłam mu pokrzepiający uśmiech, w każdym razie wydaje mi się, że jest pokrzepiający, ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia, jak uruchomić generator. David mówił, że znajduje się w piwnicy, lecz nie pokazał mi, jak działa.

Och, David... Gdy goście wracają do jedzenia, kolejny raz dociera do mnie, jak bardzo jestem samotna.

• • •

Piętnaście po północy. Oczy same mi się zamykają.

Po kolacji Trevor poszedł prosto do swojego pokoju, a pozostali goście udali się do salonu. Zamierzałam iść do kuchni i posprzątać, ale Malcolm uparł się, żebym usiadła z nimi na drinka. Próbowалам się wymigać. Chciałam pobyć sama i zebrać myśli, nie przyjmował jednak odmowy do wiadomości. Twierdził, że chcą uczcić toastem pamięć Davida i że naczynia będą musiały poczekać.

Wkrótce z jednej szklaneczki whisky zrobiły się trzy, alkohol rozgrzał mi krew i trochę się uspokoiłam. Kilka minut po jedenastej dźwignęłam się z fotela i poszłam do kuchni zaparzyć kawę. Niedługo potem Fiona i Christine zaczęły ziewać, powiedziały wszystkim „Dobranoc” i poszły na górę. Joe siedział jeszcze przez chwilę i upierał się, że pomoże mi sprzątać, ale widząc, że nie dam się przekonać, w końcu dał za wygraną i również poszedł do siebie.

Najtrudniej było pozbyć się Malcolma. Postanowił wypić przed snem jeszcze jednego i dopiero chwilę temu wyszedł z sali telewizyjnej. Podczas gdy jego kroki rozbrzmiewają na górze, ja przechodzę z pomieszczenia do pomieszczenia na parterze, sprawdzam, czy wszystko jest jak należy, i zastanawiam się, co czeka mnie jutro. Gdyby David zobaczył teraz kuchnię – okruchy i resztki jedzenia na blatach, brudne ślady na podłodze – zdenerwowałyby się, ale naprawdę nie mam siły brać się teraz do sprzątania. Wchodzę do pomieszczenia gospodarczego i wzdycham na widok pełnych pralek. Jeśli nie wrzucę pościeli do suszarek bębnowych, zacznie śmierdzieć i będę musiała prać ją jeszcze raz. Otwieram jedną pralkę i wyciągam wilgotną pościel do koszyka. Kiedy niosę ją do suszarki, kątem oka dostrzegam jakiś ruch.

Odwracam się gwałtownie.

– Halo? – pytam, patrząc w stronę kuchni. – Jest tam ktoś?

Cisza.

– Halo? – Odstawiam kosz i przechodzę przez kuchnię do jadalni. To pewnie któryś z gości; zapomniał czegoś i wrócił na dół. – Halo, w czym mogę

pomóc?

Zaglądam do sali telewizyjnej.

Pusto.

Pocieram dłonią kark. Wróciło uczucie, które miałam w Londynie: niepokój podpowiadający mi, że ktoś mnie obserwuje. Stoję na dole schodów i nasłuchuję skrzypienia klepek, ale w hotelu panuje cisza.

Jestem zbyt przerażona, żeby wracać do kuchni, więc idę na górę do swojego pokoju; na pierwszym piętrze przystaję na chwilę. Korytarz jest ciemny, nie licząc plamy upiornego pomarańczowego światła oznaczającego wyjście ewakuacyjne. Ktoś płacze. W jednym z pokoi słychać stłumiony szloch. Przykładam ucho do drzwi pokoju Katie, ale dźwięk nie dobiega stamtąd. Może to Fiona? Po drugiej stronie korytarza szlochanie przybiera na sile. Tak, to Fiona. Podnoszę rękę, żeby zapukać do drzwi, lecz zaraz ją opuszczam. Nie powinnam jej przeszkadzać.

Stoję przez kilka sekund, słuchając, jak płacz cichnie i w końcu ustaje na dobre. Dopiero wtedy odchodzę na palcach spod pokoju i idę na górę do siebie. Zamykam za sobą drzwi i zbyt zmęczona, żeby się przebrać, w ubraniu kładę się do łóżka.

• • •

Ktoś jest w pokoju. Oczy mam zamknięte, mimo to wiem, że nie jestem sama. Czuję na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia i przechodzą mnie ciarki. Na co czeka? Aż otworzę oczy? Chcę udawać, że o niczym nie wiem, i ponownie zasnąć, ale nie mogę zignorować ucisku w brzuchu i napięcia, które czuję w całym ciele. Ta osoba chce mnie skrzywdzić. Jej wrogość jest niczym koc, który krępuje moje ruchy. Muszę się obudzić. Muszę wstać i uciec.

Nie mogę się jednak poruszyć. Coś ciąży mi na piersi, przygniatając mnie do łóżka.

– Witaj, Anno.

Głos dociera do mojej świadomości i znika, jakby nigdy go nie było.

Pomóż mi! – proszę, ale ten głos rozbrzmiewa wyłącznie w mojej głowie. Nie mogę poruszać ustami. Nie mogę wydobyć z siebie dźwięku. Jestem

w stanie tylko poruszać oczami.

Ktoś idzie w moją stronę, zimne, niebieskie oczy wpatrują się we mnie.

– Nie bój się.

Podchodzi bliżej – urywane ruchy, jakby ktoś włączał i zatrzymywał film – ruch, bezruch, ruch, bezruch. Coraz bliżej. Z całych sił zaciskam powieki. To nie dzieje się naprawdę. To sen. Muszę się obudzić.

– Właśnie tak, Anno. Zamknij oczy i zaśnij z powrotem. Nie walcz z tym. Niech ból i poczucie winy znikną.

Nie! Nie! Przestań!

Krzyczę, ale głos nie opuszcza mojej głowy. Nie mogę się ruszyć. Mogę tylko mrugać – w milczeniu wysyłać sygnał SOS – podczas gdy czyjaś ręka chwytą mnie za nadgarstek. Zaraz zrobi mi coś złego, a ja w żaden sposób nie jestem w stanie tego kogoś powstrzymać.

Rozdział 24

Alex

Alex wstrzymuje oddech, odrywa rękę od dłoni Bekki, obraca się na bok i słyszy ciche plaśnięcie, z jakim ich nagie ciała odklejają się od siebie. To dopiero trzecia randka, a już poszli do łóżka. Nie spodziewał się tego, zwłaszcza że kiedy spotkali się po pracy, Becca była w dziwnym nastroju. Wprawdzie Alex nie zna jej na tyle dobrze, by umieć odczytywać jej nastroje – właściwie nic o sobie nie wie – ale była wyraźnie podenerwowana. Radosne podekscytowanie poprzedzające pierwszą randkę minęło i Becca nie umalowała nawet ust. Owszem, uśmiechała się, idąc ku niemu korytarzem, i nie wzbraniała się, kiedy wziął ją za rękę, lecz wyraz niepokoju nie schodził jej z twarzy do czasu, aż weszli do restauracji i upiła łyk wina.

– Ciężki dzień? – Już wcześniej zadał jej to pytanie: pierwszy raz, kiedy wychodzili ze szpitala, i drugi raz w metrze, gdy stali wciśnięci w kąt wagonu z napierającym na nich tłumem zagranicznych studentów. Za każdym razem kiwała głową i zmieniała temat. Intuicja podpowiadała mu, żeby odpuścić, nie potrafił jednak ugryźć się w język, a poza tym to, co nie dawało jej spokoju, wpływało na ich randkę. Do tego udzielał mu się jej stres, przez co zaczynał myśleć o własnych problemach. Debbie, matka Anny, dzwoniła do niego wcześniej, by zapytać, czy ma od niej jakiegokolwiek wieści. Nie mogła się do niej dodzwonić ani na numer stacjonarny, ani na komórkę, a Anna nie odpisywała na maile ani wiadomości, które matka wysyłała jej na Messengera. Na zachodnim wybrzeżu Szkocji szalał sztorm i Debbie martwiła się. Alex powiedział jej, że od kilku dni nie miał kontaktu ze swoją byłą dziewczyną i nie bardzo wie, co robić. Poradził jednak Debbie, żeby zadzwoniła do firmy przewozowej, bo może oni będą wiedzieli więcej o sytuacji na wyspie.

Becca odstawiała kieliszek i westchnęła.

– Tak, Alex. To był ciężki dzień. – Spojrzała na niego, jakby liczyła, że pociągnie ją za język.

– Ktoś... umarł? – spytał. Wiedział, że na oddziale intensywnej terapii nie należy to do rzadkości. Rozmawiali o tym wcześniej; o rodzajach śmierci, które szczególnie ją przygnębiały, i tych, które nie bolały aż tak bardzo.

– Nie – odparła beztrąsko. – Nic z tych rzeczy.

– Więc... – Sięgnął po kieliszek i upił solidny łyk. Będzie musiał pomyśleć, czy warto to ciągnąć, skoro tak miały wyglądać ich spotkania za każdym razem, gdy Becca miała ciężki dzień w pracy. Była równie powściągliwa jak Anna. Dlaczego nie mogła tak po prostu powiedzieć, o co jej chodzi, zamiast kazać mu zgadywać? – Więc co się wydarzyło? – Był teraz niczym pies, który ogryza kość. Nie zamierzał odpuszczać, dopóki Becca nie powie, co się stało. Wtedy pomoże jej znaleźć rozwiązanie i wszystko wróci do normy.

Upiła kolejny łyk wina.

– W szpitalu toczy się śledztwo.

– Jakie?

– Nie wiem. Dlatego mnie to martwi. Kierownictwo chodzi po oddziałach i rozmawia o czymś po kątach. Nikt nie wie, co się dzieje.

Alex wzruszył ramionami.

– Czym się zajmujesz? Zrobiłaś coś złego?

Spojrzała na niego wzrokiem, który mówił „Naprawdę mnie o to zapytałeś?”, a zaraz potem przewróciła oczami i spojrzała w sufit, tak że zobaczył białka jej oczu pod ciężkimi od tuszu rzęsami.

– Pytałaś, o co chodzi? – dopytywał.

– Nie, ale oddziałowa pytała. Powiedzieli jej, że wkrótce się dowiemy.

– Była zmartwiona?

– Jasne. Jeśli robimy coś nie tak, wszystko odbija się na niej. Chryste, Alex, zawsze jesteś taki tępy? Czy może nie masz pojęcia, co to takiego empatia?

Zdumiała go złość, z jaką to powiedziała. To było coś nowego.

– Przepraszam. – Sięgnęła ponad stołem i wzięła go za rękę. – Jestem straszna, kiedy nie mam humoru. Wiedziałam, że powinnam odwołać

dzisiejsze spotkanie, ale naprawdę chciałam cię zobaczyć. – Jej ton złagodniał.
– Zwykle nie jestem taką jędzą, przysięgam.

– Nie, nie... w porządku.

Ale nie było w porządku. Wątpliwości na dobre zagnieździły się w jego głowie i nękały go przez cały posiłek. Było w Becce coś, co sprawiało, że czuł się nieswojo. Na drugiej randce, nie dalej jak wczoraj, przez większość wieczoru wypytywała go o Annę. Jak długo byli razem? Jak się poznali? Dlaczego się rozstali? Kiedy zrozumiał, że nie chce z nią już być? A zaraz potem zaczęła pytać, co sądzi o niej. Kiedy uświadomił sobie, że mu się podoba? Czy kręca go dziewczyny w strojach pielęgniarek? Czy teraz, kiedy zna ją również poza szpitalem, zmienił o niej zdanie? Nie podobał mu się jej brak wiary w siebie i nigdy nie przepadał za kobietami domagającymi się zapewnień i komplementów, tym razem jednak postanowił przymknąć na to oko. Może nie bardzo wiedziała, o czym rozmawiać. A może najzwyczajniej w świecie była zdenerwowana.

Teraz odsłoniła przed nim swoje humorzaste oblicze, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Może będzie musiał zastanowić się, czy na pewno dobrze ją ocenił; może wcale nie była dobrym materiałem na dziewczynę. Musiał jednak przyznać, że jest szalenie atrakcyjna i ma najładniejszy tyłek, i... Zastanawiał się, jak wygląda nago, bez tych obcisłych niebieskich dzinsów i wydekoltowanej bluzki. Jeśli Becca zauważyła zmianę w jego zachowaniu, nie wspomniała o tym ani słowem. Im więcej pili, tym bardziej była radosna i odprężona, a gdy po wyjściu stali przed restauracją, to ona nachyliła się w jego stronę, pozwoliła się pocałować i szepnęła: „Wiesz, wcale nie muszę wracać do domu”.

Alex ociera dłonią czoło, wstaje z łóżka, w którym jeszcze do niedawna spał z Anną, i idzie do kuchni napić się wody. Przy drzwiach słyszy głos i odwraca się.

– Nie... Nie, przysięgam – mówi Becca przez sen. – Nie zrobiłam nic złego.

Ty pewnie nie, myśli Alex, sięgając do szafki po szklankę. Ale ja tak.

Rozdział 25

Anna

Katie?

Stoi w drzwiach mojego pokoju, połowę twarzy skrytą ma w cieniu, drugą rozświetla pomarańczowy blask światła wskazującego wyjście ewakuacyjne. Oddech więźnie mi w gardle i cofam się na łóżku. Pięty ślizgają się na prześcieradle, a chwilę później czuję za plecami wezglowie łóżka. Wydaje się taka mała, kiedy stoi w drzwiach, taka chuda i krucha w przydużej koszuli nocnej. Oczy ma otwarte, ale jej niespięta twarz jest pozbawiona wyrazu; usta są lekko rozchylone.

– Katie? – powtarzam cichym, schrypniętym głosem. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiada, patrzy na mnie tym dziwnym pustym wzrokiem. Opuszczone ręce trzyma po bokach, zaciska i rozluźnia pięści, i powoli rozciąga usta w uśmiechu.

– Słyszysz mnie, Katie? – Wstaję i idę w stronę drzwi. Katie nie rusza się, nawet nie mruga. Kiedy się zbliżam, patrzy przeze mnie niewidzącym wzrokiem. Lunatykuje.

Nie wiem, czy zostawić ją tu i iść po Melanie, czy odprowadzić ją do pokoju. Jeśli ją tu zostawię i spadnie ze schodów, nigdy sobie nie wybaczę, ale nie mam pojęcia, jak sprowadzić ją na dół. Przecież nie powinno się dotykać ludzi, którzy lunatykują, prawda? Moje myśli biegną ku Davidowi, który leży, cichy i nieruchomy, w pokoju obok. On wiedziałby, co zrobić. Nie stałby tu jak kołek.

– Katie – odzywam się, kiedy w końcu podejmuję decyzję. – To ja, Anna. Odprowadzę cię do łóżka.

Nadal patrzy przeze mnie, lecz uśmiech znika z jej twarzy i dziewczyna jeszcze bardziej rozdziawia usta.

– Dotknę teraz twojego ramienia. I pomogę ci zejść po schodach. – Ostrożnie muskam je palcami. Katie nie wzdryga się ani nie krzyczy, więc biorę ją pod ramię. – Dobrze? – Nabieram powietrza. – Teraz zejdziemy na dół. I położymy cię z powrotem do łóżka.

• • •

Muszę kilka razy zapukać do drzwi pokoju Melanie i Malcolma, zanim słyszę westchnienie i skrzypienie łóżka. Drzwi uchylają się i widzę twarz Melanie. Włosy ma potargane, a oczy – bez okularów – małe i zmrużone.

– Która godzina? – pyta schrypniętym głosem.

– Kilka minut po trzeciej. Przepraszam, że cię obudziłam, ale Katie lunatykowała i przyszła do mojego pokoju.

– Co? – Mruga i trze oczy.

– Katie. Była u mnie. Odprowadziłam ją do pokoju i chyba zasnęła, ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

– Naprawdę? Boże drogi! Nie wiedziałam, że lunatykuje. Dziękuję. Zajrzę do niej.

Kiedy Melanie idzie do pokoju Katie, inne drzwi otwierają się i Joe pozdrawia mnie machnięciem ręki.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Usłyszałem głosy i...

– Katie lunatykowała – przerywam mu szeptem. – Przyszła do mnie.

– Weszła po schodach?

– Tak.

– Jezu. – Joe unosi brwi. – Nic jej nie jest?

– Nic, położyłam ją do łóżka.

– To dobrze. W takim razie dobranoc, Anno. – Zaczyna zamykać drzwi, ale patrzy na mnie i pyta: – Dobrze się czujesz? Dlaczego jesteś ubrana?

– Zasnęłam w ubraniu. – Zerkam na zegarek: trzecia dwadzieścia jeden. Jeśli wrócę zaraz do łóżka, może uda mi się przespać dwie godziny. – Zobaczymy się na śniadaniu. Dobranoc, Joe.

Gdy wracam na drugie piętro, nogi mam jak z waty. Wchodzę do pokoju, zaraz jednak go opuszczam, bo coś mnie niepokoi. W drzwiach od zewnętrznej strony tkwi klucz. I nie jest to mój klucz.

•••

– Joe? – Pukam delikatnie z nadzieją, że nie zdążył jeszcze zasnąć. – Joe, nie śpisz?

Drzwi otwierają się i patrzy na mnie zaskoczony.

– Przepraszam, że znów ci przeszkadzam.

– Nie, nie. W porządku. Czytałem... – Urywa i ściąga brwi. – O co chodzi?

Zerkam przez ramię. Wszystkie drzwi są zamknięte, ale to nie znaczy, że nikt nie podsłuchuje.

– Możemy porozmawiać u ciebie?

– Jasne, wejdz. – Cofa się w głąb pokoju, żeby mnie przepuścić. Przeprasza za bałagan, sięga po stos ubrań leżących na fotelu przy drzwiach i ruchem ręki pokazuje mi, żebym usiadła. – Co się dzieje? – pyta, przysiadając na skraju łóżka.

– Znalazłam to w zamku w drzwiach do mojego pokoju. – Podaję mu klucz.

Ogląda go i wzrusza ramionami.

– To zapasowy klucz uniwersalny – wyjaśniam. – Otwiera drzwi do wszystkich pomieszczeń w hotelu. Wczoraj zginął.

– Ja... – Joe kręci głową. – Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

– Kiedy kładłam się spać, zamknęłam drzwi na klucz. A kiedy się obudziłam, Katie stała w progu. Tylko w ten sposób mogła dostać się do mojego pokoju. – Wskazuję głową klucz, który trzyma w dłoni.

– Myślisz, że go ukradła?

– To by tłumaczyło, jak się do mnie dostała, tylko czy ktoś, kto lunatykuje, może otwierać zamki?

– Pewnie tak. – Joe wzrusza ramionami. – Kiedy byłem dzieckiem, zszedłem we śnie po schodach. Mama mówiła, że w ręce miałem kosz. Zapytała, co robię, a ja odparłem, że chcę wyrzucić śmieci. Patrzyła, jak wchodzę do kuchni, wyrzucam śmieci i wracam do siebie na górę.

– I niczego nie pamiętałeś?

– Właśnie. – Śmieje się cicho. – A wcale nie byłem pedantem.

– Ale jeśli Katie wzięła klucz, to znaczy, że weszła do pokoju Trevora i coś stamtąd ukradła.

Joe unosi brwi.

– Co ukradła?

– Nie wiem. Trevor nie chciał tego zdradzić.

– Nieźle. – Unosi ręce nad głowę, przeciąga się i próbuje opanować ziewnięcie. – Przepraszam – rzuca. – Myślę, że powinnaś porozmawiać z Mel i Malcolmem.

– Nie chcę narobić Katie kłopotów. I bez tego nie wygląda na specjalnie szczęśliwą.

– Też to zauważyłem. – Wzrusza ramionami. – Może więc najpierw porozmawiaj z nią? Zobaczysz, co ci powie.

– Tak, chyba masz rację – przyznaję. – Pójdę już. – Podnoszę się z fotela. – Musisz się wyspać.

– Dzięki, Anno.

– Jeszcze raz dobranoc. – Otwieram drzwi i zamierzam wyjść na korytarz, lecz Joe dotyka mojego ramienia. Odwracam się gwałtownie i wpadam na niego.

– Ostrożnie. – Nie cofa swojej ręki. Jego brzuch napiera na moje piersi, które unoszą się i opadają z każdym oddechem, podczas gdy on stoi i patrzy na mnie z góry.

Atmosfera zmienia się i wyczuwam w niej napięcie. Joe rozchyła usta. Pocałuje mnie, myślę.

– Nie zapomnij klucza. – Wsuwa mi go w dłoń. – Dobranoc, Anno. Śpij dobrze.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Steven „Curly” Morris

Minął rok, odkąd odszedłeś, Curly. Wciąż jednak trudno przyzwyczać się do tego, że ktoś siedzi przy barze na „Twoim stołku”. Dziś wieczorem uczcimy Twoją pamięć kufelkiem ciemnego piwa. Z najlepszymi życzeniami, John, właściciel Psa i Kaczki.

Otrzymałaś ode mnie wiadomość, Anno. Wiem, że ją widziałaś, ale teraz zastanawiam się, czy nie był to głupi pomysł. Może trzeba było zostawić liścik z całym cytatem, nie tylko z jego fragmentem.

„Umrzeć – usnąć – / Spać – i śnić może? Ha, tu się pojawia / Przeszkoda: jakie mogą nas nawiedzić / Sny w drzemce śmierci...”⁴

Jesteś bystrą dziewczyną. Wiesz, że to cytat z Szekspira, fragment, w którym Hamlet zadaje sobie pytanie, czy lepiej poddać się i umrzeć, czy może stawić czoło problemom. Jest przerażony, droga Anno – zupełnie tak jak ty – że kiedy umrze, nadal będzie śnił i nigdy nie uwolni się od swoich ziemskich niedoli.

Oboje niepotrzebnie się martwicie. Śmierć to sen pozbawiony snów. Koniec bólu.

Od tej pory moje poczynania nie będą już takie subtelne. Wygląda na to, że drobne aluzje to za mało. Otrzymałaś ode mnie prezent i będziesz musiała podjąć decyzję. Będzie jak w Alicji w Krainie Czarów, mojej ulubionej książce z dzieciństwa. Tyle że nie będziesz rosła ani się kurczyła. Umrzesz.

Rozdział 26

Anna

Środa, 6 czerwca

Piąty dzień sztormu

Budzi mnie delikatne pukanie do drzwi. Przez sekundę myślę, że to David, ale zaraz potem słyszę swoje imię wypowiedziane cichym kobiecym głosem i rzeczywistość przygniata mnie niczym gład.

– Chwileczkę, Christine. – Patrzę na zegarek i zrywam się z łóżka. Dochodzi ósma. Już dawno powinnam być na nogach.

Kiedy otwieram drzwi, Christine patrzy na mnie i śmieje się.

– Spokojnie, Anno, nie musisz się tak przejmować. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że śniadanie jest gotowe.

– Śniadanie?

– Tak. Nie zastaliśmy cię na dole, więc postanowiliśmy, że damy ci pospać. W jadalni czeka na ciebie kanapka z bekonem i kubek kawy podpisany twoim imieniem. Malcolm świetnie się spisał.

– Malcolm przygotował śniadanie?

– Zaanektował kuchnię – odpowiada ze śmiechem Christine. – Nikt z nas nie miał tam prawa wstępu.

•••

Godzinę później z brzuchem pełnym pysznego, ciepłego jedzenia wstaję od stołu, żeby zabrać się do sprzątania pokoi. Kiedy idę do drzwi, Melanie

wychyla się z kuchni. Ma na sobie jeden z ulubionych fartuchów Davida i gumowe rękawiczki.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz brać się do żadnej roboty – mówi.

– Słucham?

– Pokoje. Zanim wstałaś, odbyliśmy krótką rozmowę i doszliśmy do wniosku, że nie ma potrzeby, żebyś dziś sprzątała. Nic się nie stanie, jeśli przez dwa dni będziemy spać w tej samej pościeli i używać tych samych ręczników.

– Ale... – Tłumię ziewnięcie.

– Anno – twarz Melanie łagodnieje – miałaś wczoraj koszmarne dzień. Chcemy, żebyś dziś odpoczęła. Wiemy, że jesteś tu gospodynią, a my gośćmi, ale wszyscy jesteśmy ludźmi. Potrzebujesz czasu, żeby opłakać Davida. I porządnie się wyspać.

Jestem tak wzruszona łagodnością i dobrocią w jej głosie, że łzy napływają mi do oczu.

– Anno... – Robi krok w moją stronę i wyciąga ręce, jakby chciała mnie objąć, nagle jednak zatrzymuje się i spogląda na ręce w gumowych rękawiczkach. – Chyba nie chcesz, żebym cię pobrudziła, co?

Kręcę głową, nadal zbyt wzruszona, by cokolwiek powiedzieć.

– Idź i odpocznij – radzi mi. – Zawołamy cię na lunch.

• • •

Kiedy zjawiam się w holu, z toalety wychodzi Katie. Na mój widok wzdryga się, spuszcza głowę i mam wrażenie, że kuli się w sobie. Potrzebuję chwili, żeby uświadomić sobie, dlaczego tak się zachowuje. Melanie musiała powiedzieć jej o tym, co wydarzyło się w nocy.

– Katie. – Podchodzę do niej i zatrzymuję się, próbując odczytać mowę jej ciała. – Nic się nie stało. Chciałam tylko z tobą porozmawiać. Zapytać, jak się czujesz.

– Nic mi nie jest – mówi zza zasłony długich, ciemnych włosów, które opadają jej na jedno oko jak piracka przepaska.

– Możemy porozmawiać? – Wskazuję dłonią salon, lecz ona kręci głową.

– Malcolm tam jest.

Domyślam się, że nie będzie również chciała rozmawiać w jadalni, gdzie może nas usłyszeć Melanie, więc proponuję, żebyśmy wyszły na werandę.

– Ale pada – bąka Katie.

– Możemy włożyć płaszcze przeciwdeszczowe i buty. Nie zmokniemy, najwyżej będzie nam trochę zimno.

Traktuję jej wzruszenie ramion jako zgodę. Wkłada płaszcz, który jej podaję, oraz buty i wychodzi za mną na zewnątrz.

Stoimy na werandzie; Katie opiera się plecami o drewnianą ścianę, jakby chciała zachować między nami jak największą odległość, i spogląda na deszcz. Na widok samotnej mewy kołującej na wietrze w jej oczach pojawia się błysk.

– Niesamowite, prawda? – mówię. – To, jak unoszą się na prądach powietrza.

Wzrusza ramionami i spogląda w stronę morza, jakbym swoim komentarzem zepsuła jej zabawę. To tyle, jeśli chodzi o rozmowy towarzyskie. Przechodzę więc do sedna.

– Co pamiętasz z ubiegłej nocy, Katie?

Znowu wzrusza ramionami.

– Nic. – Jej cichy głos niemal niknie pośród wycia wiatru.

– Często lunatykujesz?

– Czasami – odpowiada po chwili. – Kiedy jestem zestresowana.

Teraz wygląda na zestresowaną. Ciało ma tak napięte, że równie dobrze mogłaby mieć nad głową neon WOLAŁABYM BYĆ GDZIEKOLWIEK, BYLE NIE TU.

– Rozumiem, że zdenerwował cię widok Davida... tego, co się z nim stało. – Milczy, więc dodaję: – Przepraszam, jeśli wczoraj zdenerwowałam cię w salonie. O nic cię nie oskarżałam. Po prostu chciałam zrozumieć, dlaczego ktoś napisał to na szybie.

Nieznacznie porusza głową, jakby chciała na mnie spojrzeć, ale rozmyśla się i wbija wzrok przed siebie.

– Melanie to twoja ciocia, tak? – pytam. – A Malcolm jest twoim wujkiem?

– Tak.

Przypominam sobie rozmowę, którą podsłuchałam trzeciego dnia na schodach, kiedy Melanie i Malcolm rozmawiali ściszymi głosami o tym, że się o nią martwią.

– Nie masz taty?

Katie wzdycha ciężko, nie wiem jednak, czy dlatego, że irytują ją moje pytania, czy po prostu jest smutna. Widząc, że takie wypytywanie do niczego nie prowadzi, postanawiam zmienić taktykę.

– Katie, zabrałaś klucz uniwersalny z recepcji?

Odwraca się w moją stronę. Jej oczy ukryte w cieniu kaptura przypominają wąskie, ciemne szparki.

– Co?

– Kiedy w nocy otworzyłaś drzwi do mojego pokoju, zostawiłaś w zamku klucz.

– Co? – powtarza.

– We śnie otworzyłaś drzwi do mojego pokoju.

– Wcale nie.

– To nie ty je otworzyłaś?

– Nie wzięłam klucza. – Patrzy na mnie wyzywająco. – Po co miałabym to robić? Mam własny.

– Czyli to nie ty weszłaś do pokoju Trevora?

– Co?! – Wychodzi spod dachu werandy na deszcz. Na jej twarzy maluje się niedowierzanie. – Kto tak powiedział? Kto powiedział, że to ja?

– Nikt. Ale zginął klucz. Ten, którym w nocy ktoś otworzył drzwi do mojego pokoju.

– Ja go nie wzięłam! Nie wierzę, że znowu oskarża mnie pani o coś, czego nie zrobiłam!

– O nic cię nie oskarżam. Po prostu próbuję zrozumieć, co się stało.

Chcę jej wierzyć. Jej reakcja wydaje się szczerą... albo dziewczyna jest cholernie dobrą aktorką. Ale sama już nie wiem, w co wierzyć. Trevor nie chciał powiedzieć, co zginęło z jego pokoju, więc nie mam żadnych wskazówek. Skoro nie ona wzięła klucz, to kto włożył go do zamka drzwi w moim pokoju?

– Katie – odzywam się nieco łagodniej. – Nie będziesz miała kłopotów. Po prostu chcę dowiedzieć się prawdy. Wzięłaś klucz?

– Nie! Boże! – wykrzykuje mi w twarz, po czym rusza, trącając mnie ramieniem, i wchodzi do hotelu.

• • •

Ja też wracam do środka, ale nie biegnę za nią na górę. Zdejmuję kurtkę i buty i idę do recepcji, gdzie Fiona pochyła się za biurkiem.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Nie. – Dotyka grzejnika. – Chyba jest jakiś problem z bojlerem. Żaden grzejnik się nie włączył.

– Zaraz sprawdzę.

Idzie za mną przez jadalnię do kuchni i stojąc w drzwiach pomieszczenia gospodarczego, patrzy, jak otwieram szafkę, w której jest bojler.

– No i? – Obejmuje się ramionami. Teraz, gdy nie mam na sobie kurtki, również czuję chłód. – Myślisz, że będziesz potrafiła go uruchomić?

Kiedy przyjechała, myślałam, że jest w tym samym wieku co ja i Joe, ale jest trochę starsza. Ma trzydzieści pięć, góra czterdzieści lat i pionową zmarszczkę między brwiami, która nadaje jej srogi wygląd, nawet kiedy nie marszczy czoła. Jasne kręcone włosy opadają jej na ramiona, które odkąd przyjechała, wydają się lekko przygarbione. Patrzę na wyświetlacz bojlera i obserwuję ją kątem oka. Fiona była w salonie, gdy zobaczyłam wiadomość na szybie. Mogła ją napisać, kiedy powiedziała pozostałym gościom, że idzie do toalety.

– Nie jestem pewna. – Zamykam drzwi szafki. – Myślę, że skończył się nam olej opałowy. David mówił, że raz w miesiącu jest dostawa z lądu, więc jeśli rzeczywiście się skończył...

– Mamy przerąbane.

– Tak jakby. Będę musiała sprawdzić zbiornik w ogrodzie. – Zamykam drzwi i nagle coś sobie przypominam. – Słyszałam w nocy, jak płakałaś. Wszystko w porządku?

– Nie płakałam. – Patrzy na mnie wyzywająco, jakby liczyła, że będę obstawać przy swoim. – Straciłaś kiedyś kogoś bliskiego, Anno?

Jestem tak zaskoczona tą nagłą zmianą tematu i nastroju, że przez chwilę w ogóle się nie odzywam. Zaraz jednak przed oczami stają mi twarze Freddy’ego, Petera i Davida.

– Straciłam ludzi, na których mi zależało – odpowiadam w końcu.

– Chłopaka? Straciłaś kiedyś chłopaka? – Ma dziwny wyraz twarzy, zraniony, a zarazem agresywny. Odkąd przyjechała, ma huśtawki nastrojów. W jednej chwili potrafi być ciepła i miła, a zaraz potem przeczulona i opryskliwa.

– Czy straciłam chłopaka... – powtarzam, przeciągając słowa, podczas gdy mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, próbując zrozumieć, do czego ona właściwie zmierza. Mam wrażenie, że próbuje mi coś powiedzieć, ale nie robi tego wprost, tylko owija w bawełnę i bawi się w podchody. Ciarki przebiegają mi po plecach. Czy chłopak Fiony zginął? Czy właśnie to próbuje mi powiedzieć? – Ja... kilka tygodni przed przyjazdem na wyspę rozstałam się z chłopakiem.

– Tobie to dobrze. – Śmieje się.

– Dobrze? – Czuję, że zaczynam się denerwować.

– Kobiety takie jak ty nie muszą przejmować się rozstaniem, bo kolejny facet czeka już w pogotowiu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O Joem.

– Między mną a Joem niczego nie ma.

– Jeszcze... Ale jestem pewna, że jeśli tylko dasz mu zielone światło, wykorzysta okazję.

Zdejmuję rękę z kłamki i opuszczam ją.

– Dlaczego obchodzi cię, czy między mną a Joem coś jest?

– Nie obchodzi.

– Więc skąd ta rozmowa? I czemu jesteś taka zła?

– Ty mi powiedz. Przez ostatnie dwa lata byłam w związku z człowiekiem, o którym myślałam, że mnie kocha. Okazało się jednak, że mnie nie kochał, a przynajmniej nie tak, jak ja jego.

– Boże, tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

Krzywi się.

– Zerwał ze mną. Powiedział, że nie ma sensu mnie zwodzić, skoro i tak wie, że nigdy się ze mną nie ożeni, więc lepiej będzie, jeśli każde z nas pójdzie w swoją stronę. Próbowałam z nim rozmawiać, znaleźć sposób, żeby uratować ten związek, ale on nie chciał słuchać. Powtarzał tylko, że to koniec.

Wzdycha i muska dłońmi biodra.

– Zanim to wszystko się skończyło, straciłam prawie sześć kilogramów. Nie mogłam jeść ani spać i ogólnie byłam nie do życia. Pomyślałam, że jeśli wyjadę gdzieś sama, wyleczę się z niego, mam jednak wrażenie, że spakowałam do walizki jego ducha.

– Przykro mi – powtarzam. – Wygląda na to, że wiele ostatnio przeszłaś. – Widzę, że cierpi. Można wyczytać to z jej oczu. Nie wiem tylko, czy wierzę w jej opowieść. Chyba nie do końca.

– Denerwuje mnie, że nadal tak się czuję, wiesz? Wkurzają mnie naprawdę drobne rzeczy.

– Na przykład?

– To, że ty i Joe flirtujecie. Udawane małżeństwo Mel i Malcolma.

– Jak to?

– Nie mów, że nie zauważyłaś. „Mel, zrób to, Mel, zrób tamto”. Cały czas nią dyryguje. Strasznie mnie to wkurza.

– Przecież ona wygląda na szczęśliwą, nie sądzisz? I jeśli trzeba, potrafi mu się postawić. Na przykład kiedy on chciał iść na spacer, a ona nie.

– Poważnie? – Fiona się śmieje. – Myślisz, że jest szczęśliwa? Udaje zadowoloną żonę. To wszystko ściema. Może powtarzać sobie w kółko, że jest szczęśliwa, ale to nieprawda. Mel zna prawdę o ich małżeństwie, tylko nie chce się z nią pogodzić. Bóg jeden wie dlaczego. Może boi się zostać sama.

A ty nie, myślę, lecz nie mówię tego na głos. Co jeszcze ukrywają goście? Czego nie dostrzegam? Myślałam, że znam się na ludziach, teraz jednak wcale nie jestem tego taka pewna.

Kiedy przekręcam klucz w drzwiach na tyłach hotelu, Fiona wskazuje otwór z klapką dla kota.

– Nie wiedziałam, że jest tu kot.

– Bo nie ma. – Klapka jest zakurzona i upstrzona cętkami błota, ale kiedy trącam ją czubkiem buta, zaczyna się kołysać. – Poprzedni właściciel musiał mieć kota – mówię. Otwieram drzwi i robię krok w tył. – Teraz nie ma tu... – Wiatr porywa resztę moich słów, a strugi deszczu wlewają się do małego pomieszczenia.

– Ty pierwsza – rzuca Fiona, pokazując, żebym szła przodem.

Robię krok, lecz się rozmyślam.

– Nie, nie. Ty pierwsza.

Rozdział 27

Steve

Steve Laing odsuwa krzesło od biurka, wyciąga ramiona nad głowę i głośno ziewa. Za przeszkloną ścianą gabinetu jego asystentka Vicky Fratton wkłada płaszcz. Sięga po torebkę i przekłada pasek przez głowę, tak że torebka opiera się na jej lewym biodrze. Zauważa, że Steve jej się przygląda, i posyła mu cierpki uśmiech. Pewnie boi się, że zaraz ją o coś poproszę, myśli Steve i pospiesznie opuszcza wzrok na zdjęcie Freddy'ego zrobione w dniu ukończenia studiów. Obok fotografii z dzieciństwa, na której szkrab Freddy stoi z twarzą i włosami upačkanymi fasolką w sosie pomidorowym, jest jego ulubione zdjęcie syna. Tyle w nim radości; Freddy ma przekrzywioną toęę, prawą rękę unosi nad głowę, a czarna czapka, którą macha, to ciemna smuga. Steve nigdy nie był z niego bardziej dumny niż w tym szczególnym dniu. Jego syn jako pierwszy w rodzinie poszedł na studia i zdobył dyplom. I to nie byle jaki, bo z cholernego marketingu.

– Wychodzę, Steve. – Vicky zagłąda do gabinetu. Jest to bardziej pytanie niż stwierdzenie, w którym pobrzmiwa cicha nadzieja na to, że niczego nie będzie od niej chciał.

– Jasne. Miłego wieczoru. Do jutra.

Vicky uśmiecha się, tym razem jak należy, i macha na pożegnanie.

– Wzajemnie – rzuca. – Tylko nie pracuj za długo.

– Nie będę. – Steve czeka, aż usłyszy dzwonek windy, i dopiero wtedy, wysunąwszy pierwszą szufladę biurka, wyciąga komórkę. Kładzie ją na wypolerowanym mahoniowym biurku, bierze do rąk zdjęcie Freddy'ego i stawia je obok telefonu.

– I co myślisz, synu?

Znowu ziewa, ale tym razem nawet nie zakrywa ust dłonią. Nie pamięta, kiedy ostatnio porządnie się wyspał. Od miesiący śpi po pięć, sześć godzin, a w ciągu ostatnich tygodni nie przespał więcej niż dwie, góra trzy godziny jednym ciągiem i sam już nie wie, ile razy zasnął w fotelu, a Vicky musiała go budzić, by przypomnieć mu o ważnym telefonie albo spotkaniu. Wszystko przez żal, powtarza sobie. Nie może spać, bo myśli o Freddy'ym. I na początku pewnie tak było. Ale ostatnio to nie twarz syna ma wyrytą pod powiekami, lecz czyjąś inną. To twarz kobiety. Tej kobiety. Ona go prześladowuje.

Próbował ignorować te sny. I apatię, która ogarnia go, kiedy nie śpi. Zwracał się nawet o pomoc do syna. *Co mam robić, Freddy? Czy postępuję właściwie?* Ale im dłużej wpatruje się w fotografię zmarłego syna, tym bardziej niezręcznie się czuje. Przez większość dorosłego życia Steve Laing kontrolował swoje emocje. Śmierć Freddy'ego była emocjonalnym ciosem, którego się nie spodziewał i który kompletnie zwałił go z nóg. Przez pierwsze etapy żałoby – szok, zaprzeczenie, ból i poczucie winy – był kompletnie załamany. Potem, gdy obudził się w nim gniew, dźwignął się na nogi. Z początku był zły na Boga, potem na Freddy'ego, a w końcu na nią. Przecież nie mógł złościć się na syna, a Bóg umyślnie go ignorował, więc to na niej skupiła się siła jego gniewu. Przyjął od Jima ofertę pomocy i usiadł wygodnie, zadowolony, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Ale Freddy na zdjęciu z ukończenia studiów już się do niego nie uśmiecha. Na gładkim czole syna pojawiły się bruzdy, a jego uśmiech zgasł.

Nie chcę tego, tato, szepcze bezgłośnie. Nigdy tego nie chciałem.

Steve sięga po telefon i zaraz odkłada go z powrotem. Nie może zadzwonić ze swojej komórki. Może jest zdesperowany, ale nie głupi. Przetrzęsa kieszenie marynarki i wyjmuje telefon na kartę. Na liście kontaktów jest tylko jeden numer i Steve Laing wybiera go krótkim palcem wskazującym.

Jim zgłasza się po trzecim sygnale.

– Halo?

Nie przedstawia się, podobnie jak Steve, ale Steve słyszy w jego głosie zaskoczenie. Jim nie spodziewał się kolejnego telefonu. Właściwie podczas spotkania w pubie powiedział jasno i wyraźnie, że od tej pory ich jedynym

kontaktem będzie krótka wiadomość z potwierdzeniem, że robota została wykonana.

– Ja... – zaczyna Steve i urywa. Musi być ostrożny. Nie wie, kto może przysłuchiwać się ich rozmowie. – Muszę odwołać zlecenie.

Jim nie odpowiada.

– Słyszałeś? – pyta Steve. – Muszę odwołać...

– Za późno.

– Ale...

– Nie każ mi powtarzać. Twoje zlecenie zostało przyjęte.

– Nie możesz nic zrobić? – Steve kuli się na dźwięk rozpachy we własnym głosie. To nie on. Nie tak zbudował warte milion funtów imperium. Steve Laing nie prosi ani nie błaga.

– Nie. Kontakt telefoniczny jest niemożliwy. Twoje zlecenie zostanie wykonane w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

– Nie! Zmieniłem...

Steve patrzy w zasmucone oczy syna, gdy połączenie zostaje przerwane.

Rozdział 28

Anna

Fiona i ja wymieniamy spojrzenia, bo miarka, którą zanurzyłam w zbiorniku z olejem, jest sucha.

– Niedobrze, co?! – krzyczy Fiona. Wiatr szarpie jej włosy, nawiewając je na twarz. Wychodząc do ogrodu, nie włożyliśmy kurtek i jesteśmy przemoczone do suchej nitki.

– Pusty! – odkrzykuję.

– I co teraz?

– Nic nie zrobimy! Wracajmy do środka.

Smagane wiatrem, wybiegamy pomiędzy drzew i krzaków, wśród których ukryty jest zbiornik, i kierujemy się do pomieszczenia gospodarczego. Nagle zatrzymuję się, ponieważ w odległym końcu budynku pojawia się niska kobieca postać w męskim płaszczu przeciwdeszczowym.

– Anno! – krzyczy Christine, truchtając w naszą stronę. – Tu jesteś! Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale jest problem z toaletą na dole. Nie lubię wskazywać palcem – ciągnie, kiedy idziemy za nią przez kuchnię i jadalnię do holu – ale jestem prawie pewna, że Trevor korzystał z niej ostatni. I że niemal na sto procent był pijany – dodaje, zniżając głos.

Gdy wchodzę to toalety, rozlega się plusk. Woda przelewa się przez krawędź sedesu pełnego wody, papieru toaletowego i... Boże, co za ohydztwo... Odwracam się i zakrywam dłonią usta. Po co ktoś miałby zalewać toaletę i tak ją zostawiać?

Wycofuję się z pomieszczenia, biegnę przez hol do recepcji i chwytam długopis i kartkę papieru. Przyklejam na drzwiach toalety wiadomość *Awaria*, a Christine, zadowolona, że sytuacja została opanowana, wraca do kuchni,

żeby przygotowywać lunch. Pokazuje Fionie, by szła z nią, ale kiedy chcę do nich dołączyć, podnosi rękę, jakby chciała mnie zatrzymać.

– Masz dzisiaj odpoczywać – przypomina mi. – Zdążyłaś się już narobić.

Drzwi zamykają się za nimi, a ja zostaję w holu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie ma mowy, żebym usiadła i czytała książkę, nie po tym, co wydarzyło się wczoraj. Odruchowo zerkam na szybę, na której ktoś napisał UMRZEĆ, USNAĆ, lecz choć znów jest zaparowana, nie ma na niej żadnego napisu. Podnoszę słuchawkę telefonu w recepcji – nie słyszę sygnału – a zaraz potem kucam za biurkiem i restartuję ruter. Mija trzydzieści sekund, minuta. Siadam na krześle, loguję się do laptopa i wbijam wzrok w sufit, modląc się w duchu o połączenie z Wi-Fi. Nic. Niech to szlag!

W chwili gdy odsuwam krzesło od biurka, słyszę dobiegające z góry podniesione głosy. Coś się dzieje na korytarzu z pokojami dla gości.

• • •

Melanie stoi przed drzwiami Katie, ręce ma oparte na biodrach, twarz ściągniętą. Spogląda w moją stronę i podnosi rękę, pokazując mi, żebym się nie zbliżała.

– Co się dzieje? – pytam bezgłośnie.

Kręci głową i odwraca wzrok w stronę pokoju.

– Przykro mi, Katie, ale nie wypada, żeby obcy mężczyzna siedział u ciebie w pokoju.

– Trevor nie jest obcy – warczy nastolatka. – Poza tym tylko rozmawiamy.

– Trevor. – Melanie przywołuje go skinieniem. – Chodź. Wiesz, że to niedopuszczalne.

Ignoruję jej radę, żebym się nie wtrącała, podchodzę i zaglądam do pokoju. Katie siedzi na łóżku w przydużym wełnianym swetrze naciągniętym na kolana. Na fotelu przy drzwiach z butelką whisky Bowmore w dłoni i głową odchyloną do tyłu siedzi Trevor. Powieki ma zamknięte. Chwilę później otwiera jedno nabiegłe krwią oko, patrzy na mnie i zamyka je z powrotem.

– Tylko ona chce ze mną rozmawiać – bełkocze.

– Wcale nie – odpowiada Melanie. – Przekonałbyś się, że wszyscy chętnie byśmy z tobą porozmawiali, gdybyś spędził z nami trochę czasu, zamiast włóczyć się samemu.

Trevor leniwie podnosi rękę i wskazuje mnie palcem.

– Ona mnie okradła.

– Co ci ukradłam, Trevor?

Patrzy na mnie pogardliwie i znowu zamyka oczy.

– I oskarżyłaś mnie o kradzież! – dodaje triumfalnie Katie, mierząc we mnie palcem. – I kto tu jest hipokrytą?

Melanie posyła mi zrezygnowane spojrzenie.

– Oto, co się dzieje, kiedy dziecku brak autorytetów – mruczy pod nosem. – Nie ma pojęcia, gdzie są granice. Chodź, Trevor – powtarza tym razem nieco głośniej. – Odprowadzimy cię do pokoju. Tam będziesz mógł pić do woli.

– Nie możesz mówić mu, co ma robić – oświadcza Katie. – Jest dorosły. Poza tym nie robi nic złego.

Widząc jej wyzywające spojrzenie, domyślałam się, że wcale nie chodzi o chęć rozmowy z Trevorem, ale o kontrolę. W jej wieku byłam taka sama; za wszelką cenę próbowałam postawić na swoim. Tyle że ja wojowałam z mamą o sprzątanie mojego pokoju. To była moja przestrzeń w domu, więc dlaczego nie mogła wyglądać tak, jak tego chciałam? Skoro drzwi były zamknięte, co ją obchodził bałagan?

– Chodź, Katie. – Melanie sili się na swobodę, wyczuwam jednak napięcie w jej głosie. – Ty i Trevor możecie porozmawiać później. Teraz pójdziemy się czegoś napić. Zrobię ci gorącej czekolady.

– Czy ja wyglądam na dziesięciolatkę?

– Nie. Ale... – zaczyna Melanie, lecz kiedy Trevor niezdarnie podrywa się z fotela, z jej ust wyrywa się okrzyk. – Mógłbyś usiąść, żeby Katie mogła wyjść z pokoju?

– Co się tu dzieje, do cholery?! – dochodzi z dołu dudniący głos Malcolma.

– Mam wszystko pod kontrolą, Malc! – woła Melanie. – Trevor właśnie wraca do siebie, prawda, Trevor?

– Co on robi w pokoju Katie? – Malcolm gna korytarzem niczym szarżujący byk.

Melanie zamiera w progu. Słyszając, co się święci, Trevor ratuje się ucieczką. Wybiegając z pokoju, odpycha na bok Melanie, ta zatacza się do tyłu i machając rękami, pada na podłogę, on tymczasem wbiega do siebie i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Malcolm przypada do żony.

– Mel. – Tuli w ramionach jej bezwładne ciało. – Melanie, nic ci nie jest?

•••

– Widziałaś? – Malcolm gromi mnie spojrzeniem i pomaga Melanie stanąć na nogi. – Widziałaś, jak to zwierzę zaatakowało moją żonę? Czułem, że to podejrzany typ. Po prostu to czułem. Wystarczyło na niego spojrzeć.

– Proszę, Malc. – Melanie dotyka dłonią twarzy. Na kości policzkowej, w miejscu, gdzie skóra otarła się o wykładzinę, ma czerwony ślad wielkości pięćdziesięciopensówki. – Nie sądzę, żeby chciał mnie skrzywdzić. Przestraszyłeś go tym swoim krzykiem.

– Ja? – Malcolm zdejmuje rękę z jej łokcia i patrzy na nią z całkowitym niedowierzaniem. – Uważasz, że to moja wina?

– Ja tylko... Chciałam powiedzieć, że...

Melanie zatacza się, więc podtrzymuję ją i obejmuję w pasie.

– Dasz radę dojść do pokoju? – pytam.

– Weszłam na górę, żeby skorzystać z toalety, i usłyszałam głosy w pokoju Katie. Nie spodziewałam się, że zobaczę Trevora... – Wzdycha ciężko i opiera mi głowę na ramieniu.

– Chodź, położymy cię do łóżka.

Malcolm robi krok w stronę pokoju Trevora.

– Nie puszczę mu tego płazem.

Wyciągam rękę, żeby go zatrzymać, lecz w tej samej chwili nogi uginają się pod Melanie i osuwa się na wykładzinę. Patrzy na mnie pustym, nierozumiejącym wzrokiem, aż przechodzą mnie ciarki.

Rozdział 29

Dani

Dani Miller siedzi sztywna, jakby kij połknęła, na pryczy, plecami do ściany; machając nogami, wpatruje się w zdjęcia na przeciwległej ścianie tak długo i intensywnie, aż zmieniają się w rozmazaną kolorową smugę. W przeciwieństwie do swojej współwięźniarki Dani nie ma żadnych zdjęć przyklejonych do ściany pastą do zębów. Nie chce, żeby ktokolwiek znał jej słabe strony, tak jak nie chce, żeby jakiś zbok wiedział, jak wygląda jej córka. Nie wie, jak zareaguje, jeśli usłyszy coś, co wywoła w niej agresję. Wyobraża sobie twarz trzyletniej córeczki pośród smug koloru i skupia się na niej tak długo, aż widzi jak na dłoni jej jasne, kręcone włosy, duże, brązowe oczy, mały zadarty nosek i cudownie delikatną skórę. Wyobraża sobie swoją matkę, z siwymi odrostami w ciemnych włosach, pochylającą się nad różowym łóżeczkiem Maisie, żeby przytulić małą i pocałować. Lepiej, żeby nie kazała dziewczynce nazywać siebie mamą albo mamusią. Może być babcią, babunią czy bunią, ale nie mamą. Mamą Maisie jest Dani i nic tego nie zmieni.

Dlatego to robi. Nie dlatego, że jest psychopatką, chociaż cieszy się, że inne kobiety tak o niej myślą. Dzięki temu jest bezpieczna i nikt z nią nie pogrywa. Jej życie już nigdy się nie zmieni. Powtarzano jej to wystarczająco wiele razy. Kiedy była nastolatką, wkurzało ją to, lecz teraz, gdy jest starsza... cóż... czasami lepiej nie walczyć z tym, czego nie można zmienić. Ale życie Maisie będzie inne. Maisie jest inna. Jest mądra i śliczna. Tylko żeby przeżyć, człowiek potrzebuje kasy, i kiedy Maisie ukończy osiemnaście lat, otrzyma w prezencie gruby plik banknotów. Oczywiście, jeśli ten palant – jej ojciec – ich nie ukradnie. Dani nie ma kontaktu z Delem, odkąd ją zamknęli. Pewnie przygruchał sobie jakąś nową niunię, która będzie dla niego kradła, żeby mógł walić w nos cztery razy dziennie. Chryste, ale była głupia, wierząc w te

denne śpiewki o tym, że jest kobietą jego życia! Dopiero teraz, kiedy jest czysta, widzi, jaka była naiwna.

Wstaje, obraca się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nie przechodzi obok celi, wsuwa dłoń do dziury, którą wyskubała w cienkim materacu, i wyciąga pastę do zębów. Przez chwilę wodzi kciukiem po ostrej krawędzi przypalonego plastiku. Nie ona zrobiła tę kosę. Dostała ją od grubej lesby, która pytała ją, czy chce trochę zarobić. Wsuwa plastik pod gumkę biustonosza, poprawia koszulkę i wyprostowana wychodzi z celi z dumnie zadartą głową. To tylko praca, powtarza sobie, przecinając korytarz. Tylko praca, środek prowadzący do celu.

• • •

Więźniarka wzdryga się, kiedy Dani wchodzi do jej celi i zamyka za sobą drzwi. Książka, którą czyta, wypada jej z rąk; kobieta cofa się pod ścianę i wodzi dookoła przerażonym wzrokiem.

Węzeł w żołądku Dani poluzowuje się odrobinę. To dobrze, że tamta się boi; nie będzie się broniła i nie robi jej żadnej krzywdy. Nie, jeśli Dani się pospieszy. Ale musi się upewnić, że tamta będzie cicho.

– Ty jesteś Donna? – pyta.

Kobieta kiwa głową. Suka z cyckami równie wielkimi jak jej brzuch i rzednącymi włosami zebranymi w koński ogon na czubku głowy. Wygląda, jakby całymi dniami siedziała na tyłku i wpychała do gęby krokiety z mięsem.

– Donna Farrell? – pyta Dani.

Tamta znów kiwa głową. Podniosła dłonie do twarzy i ugniata paluchami ciastowate policzki. Zupełnie jakby alfabetem Morse'a prosiła mnie o pieprzoną pomoc, myśli Dani i rozciąga usta w uśmiechu.

– Zabiłaś dwoje ludzi – mówi.

– Ja... ja... – Babsko patrzy to na Dani, to na drzwi. Dani wyczuwa jej narastającą panikę, woń strachu wyczuwalną pod zapachem ciała i słodkich przekąsek. Musi działać szybko, zanim Donna odzyska głos albo władzę w nogach.

– Mogłaś zabić dziecko – mówi. – Mogłaś zabić moje dziecko.

To nieprawda. Maisie nigdy nie opuszczała Crawley, ale powiedzenie tego na głos sprawia, że Dani czuje się lepsza, silniejsza i usprawiedliwiona.

– Dwa lata – ciągnie, powtarzając to, czego się dowiedziała. – Ja dostałam więcej, a nikomu nie zrobiłam krzywdy. To chore. niesprawiedliwe.

– Nie – mówi tamta, kiedy Dani wyciąga z za stanika kosę i ściska ją w dłoni.
– Nie. Nie. Nie rób tego.

Dani rozważa opcje. Jeśli rzuci się na Donnę i dźgnie ją tak, jak siedzi, skuloną w kącie pryczy, grubaska może zdążyć ją złapać, a nawet wyrwać jej kosę. Nie, musi wstać i odsłonić wrażliwe miejsce pod ogromnymi cyckami... zakładając, że prowizoryczne ostrze w ogóle dosięgnie żołądka ukrytego pod zwałami tłuszczu.

– Wstawaj – warczy. – Złóż z łóżka.

Donna robi, co jej każe, i niezdarnie zwleka się z pryczy. Odwracając się w stronę Dani, rozchyła usta i bierze głęboki oddech, ale z jej gardła nie dobywa się krzyk. Tłumi go ręka Dani, a zaraz potem długi kawałek plastiku, który przebija ubrania, ciało i dosięga żołądka.

Dani przyciska rękę do ust swojej ofiary i dociska jej głowę do ściany, podczas gdy nogi uginają się pod grubaską i osuwa się na ziemię.

– To nic osobistego – mówi Dani. Wyszarpuje kosę z ciała Donny i odskakuje w tył, kiedy krew wypływa z rany i rozlewa się między nogami otyłej więźniarki.

Ściąga pochłapaną krwią bluzę i owija w nią prowizoryczne ostrze. Zdejmuje z półki jedną z workowatych bluz Donny, wkłada ją i kiwając głową, odwraca się w stronę drzwi.

– Czasami człowiek robi to, co musi.

Rozdział 30

Steve

Steve Laing je kolację przed telewizorem, kiedy na stoliku obok kanapy zaczyna wibrować telefon. Odrywa wzrok od ekranu (akurat leci jedna z jego ulubionych scen z *Rodziny Soprano*, w której uzbrojony Tony siedzi w nocy przed domem, żeby ochronić rodzinę przed niedźwiedziem) i odkłada kawałek pizzy pepperoni do pudełka. Oblizuje palce, wyciera je w chusteczkę i dopiero wtedy sięga po telefon.

Jest przekonany, że to jeden z kumpli. Ale na ekranie nie ma powiadomienia o nowych wiadomościach. Zdenerwowany, sięga po drugi telefon; tłusta pizza ciąży mu na żołądku.

Wiadomość ma tylko cztery słowa, ale na ich widok Steve'owi robi się tak niedobrze, że niestrawiona pizza i żółć podchodzą mu do gardła.

Zlecenie wykonane według wskazówek.

A więc to koniec. Sprawiedliwości stało się zadość. Donna Farrell, która zasnęła za kółkiem ciężarówki i zabiła jego syna, nie żyje.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 31

Anna

Malcolm i ja zaprowadziliśmy Melanie do pokoju i położyliśmy do łóżka. Staralam się zachować spokój, kiedy leżała taka blada, cicha i słaba. Po tym, co stało się z Davidem, byłam przerażona, że jeśli Melanie poważnie zachoruje, ją też możemy stracić. Stojąca w drzwiach Katie wyglądała na równie wystraszoną. W kółko przepraszała, że wpuściła Trevora do pokoju, a w końcu się rozplakała. Podczas gdy Malcolm próbował ją pocieszyć, ja przyniosłam Melanie wodę i tabliczkę czekolady, którą znalazłam na wierzchu plecaka. Zauważyłam, że jadła posiłki bez apetytu, i domyśliłam się, że jest wybredna, ale kiedy wzięłam ją za rękę, uderzyło mnie, jak chude są jej nadgarstki. Po niecałych dziesięciu minutach odzyskała rumieńce, a gdy warknęła na Malcolma, żeby przestał się z nią cackać, kiedy chciał przykryć ją dodatkowym kocem, wiedziałam, że nic jej nie będzie.

– Wszystko w porządku, Anno? – pyta teraz Malcolm. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, ale zdradza mnie ziewnięcie, które bez powodzenia próbuję stłumić.

– Idź się zdrzemnąć – radzi mi Melanie, opierając się na łokciu. – Miałaś dziś odpoczywać.

Zerkam na zegarek.

– Zbliża się pora lunchu – rzucam.

– Zostawimy coś dla ciebie.

– Pewnie zupę – mówi Malcolm i dodaje pospiesznie: – Nie żebym narzekał.

– Dobrze. – Przenoszę wzrok na Katie skuloną na fotelu przy drzwiach; nie płacze już, ale oczy ma zaczerwienione. Podnosząc się z łóżka, zwracam się do

Malcolma: – Nie wdasz się w żadną awanturę z Trevorem, prawda? On nie popchnął Melanie naumyślnie.

Melanie unosi brwi.

– Nie odważyłby się.

• • •

Kiedy wracam do pokoju, nawet się nie rozbieram. Zamykam się na klucz, w pełnym rynsztunku padam na łóżko i odwracam się na bok twarzą do drzwi. Nie minął dzień od śmierci Davida, a ja jestem wykończona fizycznie i psychicznie; mimo to wiem, że nie zasnę. Czekam, aż ktoś naciśnie klamkę i wejdzie do pokoju. Logicznie rzecz biorąc, wiem, że to niemożliwe. Drzwi są zamknięte na klucz, a wszystkie klucze uniwersalne mam w kieszeni spodni. Ale ubiegłej nocy ktoś tu wszedł i jestem niemal pewna, że była to ta sama osoba, która napisała UMRZEĆ, USNAĆ na szybie w holu. Chcę wierzyć Katie, kiedy mówi, że to nie ona, nie wiem jednak, kto inny mógłby to być. Chyba że ktoś otworzył drzwi, zanim weszła na górę. Tylko po co? Żeby stać w progu i patrzeć, jak śpię? Na samą myśl przebiega mnie dreszcz, podciągam kóldrę pod brodę i otulam się szczelnie.

Ktokolwiek to był, chce, żebym cierpiała za to, co zrobiłam.

„Przepraszam! – mam ochotę krzyknąć. – Przepraszam, że ich zabiłam. Przepraszam, że nie żyją. Gdybym mogła, przywróciłabym ich do życia. Cofnęłabym czas. Zrobiłabym wszystko. Ja...”

Nie kończę, bo nagle do głowy przychodzi mi pewna myśl.

Ten ktoś wcale nie chce, żebym cierpiała. Nie zależy mu na moich przeprosinach. Chce, żebym umarła. Ktokolwiek zostawiał te wiadomości, chce, żebym się zabiła. Tylko wtedy przestanie.

Kryję twarz w poduszce, ale przed oczami stają mi twarze Freddy’ego i Petera.

Jak możesz spać, Anno, po tym, co zrobiłaś?

Przyciskam dłonie do uszu.

Ty to zrobiłaś, Anno. Zabiłaś nas.

Kręcę głową. Przepraszam. Nie chciałam, żeby tak się stało. Nie chciałam, żebyście zginęli.

A jednak nie żyjemy...

Jeszcze mocniej wciskam twarz w poduszkę i wpycham do ust miękką, białą bawełnę, żeby stłumić straszny szloch, który wstrząsa moim ciałem. Chcę, żeby to się skończyło. Proszę, błagam, niech to się skończy.

Nie jestem w stanie przestać płakać. Przy każdym oddechu czuję się, jakbym się dusiła. Ciskam poduszkę w drugi koniec pokoju i okładam materac piśćciami aż do utraty sił. Odrętwiała, zwijam się w kłębek i leżę bez ruchu. Mój oddech jest chrapliwy, serce wali mi jak szalone. Oczy mam otwarte, ale wzrok niewidzący. Zresztą nie patrzę na nic szczególnego. Po prostu gapię się w przestrzeń, która dzieli mnie od szafy. Przestrzeń, która dzieli mnie od świata.

Leżę tak przez długi, długi czas, nic nie widząc i nic nie robiąc, aż drętwieje mi prawe ramię. Staram się ignorować to uczucie. Chcę leżeć tak całą wieczność, bez ruchu, nic nie czując. Ból jednak narasta, wgryza się w mięśnie i nerwy, a głos, który słyszę z tyłu głowy, przybiera na sile. *Będziesz musiała się ruszyć. Obrócić się na drugi bok.*

Kątem oka widzę komórkę leżącą na szafce nocnej. Dioda powiadomień mruga na zielono. Sięgam po telefon tak gwałtownie, że szklanka z wodą spada na podłogę. Ale to nie żadna wiadomość ani nieodebrane połączenie. Tylko aplikacja Samsung Health przypomina mi, że od tygodnia nie uprawiam żadnej aktywności fizycznej. Na pasku w prawym górnym rogu nie ma ikonki Wi-Fi i ani jednej kreski zasięgu. Kiedy otwieram szufladę szafki nocnej, żeby schować komórkę, zauważam coś, czego jeszcze do niedawna tam nie było. Coś, co z całą pewnością nie należy do mnie.

• • •

Joe w gumowych rękawicach pochyla się nad muszlą klozetową z przepychaczem w jednej ręce i powyginanym drucianym wieszakiem w drugiej. Woda z podłogi została wytarta, ale wygląda na to, że toaleta nadal jest zatkana. Joe patrzy na mnie przez ramię i gwałtownie kręci głową.

- Może lepiej wróc, kiedy skończę.
- Nie chcę korzystać z toalety. Możemy porozmawiać?
- A to nie może poczekać? – Krzywi się.
- Nie bardzo.
- Dobra. – Prostuje się i wzdycha. – Daj mi chwilę na ogarnięcie się.
- Zaczekam tam – mówię i wskazuję hol.

Pięć minut później przychodzi Joe. Zdjął rękawice, ale rękawy koszuli wciąż ma podwinięte do łokci.

– O co chodzi? – Siada w fotelu naprzeciw mnie, opiera łokcie na kolanach i pochyla się w moją stronę.

– To twoje? – Otwieram dłoń.

Patrzy na leżący na papierze kawałek plastiku, który trzymam w ręce.

– To strzykawka – mówi.

– Wiem. I jeśli wierzyć ulotce, w środku jest insulina.

– Insulina? – Wyciąga spod strzykawki zrolowany papierek. Konsternacja na jego twarzy ustępuje miejsca zdenerwowaniu, kiedy przebiega wzrokiem tekst.

– Widziałaś to? – Odwraca papierek w moją stronę i wskazuje palcem zdanie, które ktoś zakreślił wściekle żółtym markerem.

Może skutkować śmiercią.

Oczywiście, że to widziałam. Na widok tego zdania wstrzymałam oddech i czym prędzej zamknęłam szufladę. Kolejna wiadomość od mojego prześladowcy. Kolejne przypomnienie o tym, że ktoś pragnie mojej śmierci.

– Skąd to masz? – pyta Joe.

– To twoje?

– Że co? Nie! – Patrzy na mnie z autentycznym zakłopotaniem. – Ja używam penów do insuliny. Widziałaś zresztą, kiedy sprzątałaś mój pokój. Pamiętasz?

– Wiem, ale pomyślałam, że może używasz też strzykawek.

– Nie. – Kręci głową. – Nigdy. Skąd to masz?

– Znalazłam w swoim pokoju. W szufladzie szafki nocnej. Ktoś zawiązał strzykawkę w ulotkę.

Joe przygląda dłońią brodę, delikatnie szarpiąc splątane sztywne owłosienie.

– I nie było jej tam wcześniej?

– Nie. Jestem pewna. – Wskazuję ulotkę w jego ręce. – To normalne? Żeby tak zaznaczać zdanie?

– Pierwszy raz widzę coś takiego. – Znowu patrzy na papierek. – To nie jest druk, ktoś to napisał. Spójrz, przebija na drugą stronę. Nie rozumiem, po co ktoś miałby to robić. Chyba że... To nie Katie?

– Dlaczego pytasz?

– Ludzie, którzy mają nastoletnie dzieci, robią czasem takie rzeczy, żeby przypomnieć im, jak niebezpieczna bywa insulina, jeśli się ją przedawkuje. Moi rodzice bez przerwy wbijali mi do głowy, jak ważne jest badanie poziomu cukru we krwi, a kiedy wyjeżdżałem na szkolne wycieczki, zawsze miałem pod ręką batonik Mars.

Próbuję ocenić jego reakcję. Wydaje się autentycznie zaskoczony moim odkryciem, ale spośród gości tylko on ma w pokoju lekarstwa dla cukrzyków, w każdym razie u nikogo innego ich nie zauważyłam.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby należała do Katie – mówię. – Oprócz mnie tylko ona była w moim pokoju.

Z tego, co wiem, myślę, ale nie wypowiadam tego na głos.

– Masz na myśli wczorajszą noc, kiedy lunatykowała?

– Tak. Ale musiałyby wejść do mojego pokoju, włożyć insulinę i ulotkę do szuflady i dopiero wtedy stanąć w drzwiach.

– To możliwe. – Joe wzrusza ramionami. – Pamiętasz, jak mówiłem ci, że lunatykowałem z koszem na śmieci w ręce?

Pamiętam, mimo to nadal wydaje mi się to dziwne.

– Co chcesz zrobić? – pyta Joe. – Porozmawiasz z nią?

Kiedy wcześniej pytałam ją o lunatykowanie, nasza rozmowa nie poszła najlepiej.

– Nie. – Kręcę głową. – Jeszcze nie. Najpierw przejrzę kwestionariusze medyczne.

• • •

Joe idzie za mną do recepcji i stoi przy biurku, podczas gdy ja grzebię w szufladach, szukając teczek z danymi gości. Robiąc rezerwację, musieli wypełnić i podpisać kwestionariusze medyczne, które przesłał nam nasz londyński agent. David powiedział, że woli mieć wszystko na papierze, bo nie ufa Wi-Fi. Okazuje się, że miał rację.

Znajduję teczkę i przeglądam formularze. Pierwszy dotyczy Trevora. Odhaczył *Nie* przy wszystkich głównych schorzeniach – astmie, nadciśnieniu, cukrzycy czy chorobach serca – i przekreślił pytanie *Czy cierpisz na jakiegokolwiek inne poważne schorzenia?*. Okienko, w którym należy wpisać przyjmowane lekarstwa, również jest puste. Następny w kolejce Malcolm zaznaczył nadciśnienie. Christine zaznaczyła nadczynność tarczycy w rubryce *Aktualne schorzenia* i raka w rubryce *Choroby przebyte w przeszłości*. Melanie zaznaczyła anemię (co tłumaczy to, że zasłabła), a Joe cukrzycę. Ani Katie, ani Fiona nie miały problemów zdrowotnych i nie przyjmują żadnych lekarstw.

– No i? – pyta Joe, nachylając się nad biurkiem.

Nie odpowiadam i w milczeniu dalej przeglądam formularze. Tylko on zaznaczył cukrzycę, ale po co miałyby kłamać w sprawie strzykawki? Chyba że... Oddech więźnie mi w gardle i czuję lodowate ciarki pełzające po plecach.

– No i? – powtarza. Wyciągnął ręce z kieszeni i skrzyżował ramiona na piersi. W jego spojrzeniu jest powaga, której chwilę temu jeszcze nie było.

Zmuszam się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– To Katie – kłamię. – Miałaś rację. Ona też jest cukrzykiem.

Rozdział 32

Mohammed

Najlepsze w centrum rehabilitacji urazów kręgosłupa jest to, że nie muszę już patrzeć na ludzi przychodzących w odwiedziny do innych pacjentów, myśli z goryczą Mohammed, kiedy słyszy dobiegające z korytarza radosne głosy. To było piekło – spoglądanie na ich twarze i szukanie wśród nich tej należącej do jego dziewczyny. Trochę z nadzieją, że może jednak przyszła go zobaczyć, i trochę z nadzieją, że może jednak tego nie zrobiła. Powiedział jej, żeby nie przychodziła; najpierw przez rodziców, a później, kiedy dostał komórkę, w SMS-sie.

Zastanawiał się, co napisać (czasu miał pod dostatkiem), i w końcu zdecydował się na:

Proszę, nie przychodź mnie odwiedzać. Miałem mnóstwo czasu na przemyślenia i doszedłem do wniosku, że nasz związek nie ma przyszłości. Nie jesteś dziewczyną, którą mógłbym poślubić. Przykro mi, ale nie zmienię zdania.

Zabolało go pisanie tych jadowitych słów, lecz musiał być okrutny i uderzyć w czuły punkt, żeby zniechęcić ją do siebie. Odpisała natychmiast:

Wiem, że wcale tak nie myślisz. Mówisz tak z powodu wypadku. Nie przeszkadza mi, że nie będziesz chodził. Kocham cię i chcę być z tobą.

Czytając to, rozplakał się. Zaraz jednak otarł łzy i odpisał:

Ale ja cię nie kocham. Jest ktoś inny. Poznałem ją w pracy. Od jakiegoś czasu mamy romans i jeśli przyjdiesz na oddział, wpadniesz na nią.

Oczywiście nie była to prawda i jego dziewczyna walczyła o niego, upierając się, że przyjdzie, żeby się z nim zobaczyć. Na koniec napisał jej, że jeśli pojawi się w szpitalu, każe ją wyprosić, że nie jest mężczyzną, w którym się zakochała, i że musi się z tym pogodzić (przynajmniej to było prawdą).

W końcu dała za wygraną. Napisała jeszcze, że wie, jak on cierpi, i że jeśli zmieni zdanie, będzie czekała. Wtedy znów się popłakał.

Rozdział 33

Anna

Tak jak przewidział Malcolm, na lunch jest zupa z chlebem. Smakuje wybornie, ale nie jestem w stanie przełknąć więcej niż kilka łyżek. Nadal siedziałam przy biurku w recepcji, kiedy Christine zajrzała do holu i oznajmiła, że lunch jest gotowy. Powiedziałam Joemu, żeby poszedł do jadalni, uparł się jednak, że zaczeka, aż schowam dokumenty do szuflady i zamknę ją na klucz. Teraz siedzi obok mnie – rozmawiając z Melanie, która zajmuje miejsce naprzeciwko – nieświadomy, że wzdrygam się za każdym razem, gdy stykamy się łokciami. Chciałabym mu zaufać, ale według formularzy jest jedynym cukrzykiem w hotelu. Po co komuś strzykawka z insuliną, jeśli nie ma cukrzycy? To bez sensu. Wciąż nie wiem, co myśleć o tych formularzach. Bo przecież może być tak, że któryś z gości kłamie. Cierpi na cukrzycę, lecz zataił tę informację. Tylko po co? Czy wiedział przed przyjazdem, że podrzuci mi do pokoju strzykawkę i ulotkę? A może to ja desperacko chwytam się wszelkich możliwości, bo nie chcę uwierzyć, że to Joe jest prześladowcą? Intuicja podpowiada mi, że to dobry człowiek, ale skąd mam wiedzieć, czy się nie mylę? Muszę zapytać, czy zna Freddy’ego i Steve’a, i zobaczyć, jak zareaguje. Jeśli to on, wyczytam to w jego oczach; jestem o tym przekonana. Rozglądam się po twarzach ludzi siedzących przy stole. Oprócz Trevora, który od ucieczki z pokoju Katie nie wychodzi ze swojego pokoju, są tu wszyscy. Ze strachu ściska mnie w żołądku. Potrzebuję odpowiedzi, tymczasem serce wali mi tak mocno, że prawie czuję je w gardle.

– Joe.

Niemal w zwolnionym tempie przerywa rozmowę z Melanie, żeby na mnie spojrzeć.

– Znasz może Freddy’ego Lainga? – pytam.

Na ułamek sekundy na jego czole pojawia się zmarszczka i czuję, że zaraz zwymiotuję.

– Nie, nie kojarzę – odpowiada beznamiętnie, po czym odwraca się z powrotem do Melanie. – Przepraszam, o czym...

– A Steve’a Lainga albo Petera Crossa? – Mój głos wydaje się dziwnie piskliwy i pozostali goście odwracają się w moją stronę. – Znasz ich?

– Nie. – Po jego twarzy przemyka cień irytacji. – Dlaczego pytasz? Kim są...

Urywa, bo w tej samej chwili drzwi stają otworem. Trevor z butelką whisky w dłoni, zataczając się, wchodzi do jadalni i kopnięciem otwiera kuchenne drzwi.

– Trevor! – Christine zrywa się od stołu. – Jedzenie...

Ale jej głos ginie pośród brzęku tłuczonego szkła i metalu uderzającego o ścianę.

• • •

– Trevor! – Joe pierwszy dociera do kuchni i zatrzymuje się w progu. Malcolm wpada na niego i próbuje się przepchnąć, ale Joe zagraża mu drogę ręką. Ja stoję na palcach i zerkam ponad jego drugim ramieniem. W kuchni oszalały Trevor rzuca garnkami i talerzami, które z brzękiem spadają na podłogę.

– Gdzie one są?! – Szarpnięciem otwiera szafkę i wyrzuca z niej szkło. Kieliszki do wina, szklanki do brandy i whisky latają po kuchni i roztrzaskują się o ściany.

Patrzę przerażona, jak wysuwa szufladę ze sztućcami i wysypuje na podłogę noże, widelce i łyżki.

– Przestań, Trevor! – krzyczy Joe i uchyla się przed patelnią, która leci w naszą stronę.

Zanim zdążę się wyprostować, Trevor otwiera lodówkę i wyrzuca z niej jedzenie.

– Nie jedzenie! – wrzeszczę, widząc, że chwytą ją oburącz i próbuje przewrócić. Lodówka przechyliła się powoli i z hukiem ląduje na podłodze przed kuchenką, tworząc między nami barykadę.

– Malcolm, pomóż mi! – woła Joe, biegnąc wśród odłamków szkła i porozrzucanych, poobijanych naczyń. Chwilę później obaj docierają do lodówki. Stają na ugiętych nogach i stękając, próbują ją podnieść.

– Trevor! – krzyczę, kiedy podchodzi do zamrażarki. – Proszę! Przestań! Potrzebujemy jedzenia.

Ale on mnie nie słucha. Otwiera drzwi, wciąż mruczając pod nosem o tym, że musi coś znaleźć. Joe podnosi rękę, pokazując, że nie ma złych zamiarów, i robi krok w jego stronę.

– Trevor, stary. Jeśli coś zgubiłeś, pomożemy ci...

Nie udaje mu się dokończyć, bo Trevor rzuca się na niego. Joe zatacza się w tył, kiedy pięść Trevora trafia go w szczękę. Padając, uderza głową w lodówkę.

Christine, Fiona i Melanie napierają na mnie, próbując zobaczyć, co się dzieje. Mówią jedna przez drugą i krzyczą do Trevora, żeby przestał. Kiedy odwracam się, by powiedzieć im, żeby się odsunęły, Malcolm przygarbia się jak szykujący się do szarży zawodnik rugby i rzuca się na Trevora. Jak na starszego mężczyznę jest zdumiewająco szybki. Ramieniem uderza Trevora w splot słoneczny, siła jego ciosu jest taka, że Trevor zatacza się w tył do pomieszczenia gospodarczego. Traci równowagę i pada na zimne kamienne płytki. Dysząc, leży bez ruchu przez sekundę albo dwie, po czym ryczy wściekle i obraca się na bok. W tym momencie Malcolm zatrzaskuje drzwi i rygluje je.

– Malcolm, tak nie można! – wołam, przedzierając się przez zdemolowaną kuchnię, on jednak staje mi na drodze, odgradzając mnie od zamkniętych drzwi. Za jego plecami Joe z jękiem podnosi się z podłogi.

– Malcolm, nie możesz go tam zamknąć – nie daję za wygraną. – On nie jest zwierzęciem.

– Więc może nie powinien zachowywać się jak zwierzę.

– Jest pijany. Nie wie, co robi.

– Daję mu czas, żeby się uspokoił. – Malcolm krzyżuje ramiona na piersi.

– Wypuść go!

– Wcześniej przewrócił moją żonę, a teraz – wskazuje na Joe'go, który jest już na nogach i rozmasowuje obolałą szczękę – uderzył kolejnego z gości.

Kogo tym razem uderzy, kiedy otworzę drzwi? Mnie? Christine? Katie? Ktoś mógł poważnie ucierpieć. – Kładzie dłoń na drzwiach do pomieszczenia gospodarczego. – Chcesz zaryzykować, Anno? Tak czy nie?

Patrzę na Malcolma, na kobiety, które tłoczą się w drzwiach, i Joego, który posyła mi znaczące spojrzenie i prawie niezauważalnie kręci głową.

– No i? – pyta Malcolm. – Narazisz nas na niebezpieczeństwo czy nie?

Wbijam w niego wzrok.

– Nie zamierzam narażać nikogo na niebezpieczeństwo. I nie pozwolę, żeby ktokolwiek mówił mi, co mam robić. Czy moglibyście wszyscy przejść do salonu? Tak, Malcolm, ty również – dodaję, gdy przywiera plecami do drzwi, za którymi zamknięty jest Trevor.

•••

Katie, Joe i Fiona siedzą na kanapie przy kominku. Fiona ociera twarz i szyję Joego zakrwawioną ścierką do naczyń, a Katie obserwuje ją przerażonym wzrokiem. Na chwilę pochwycam jej spojrzenie i pytam bezgłośnie: „Wszystko w porządku?”.

– Tak – odpowiada i szczelniej okrywa się kocem.

Wiem jednak, że to nieprawda. Jest wyraźnie przestraszona i zdezorientowana. Malcolm nie zwraca na to uwagi. Odkąd przeszliśmy do salonu, cały czas chodzi w tę i w tę przy oknie, ignorując prośby Melanie, żeby usiadł.

Kiedy wstaję i odchrząkuję, w pomieszczeniu zapada cisza. Mam wrażenie, że cały budynek wstrzymał oddech.

– Po tym, co wydarzyło się w kuchni, chciałam, żebyście wiedzieli, że wasze bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze. Niestety, zachowanie jednego z gości było...

– Po prostu powiedz, jak jest – warczy Malcolm. – Chodzi o Trevora.

– Trevora, który nadal siedzi zamknięty w pomieszczeniu gospodarczym – uściśla Fiona.

– Tylko do czasu, aż nasze spotkanie dobiegnie końca – mówię. – Później pójdę z nim porozmawiać. Jestem pewna, że kiedy wytrzeźwieje, będzie

przerażony tym, co się stało.

Malcolm wypina pierś.

– Naprawdę myślisz, że przemówisz mu do rozumu?

– Czemu nie?

– Bo ten człowiek jest niebezpieczny! Uderzył Joego, przewrócił Mel i zniszczył większość jedzenia. A ty chcesz go wypuścić? Po co? Żeby spalił ten hotel?

– Może powinniśmy trzymać go tam, dopóki nie przyjedzie pomoc? – wtrąca Christine.

Fiona unosi brwi.

– A jak myślisz, ile to potrwa? Dzień? Dwa? Tydzień? Chyba nie sądzisz, że tak długo będziemy trzymać go w zamknięciu? Gość przeholował z alkoholem i odbiło mu. Za coś takiego spędziłby w izbie wytrzeźwień nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

– Nikt nie mówi, że powinniśmy trzymać go pod kluczem przez tydzień – zauważam. – Poza tym nie jesteśmy policją.

Joe porusza się na kanapie.

– Jak długo zwykle trwają sztormy, Anno? – pyta. – O tej porze roku.

– Nie wiem, naprawdę. Przyjechałam na wyspę dziesięć dni temu.

Malcolm przestaje krążyć po pokoju.

– Pracujesz tu od niespełna dwóch tygodni i nie raczyłaś nas o tym poinformować?

– Właśnie to zrobiłam.

– Na litość boską, Malcolm – mruczy Melanie. – Pozwolisz jej mówić?

– Niby po co? Przecież ta dziewczyna nie wie, co robi.

– Ty też – rzuca Fiona. Na jej dekolcie wykwitły czerwone plamy. – Jesteś byłym policjantem czy strażnikiem więziennym?

– Tak się składa, że jestem profesorem psychologii – odpowiada Malcolm. – Znam się na ludziach i ten mężczyzna...

– Błagam! – Podnoszę ręce. – Ta dyskusja prowadzi donikąd.

– Myślę, że powinniśmy głosować – oświadcza Malcolm.

– Głosować?

– Czy trzymać Trevora pod kluczem, dopóki sztorm nie minie.

– Nie. – Kręcę głową. – Nie będzie żadnego głosowania.

– Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale zgadzam się z Malcolmem – mówi Christine. – Myślę, że powinniśmy głosować.

Patrzę na Joego i Fionę, oboje jednak unikają mojego wzroku. Dokonuję w głowie szybkich obliczeń. Zgaduję, ale mam nadzieję, że w pokoju jest dość rozsądnych ludzi, by położyć kres tej nedorzecznej debacie. Trevor nie jest szaleńcem, to Malcolm jest nieprzewidywalny i nie odpuści, dopóki nie dotrze do niego, że jest w mniejszości.

– Dobrze, więc głosujmy – zgadzam się. – Kto jest za tym, żebyśmy trzymali Trevora w zamknięciu do czasu, aż pogoda się poprawi?

Malcolm podnosi rękę. Po chwili wahania pod karcącym spojrzeniem męża Melanie robi to samo. Patrzę na nią z niedowierzaniem. Byłam gotowa pójść o zakład, że zagłosuje przeciwko. Szturchnięta łokciem Katie również głosuje „za”.

Fiona nieśmiało podnosi rękę.

– Nie głosuję – zastrzega. – Chcę zadać pytanie.

– Tylko jeżeli ma związek ze sprawą.

– Ma. Skoro w pomieszczeniu gospodarczym nie ma bieżącej wody, jak Trevor będzie jadł i pił? Albo korzystał z toalety?

– W drzwiach jest klapka dla kota – odpowiada Christine. – Moglibyśmy tamtędy podawać mu jedzenie i picie.

– A co z toaletą?

– Nie wypuścimy go do toalety, jeśli to pani sugeruje, pani Gardiner – oświadcza Malcolm. – W środku jest wiadro. Może z niego korzystać.

– Chyba pan żartuje?

Coś ściska mnie w żołądku. Troje gości jest za tym, żeby trzymać Trevora pod kluczem. Ja zagłosuję przeciwko, podobnie jak Joe i Fiona. Jeśli Christine nas poprze, cała ta farsa dobiegnie końca. Uśmiecham się do niej.

– Ktoś jeszcze głosuje na „tak”? – pytam.

Christine podnosi na mnie wzrok. Choć oczy wszystkich zwrócone są na nią, wydaje się dziwnie nieporuszona.

– Przykro mi – mówi. – Niechętnie, ale zgadzam się z panem Wardem i dla naszego bezpieczeństwa uważam, że dopóki pogoda się nie zmieni,

powinniśmy trzymać Trevora pod kluczem.

Malcolm podnosi zaciśniętą pięść.

– Cztery głosy za. Większość wygrywa.

Czuję, że krew odpływa mi z twarzy. Nie wolno nam tego zrobić! Sztorm może potrwać jeszcze kilka dni. Poza tym nie możemy trzymać kogoś w zamknięciu jak więźnia.

– Mam inny pomysł – rzucam szybko. – Zagłosujmy jeszcze raz i zdecydujemy, czy pozwolić Trevorowi zamieszkać w chatce.

– W chatce Gordona? – pyta Malcolm.

– Tak.

– Ale przecież jest zamknięta, tak?

– No to się włamiemy.

– A niby jak mamy go tam zaprowadzić? Weźmiesz go za rączkę i odprowadzisz na miejsce? Chyba nie sądzisz, że pójdzie dobrowolnie.

Wpatrzony w ogień Joe mruczy coś pod nosem.

– Co mówiłeś, Joe? – pytam go.

Nie patrzy na mnie, ale kiedy się odzywa, mówi podniesionym głosem:

– Nie możesz do tego dopuścić, Anno.

Ogarnia mnie fala niepewności. Co powinnam zrobić? Unieważnić głosowanie? Wypuścić Trevora, pozwolić, żeby znowu zaszył się w swoim pokoju z butelką whisky, i drzeć o to, kiedy wyjdzie i co robi tym razem? Albo poprosić kogoś, żeby spakował plecak Trevora, powiedzieć mu, żeby opuścił hotel, i mieć nadzieję, że znajdzie drogę do chatki? Różne rzeczy mogłyby mu się przydarzyć, a my nie mielibyśmy o niczym pojęcia. Jestem za niego odpowiedzialna w takim samym stopniu jak za innych gości. Tylko że jeśli go wypuszczę, dojdzie do buntu. Odwracam się do pozostałych i po kolei spoglądam na ich pełne wyczekiwania, zdenerwowane twarze. Będę musiała udawać, że zgadzam się z nimi... przynajmniej do czasu, aż Trevor wytrzeźwieje. Później znajdę jakiś pretekst, żeby go wypuścić.

– Przykro mi, Joe – mówię. – Tak zdecydowała większość. Na razie Trevor zostaje pod kluczem.

Rozdział 34

Wyjście na zewnątrz jest jak wchodzenie w monsun. Deszcz smaga mnie po twarzy, a wiatr z pełną siłą uderza w pierś i omal nie ciska mną o budynek. Pochylona, biegnę naokoło hotelu, aż docieram do drzwi do pomieszczenia gospodarczego. Z tyłu budynek jest bardziej osłonięty od żywiołów, bo ogród, drzewa i krzewy zapewniają jaką taką ochronę przed szalejącym sztormem.

– Trevor? – Ostrożnie popycham klapkę dla kota, gotowa w każdej chwili cofnąć rękę. Popycham klapkę nieco mocniej, aż jest w pełni otwarta. Woda przesiąka przez cienki materiał moich dżinsów, kiedy klęcząc, zaglądam do środka.

Trevor siedzi oparty plecami o kuchenne drzwi. Kolana ma podciągnięte pod brodę, a głowę opuszczoną na splecione ramiona. Jęczy cicho.

– Trevor, to ja, Anna, recepcjonistka z hotelu. Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest.

Jęk przybiera na sile.

– Bardzo mi przykro, że tak to się skończyło, Trevor, ale nie będziesz siedział tu wiecznie. Chcemy tylko, żebyś się uspokoił i wytrzeźwiał. Nie możesz demolować hotelu i atakować gości.

Porusza ustami i mruczy coś niewyraźnie.

– Możesz powtórzyć? Trochę głośniej? – Przechyliłam głowę i zbliżam ucho do otwartej klapki.

– Ktoś wziął moje lekarstwo! – krzyczy bełkotliwie i tym razem go rozumiem.

– Jakie lekarstwo?

– Moje! – Niezdarnie podnosi się z podłogi i rzuca na drzwi. Klapka dla kota zatrzaskuje się, a drzwi wibrują na zawiasach, kiedy w nie uderza. – Wypuść mnie! – ryczy i wściekle potrząsa klamką. – Wypuść mnie! Wypuść!

Odskakuję w tył, modląc się w duchu, żeby drzwi wytrzymały jego szarżę. Chcę uciec, ale nie robię tego. Zmuszam się, żeby zostać, i czekam.

Po jakimś czasie, który zdaje mi się wiecznością, walenie w drzwi ustaje i słyszę tylko deszcz tłukący o kamienie, plujące wodą rynny i wycie wiatru. Odłamuję gałąź z rosnącego za moimi plecami krzaka i podnoszę nią klapkę. Nigdzie jednak nie widzę Trevora. Nie ma go już przy drzwiach. Przesuwam się w prawo i pochylam do przodu, tak by widzieć lewą stronę pomieszczenia, w której stoją pralki i suszarki, ale gałąź ześlizguje się z plastiku i drzwiczki zamykają się, klekocząc.

– Trevor! – Wyciągam rękę w stronę klapki. – Musisz mi powiedzieć, o jakie lekarstwo chodzi.

Stukam w plastik i przerażona krzykiem mewy pospiesznie cofam rękę. Krople deszczu ściekają mi z nosa, rzes, a džinsy i kurtka lepią się do ciała.

– To lekarstwo? Było w strzykawce? – Znowu popycham gałęzią klapkę, próbując otworzyć ją najszerszej, jak się da. Trevor nie stoi jednak obok pralek i suszarek ani...

Jego twarz pojawia się nagle w otworze dla kota, a ja krzyczę ze strachu.

– Znajdź moje lekarstwo – cedzi przez zaciśnięte zęby, kiedy odsuwam się od niego. Moje pięty ślizgają się na mokrych płytkach tarasu.

– JAKIE LEKARSTWO?

Wbija we mnie wzrok i mruczy coś niewyraźnie.

– Spróbuj jeszcze raz – mówię. – Powtórz.

Wzdycha ciężko, bierze głęboki oddech i zaciska powieki.

Sekundę później otwiera oczy.

– Valium – mówi.

• • •

Pomijając zapach – nieprzyjemną mieszankę potu i gnijącego jedzenia – pokój Trevora wygląda zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażałam. Spodziewałam się bałaganu: rzeczy porzucanych po podłodze, brudnej toalety, pomiętej pościeli i uszkodzonych sprzętów. Tymczasem panuje tu porządek. Łóżko jest pościelone, kołdra wygładzona, a w łazience nie ma

niczego oprócz dezodorantu w sztyfcie, szczoteczki do zębów, miniatutki pasty do zębów, butelki szamponu Head & Shoulders i supermarketowego żelu pod prysznic. Na szafce nocnej nic nie stoi, a szafa jest pusta, podobnie jak szuflady. O tym, że ktoś tu mieszka, świadczy wyłącznie duży niebieski plecak, oparty o grzejnik pod oknem. Podnoszę go i zaglądam pod spód. Nic.

Lekarstwo Trevora musi więc być w plecaku. Podnoszę górną klapę i poluzowuję troczek. Na wierzchu leży reklamówka, która – jak sędzę – zawiera brudne ubrania, a pod nią są czyste, starannie poskładane. Ostrożnie wykładam je na łóżko i kolejny raz zaglądam do plecaka. Wyjmuję lornetkę, kompas, mapę szkockich wysp i zwinięty w rolkę ciężki materiał, związany rzemykiem. Rozwiązuję go i rozwijam zawiniątko. W środku jest pięć noży o drewnianych trzonkach i długich ostrzach; każdy schowany w skórzanej kieszonce. Jedna kieszeń jest pusta: brakuje jednego noża. Odkładam je na łóżko i kontynuuję poszukiwania. Znajduję wodoodporne zapałki, zwinięty ciasno śpiwór, czarne plastikowe worki, apteczkę, menażkę z wodą, jedzenie w puszkach, kawałek drutu, ostry metalowy przedmiot, który wygląda jak ostrze włócznie, latarkę, otwieracz do konserw, przyborek krawiecki, zwój sznurka, krem z filtrem, bawełniane waciki i wazelinę. Na samym dnie jest przenośna kuchenka gazowa i turystyczna butla gazowa. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zupełnie jakby Trevor zamierzał spać pod namiotem, a nie w hotelu.

Sprawdzam boczne kieszenie, klapę plecaka i wszystkie zakamarki zamykane na zamek błyskawiczny, lecz nigdzie nie znajduję lekarstwa. Przetrzęsam apteczkę, ale tam też go nie ma. Zaglądam pod łóżko, do każdej szuflady, a nawet do kosza na śmieci. Nadal nic.

Ostatni raz rozglądam się po pokoju i zaczynam pakować rzeczy Trevora z powrotem do plecaka. Kiedy biorę do rąk zestaw noży, zamieram. Gdzie jest brakujący nóż?

Czuję, jak włoski na karku stają mi dęba. Ktoś mnie obserwuje. Odwracam się, przekonana, że zobaczę kogoś w drzwiach.

Nikogo jednak tam nie ma.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Akhtar Begum

*Wspomnienie o mojej przyjaciółce Akhtar (1990–2012).
Byłaś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wyobrazić.
Wciąż brakuje mi Twojej uśmiechniętej twarzy.
Dla mnie zawsze będziesz piękna.*

Nie rozumiesz tej aluzji, prawda, Anno? Twoja obsesja na punkcie gości – tych ogłupiałych beczących owiec – sprawiła, że zapomniałaś o poczuciu winy. Niedobrze jest ukrywać uczucia, Anno. Musisz stawić czoło temu, co zrobiłaś. Nie tak miało być, decyzja miała należeć do kogoś innego. Miałaś odejść w spokoju. Położyć się, zamknąć oczy i umrzeć. Wszystko miało być idealne, ale teraz już takie nie będzie. Przez ciebie. Bardzo mnie to złości. Denerwujesz mnie, prawie tak bardzo jak moja matka.

Rozdział 35

Anna

Wróciwszy od Trevora, usłyszałam brzęk szkła, odgłosy zamiatania i stłumione niskie jęki. Melanie i Christine krzątały się w kuchni, zmiatały szkło i ścierały blaty. Nie dało się uratować niemal niczego, co Trevor wyrzucił z lodówki. Pozbawił nas resztek mleka, rozdeptując ciężkim butem plastikową butelkę. Pozostało nam więc kilka opakowań makaronu, worek ziemniaków, pomidory z puszki, ser i mięso, mąka, przyprawy i to, co zostało w zamrażarce. Kiedy oceniałam straty, Melanie rzuciła okiem na moją zboląłą twarz i powiedziała, że Malcolm przygotowuje kolację. Nie protestując, pomogłam im sprzątać. Przez pierwsze pół godziny Trevor rzucał się na drzwi pomieszczenia gospodarczego, tak że trzęsły się w zawiasach, i krzyczał, żebyśmy go wypuścili. Nie mogłam tego słuchać, ale ponieważ Christine i Melanie głosowały za tym, żeby go nie wypuszczać, nie byłam w stanie nic zrobić. Kilka godzin później kuchnia wyglądała niemal normalnie.

Melanie wygoniła mnie i Christine, więc nie miałam wyboru – musiałam wyjść. Odmówiłam Christine, która zaprosiła mnie na partyjkę tryktraka, i zaszyłam się w swoim pokoju, gdzie na próżno próbowałam zasnąć, odpocząć i poczytać, aż w końcu usłyszałam, jak Malcolm woła z dołu na kolację.

Atmosfera jest tak gęsta, że można ją kroić nożem. Fiona i Joe siedzą przy drugim końcu stołu, udając, że mnie nie ma. Fiona odwraca wzrok za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotykają, a Joe celowo mnie unika. W grupie doszło do podziału na „nas” i „tamtych” i zdaniem tych dwojga należą zdecydowanie do „tamtych”.

Po kolacji – pozbawionym smaku makaronie z sosem pomidorowym – wymykam się, żeby zajrzeć do Trevora. Nadzieja, którą widzę w jego oczach,

kiedy pochylałam się i zaglądam przez klapkę dla kota, gaśnie w chwili, kiedy mówię mu, że przeszukałam jego pokój i nie znalazłam lekarstwa. Kryje twarz w ramionach i nie podnosi wzroku, nawet gdy wpycham do środka trzy koce, poduszkę, butelkę wody, ciastka, mielonkę w puszcze i jabłka. Wstaję, lecz nie mogę zmusić się do odejścia. To nie w porządku zostawiać go tak samego, zwłaszcza że jest w kiepskim stanie psychicznym. Nie mam pojęcia, na co przepisano mu valium, lecz bez niego jest znerwicowanym wrakiem człowieka, który trzęsie się, kołysze i mówi sam do siebie. Dotykam dłonią kieszeni dzinsów i czuję pod palcami klucz do tylnych drzwi. Mogłabym znieść plecak, oprzeć go o drzewo i podrzucić Trevorowi klucz, żeby mógł się wydostać. Oprócz namiotu ma w plecaku wszystko, żeby przeżyć, i jestem pewna, że potrafiłby włamać się do chatki, nie wyrządzając przy tym większych szkód. Ale co z brakującym nożem? Czy ma go przy sobie? Idę o zakład, że gdybym go wypuściła, nic by mi nie zrobił, jeśli jednak wpadnie na Malcolma albo Joego? Nie mam pojęcia, jak się zachowa. Wzdychając, podnoszę się z ziemi. Zaczekam do rana, aż wytrzeźwieje, porozmawiam z nim i wtedy go wypuszczę.

•••

Od progu hotelu wita mnie baryton Malcolma. Drzwi do salonu są lekko uchylone, ale to wystarcza, bym wiedziała, że w pokoju poza Malcolmem i Melanie nie ma nikogo. On, wyraźnie rozdrażniony, chodzi nerwowo tam i z powrotem ze szklaneczką whisky. Melanie siedzi na kanapie z okularami w ręce i zmęczona trze oczy.

– Proszę tylko, żebyś pomyślał, zanim cokolwiek powiesz – mówi. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak nieuprzejmy bywasz wobec pozostałych gości.

– Nie obchodzi mnie, co o mnie myślą.

– To może obejdziesz cię, co ja myślę na ten temat. Nie podoba mi się, że mówisz o Trevorze, jakby był zwierzęciem. Na litość boską, byłeś dziekanem wydziału psychologii!

– I?

– Powinieneś wiedzieć, jak się zachować! – Jej głos jest dziwnie zduszony. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś taki niewrażliwy.

– Facet jest pijany.

– Był pijany – prostuje Melanie. – Widzę w tym pewną różnicę. To, co powiedziałeś, jest obraźliwe, niebezpieczne i niegodne osoby wykształconej.

– Sugerujesz, że jestem niewykształcony? – Malcolm rechocze. – I mówi to kobieta, które ledwie ukończyła studia.

– Na litość boską. – Melanie zaciska palce na leżącej obok poduszce i przez ułamek sekundy myślę, że rzuci nią w męża. Zamiast tego poirytowana uderza nią w siedzisko kanapy. – Nawet nie waż się zaczynać. Tu nie chodzi o wykształcenie...

– Przed chwilą twierdziłaś coś innego. – Malcolm uśmiecha się z wyższością.

– Chryste! – krzyczy Melanie i łapie się za włosy, jakby chciała je sobie powyrywać. – Czasami zachowujesz się jak kompletny dupek. W życiu nie spotkałam kogoś tak upartego.

– A więc teraz zaczniesz mi ubliżać, tak?

– Tak. Bo mnie nie słuchasz, Malcolm. Próbuję ci powiedzieć, że twoje zachowanie jest niedopuszczalne, i nie ja jedna tak myślę. Niedługo pozostali goście zaczną udawać, że nas nie zauważają.

– I miałbym się tym przejmować?

– Może ty nie, ale ja tak. Twoje zachowanie odbija się na mnie.

– Aha! – Malcolm teatralnie unosi brwi. – A więc o to chodzi. Wstydzisz się mnie.

Mija sekunda, dwie, a Melanie patrzy na niego, nerwowo skubiąc poduszkę, którą trzyma na kolanach. No dalej, zachęcam ją w duchu. Powiedz mu, co czujesz. Nie bój się.

– Fiona zatruwa ci umysł, tak? – Malcolm siada na kanapie obok niej; whisky chlusta ze szklanki na dywan. – Sący ci jad do ucha, tak? Tłucze ci do głowy, że powinnaś się postawić?

Jego głos brzmi teraz inaczej. Jest piskliwy, złośliwy i pobrzmiwa w nim groźba.

– Nikt nie zatruwa mi umysłu, Malcolm. – Melanie odsuwa się od niego i wciska w oparcie kanapy. – Ta rozmowa od dawna wisiała w powietrzu.

– Czyżby? – Malcolm obnaża zęby. – A ty postanowiłaś odbyć ją właśnie teraz!

Jego krzyk sprawia, że się wzdrygam, a Melanie podskakuje na kanapie.

– Tak – odpowiada cicho. – Zamierzam powiedzieć ci, co myślę, a ty zdecydujesz, czy chcesz mnie wysłuchać, czy nie. Mam dość tego, jak mnie traktujesz. Nie podoba mi się, że na mnie warczysz, że pomiatasz mną i dyrygujesz. To oznaka braku szacunku i nie pozwolę sobie na takie traktowanie.

Malcolm milczy, zaciska palce na szklance, a jego lewa stopa podryguje nerwowo.

– Głosowałam za tym, żeby Trevor pozostał w zamknięciu – ciągnie Melanie – tylko dlatego, że wiedziałam, że jeśli się z tobą nie zgodzę, urządzisz awanturę. Przez cały wieczór czuję się podle. Biedny człowiek. Potrzebuje naszej pomocy, nie wykluczenia.

– Pewnie miałbym dla ciebie więcej szacunku, gdybyś się ze mną nie zgodziła.

– Co? – Melanie patrzy na niego osłupiałym wzrokiem, podczas gdy on sięga po stojącą na podłodze opartą o kanapę butelkę whisky. Zdejmuje nakrętkę i nalewa sobie pół szklanki.

– Myślisz, że mi się to podoba? – pyta. – Że mam żonę, która nie dorównuje mi intelektem? Wiesz, dlaczego bywam kontrowersyjny? Bo lubię skutki uboczne tych kontrowersji. Stymulują mnie. W przeciwieństwie do ciebie.

– Rozumiem. – Melanie spogląda na niego w milczeniu, a zaraz potem prostuje się i unosi głowę. – Cóż, w takim razie nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli poproszę cię, żebyś wyniósł się z mojego pokoju i spał tu, na kanapie.

– Naszego pokoju.

– Mojego pokoju. – Głos Melanie jest zimny niczym stal. – To ja zapłaciłam za urlop, Malcolm, tak jak płacę za dom, jedzenie i twoje przekłete buty. Może i masz tytuł profesora, ale twoja pensja nie wystarcza na rachunki. To ja je opłacam.

Chowam się za biurkiem, kiedy Melanie sztywnym krokiem wychodzi i idzie na górę. W połowie schodów zatrzymuje się i odwraca. Wstrzymuję oddech przerażona, że mnie zobaczyła, ale ona patrzy na otwarte drzwi salonu.

– Popelniliśmy błąd, zamykając Trevora w pomieszczeniu gospodarczym – mówi na tyle głośno, by usłyszał ją Malcolm. – Trzeba było zamknąć ciebie, nie jego.

• • •

Czekam, aż jej kroki ucichną, i wbiegam na górę. Pokonuję drugi ciąg schodów, zakrywając usta i nos rękawem. Powietrze tak cuchnie, że żołądek podchodzi mi do gardła. Jeśli sztorm się nie uspokoi, będziemy musieli pomyśleć o tym, żeby przenieść ciało Davida gdzieś indziej. To zadanie, którego nikt nie podejmie się z własnej woli.

Kiedy otwieram drzwi, czerwone cyfry elektronicznego zegara w moim pokoju wskazują jedenastą trzydzieści cztery. Padam na łóżko i wciskam twarz w poduszkę. Jestem tak zmęczona, że nie wiem, czy ruszyłabym się stąd, gdyby w hotelu wybuchł pożar. Chcę tylko zasnąć i obudzić się, kiedy to wszystko się skończy. Nie wiem, ile jeszcze zdołam znieść.

• • •

Podrywam się ze snu i wsparta na łokciu, wpatruję się w ciemność, oszołomiona i zdezorientowana, uwięziona gdzieś między jawą a snem.

– Alex?

Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu jego pudeł z winylami, pięćdziesięciocalowego telewizora i ohydnych zasłon w stylu lat siedemdziesiątych, które właściciel mieszkania zabronił nam zdejmować. W miarę jak mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, opuszcza mnie senność, pozostawiając po sobie dziwny niepokój. Mojego byłego chłopaka nie ma ze mną w pokoju i wcale nie pokłóciliśmy się o czas, jaki spędzam w pracy. Nie wróciłam do naszego mieszkania. Jestem w małym pokoiku na

poddaszu, z niskimi belkami stropowymi, ogromną szafą, komodą, która pamięta lepsze czasy, i martwym mężczyzną leżącym za ścianą.

Opadam na poduszkę i otulam się kołdrą. Jest trzecia pięćdziesiąt pięć. Muszę ponownie zasnąć.

Słyszę skrzypienie klepki na schodach, podnoszę głowę i opieram się na łokciu. Wstrzymuję oddech, słyszę, jak wali mi serce.

Kolejne skrzypnięcie. I jeszcze jedno. Ktoś chodzi pod drzwiami do mojego pokoju. Leżę bez ruchu. W milczeniu. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w klamkę. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek dostał się do pokoju. Zamknęłam drzwi na klucz, a pozostałe klucze są w kieszeni moich džinsów.

Oddech więźnie mi w gardle, gdy klamka wolno, bardzo, bardzo wolno nachyla się w stronę podłogi.

– Kto tam?

Klamka z cichym szczęknięciem odskakuje w górę i słyszę dudnienie kroków na półpiętrze, kiedy osoba, która przed chwilą próbowała wejść do mojego pokoju, ucieka. Ogarnia mnie wściekłość. Odrzucam kołdrę i podbiegam do drzwi. Drżącymi rękami próbuję włożyć klucz do zamka, podczas gdy schody skrzypią pod ciężarem mojego prześladowcy. Zniknie, zanim go dopadnę.

– No już. – Przekręcam klucz i uderzam dłonią włącznik światła na korytarzu. Nic. Tylko żarówka wskazująca wyjście ewakuacyjne emanuje upiornym pomarańczowym blaskiem. – Słyszę cię! – krzyczę, biegnąc korytarzem. – Wiem, że próbowałeś wejść do mojego pokoju!

Kiedy docieram do schodów, widzę tylko cień, który znika w korytarzu z pokojami dla gości. Ucieknie mi.

– Stój! – Szukam dłonią poręczy i robię krok do przodu, ale moja stopa trafia w pustkę i machając rękami, lecę w ciemność. W jednej chwili stoję na szczycie schodów i krzyczę, a zaraz potem strome stopnie wybiegają mi na spotkanie. Upadam ciężko, wnętrzem dłoni szorując o wykładzinę. Moje żebra uderzają o drewno, aż brakuje mi tchu, a głowa obija się o ścianę. Leżę bez ruchu, zbyt przerażona, żeby cokolwiek zrobić, powiedzieć, a nawet oddychać. Chwilę później zalewa mnie fala bólu i zapada ciemność.

Rozdział 36

Anna

Czwartek, 7 czerwca

6 dzień sztormu

– Anno? Słyszysz mnie? Możesz otworzyć oczy?

Czuję, jak czyjeś ręce dotykają mnie, głaszczą po głowie i policzku. Zmuszam się, żeby unieść powieki. Kolory wirują, zlewając się w rozmazaną smugę. Mrugam gwałtownie i znów zamykam oczy. Kiedy chwilę później uchylam powieki, kolory są już na swoim miejscu; widzę zaróżowiony policzek, okulary w metalowych oprawkach i podkrążone wyblakłe oczy. Skupiam się na nosie i skórze upstrzonej czerwonymi plamkami. Zaraz potem twarz znika.

– Malcolm – syczy ktoś, a po chwili białe światło pali mnie w oczy, więc jeszcze mocniej zaciskam powieki. – Nie świeć jej w twarz latarką.

– Chciałem tylko zobaczyć, czy nic jej nie jest.

– Myślę, że powinna ją obejrzeć Christine. Jest ratowniczką. A właściwie gdzie ona jest? Zapukaj głośniej, Joe!

– Anno, możesz jeszcze raz otworzyć oczy? Dobrze – mówi Melanie, kiedy unoszę powieki. – Ostrożnie – dodaje, widząc, że próbuję się poruszyć. – Nie wiemy, czy czegoś sobie nie złamałaś.

– Melanie? – Głos mam schrypnięty.

Uśmiecha się łagodnie.

– Miałaś wypadek i leżysz na dole schodów. Był potężny huk i...

– Obudził mnie – rzuca Malcolm. – Myślałem, że to Trevor wydostał się i wpadł w szal.

– Poważnie? – Melanie piorunuje go wzrokiem. – Po co ten komentarz? O, Christine, obudziłaś się.

W drzwiach pojawia się niska przysadzista sylwetka. Christine podchodzi bliżej i zbliża głowę do mojej twarzy. Opaskę na oczy ma uniesioną na czoło, a twarz pomiętą od snu.

– Co się stało? – Podnosi wzrok na Melanie, która siedzi na najniższym stopniu przy moich nogach.

– Ja... – Próbuję dźwignąć się do pozycji siedzącej, ale potworny ból przeszywa mi ramię, wyrывая mi z gardła krzyk.

– Myślę, że ma zwichnięcie – mówi Melanie. – Spójrz.

Mam na ramieniu dziwne zgrubienie i od samego patrzenia robi mi się niedobrze.

– Przy odrobinie szczęścia jest tylko częściowo wywichnięte – ocenia Christine. – Możesz ruszać nogami, Anno?

– Jezu Chryste! – jęczy Malcolm, kiedy prostuję nogi. Przez krótką chwilę myślę, że zobaczył kość, która przebiła mi skórę, ale on nie patrzy na moje nogi. – Ten hotel to pieprzona śmiertelna pułapka.

– O co chodzi, Malcolm? – Melanie przywiera do ściany, żeby przepuścić męża, który przestępuje nade mną i ostrożnie wchodzi na górę, oświetlając sobie drogę latarką w telefonie.

– Klepka się poluzowała! – krzyczy Malcolm. – Nic dziwnego, że się potknęłaś. – Mija ją i znika w głębi korytarza. – Nie ma światła. Nie, chwileczkę. Nie ma żarówki. Chryste, ależ tu cuchnie.

– Wydaje się, że z nogami wszystko w porządku. – Christine nie zwraca na niego uwagi i delikatnie dotyka moich kolan, kostek i stóp. – Straciłaś przytomność?

– Tak – odpowiada Melanie. – Była nieprzytomna, kiedy ją znalazłam.

– Będzie musiała mieć rękę na temblaku – odzywa się z korytarza Fiona. – W recepcji jest apteczka. Pójdę po nią.

Leżę bez ruchu, podczas gdy Christine bada moje ciało, mrużąc coś pod nosem.

– Czy ona w ogóle wie, co robi? – Malcolm zwraca się do żony, mówi jednak na tyle głośno, by wszyscy go słyszeli.

– Niezupełnie. – Christine podnosi na niego wzrok. – Robiłam kurs pierwszej pomocy w kolegium nauczycielskim i od tamtej pory minęło już trochę czasu. Ale twojemu życiu, Anno, nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo – dodaje pospiesznie. – Raczej nie połamalaś nóg i nie uszkodziłaś kręgosłupa, ale na wszelki wypadek potrzebne będzie prześwietlenie.

– Odpalić land rovera? – pyta Malcolm. – Zobaczymy, czy uda nam się przewieźć ją do wioski.

– Nie wiem. Nawet jeśli przeprowimy się przez rzekę, Anna będzie cierpiała. Każdy wybór, każda nierówność będzie dla niej torturą.

– Wygląda na to, że i bez tego bardzo cierpi. – Melanie zerka na mnie. – Jest taka blada.

Mówią o mnie w trzeciej osobie, jakby mnie tu nie było, jakbym wciąż była nieprzytomna.

– Potrafisz nastawić ramię? – pyta Malcolm.

– Może. – Melanie wzrusza ramionami. – Mój brat cierpi na wiotkość stawów – zwraca się do Christine. – Jako nastolatka nauczyłam się je nastawiać. Ale Anna jest dużo większa od ośmioletniego chłopca.

Mąż ignoruje niepewność w jej głosie.

– No już, nastaw je i miejmy to za sobą.

– To było dawno temu, Malcolm. A jeśli coś pójdzie nie tak... – Kręci głową.

– Nie, prawdę mówiąc, wolałabym, żeby zrobił to ktoś, kto się na tym zna.

– A jeżeli nie przeprowimy się przez rzekę?

– Wtedy nie będę miała wyboru.

– Proszę. – Fiona nachyla się nad nią i podaje Christine zieloną apteczkę, poduszkę z kanapy i coś, co wygląda jak obrus. Stojący za nią Joe obejmuje się ramionami.

– Dobrze, Anno – mówi Christine. – Jeśli masz wejść do samochodu, musimy unieruchomić ci ramię. Przygotuj się, bo będzie bolało.

Nie jestem szczególnie delikatna, ale kiedy Christine wzięła mnie za łokieć, żeby wsunąć mi poduszkę pod pachę, zawyłam z bólu. Prosiłam ją, żeby nie krępowała mi ręki – ochoczo połknęłam dwa ibuprofeny popite dużą ilością whisky, którą podała mi Fiona – i szlochałam, gdy Christine wiązała mi supeł

na szyi. Malcolm nie był jedynym, który komentował smród dolatujący z drugiego piętra, więc gdy Joe zaproponował, żebyśmy wszyscy zeszli do salonu, nikt nie protestował.

– Kawa – mówi teraz Fiona, stawiając na stoliku obok mnie kubek. – Nie ma mleka, ale za to wsypałam dodatkowy cukier.

Uśmiecham się do niej z wdzięcznością, zdążyła się już jednak odwrócić i idzie w stronę Joego, który siedzi sam przy oknie.

– Jak Trevor? – zwracam się do Melanie, kiedy wchodzi do salonu.

Ogląda się za siebie na Katie, która je jabłko, i unosi brwi. Nie chce rozmawiać o Trevorze przy bratanicy męża, ale ja nie zamierzam odpuszczać.

– Nadal tam jest?

Kiwa głową.

– Tylne drzwi i drzwi do pomieszczenia gospodarczego są zamknięte? – wpytam dalej.

– Tak.

– I żyje?

Znów przytakuje.

– Żyje, ale mówi bez ładu i składu.

„Później mi opowiesz” – mówię bezgłośnie, bo Katie szturcha ją i pyta:

– Kto mówi bez ładu i składu? O kim rozmawiacie?

Malcolm, przeglądający instrukcję obsługi land rovera, zamyka ją i zwraca się do mnie:

– Gotowa spróbować? Zobaczmy, czy damy radę cię stąd wyciągnąć.

– Dobrze.

Trzęsę się pomimo koców, które mam na ramionach, i ognia trzaskającego w kominku. Teraz, kiedy minął szok po upadku, a whisky przytłumiła ból w ramieniu, powoli dociera do mnie, co się właściwie stało. Ktoś celowo poluzował klepkę, wykręcił żarówkę i nacisnął klamkę. Wcale nie chciał wejść do mojego pokoju. Chciał mnie z niego wywabić w ciemność na szczycie schodów.

Christine siedzi naprzeciw mnie z apteczką na kolanach i zwija i rozwija bandaż. Melanie popija kawę, przycupnięta obok niej Katie nadal pogryza jabłko, a Joe i Fiona siedzą w milczeniu przy stole obok okna. Znowu

przebiega mnie dreszcz, tym razem bardziej gwałtowny. Ktokolwiek wywabił mnie z pokoju, nie chciał mnie przestraszyć. Chciał, żebym potknęła się i spadła. Ma dość czekania, aż popełnię samobójstwo. Chce mnie widzieć martwą już.

Rozdział 37

– Naprawdę uważam, że nie powinnaś tego robić, Anno. – Christine poprawia kaptur kurtki Davida, żeby nie spadał jej na oczy. – Gwałtowne hamowanie może nieodwracalnie uszkodzić ci ramię.

– Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. – Niezdarnie pakuję się na tylne siedzenie land rovera, drząc w przemoczonych ubraniach. Zdołałam włożyć jedną rękę do rękawa, przez co nie można było zapiąć kurtki.

– Jak chcesz. – Zamyka za mną drzwi. – Skoro jesteś pewna. – Siada obok mnie, nachyla się w moją stronę i sięga po pas bezpieczeństwa. – Lepiej cię zapnijmy.

Ostrożnie zapina pas, uważając, by przełożyć go pod temblakiem.

Siedzący za kierownicą Joe czeka, aż Christine też się zapnie. Dopiero wtedy uruchamia silnik i samochód rusza z chrzęstem opon na wysypanej żwirem drodze. Niebawem hotel i pozostali goście zostają daleko w tyle. Im dłużej jedziemy, tym mniej się denerwuję i tym większy ogarnia mnie optymizm. Musimy tylko przejechać przez rzekę. Kwadrans później będziemy bezpieczni w wiosce na drugim końcu wyspy. Jest tam pub, o którym mówił mi David. Na pewno będę mogła skorzystać z telefonu i zadzwonić na policję. To już nie są groźby, to usiłowanie zabójstwa i mam na to dowody – na przykład wielką dziurę w miejscu klepki podłogowej. Kiedy przeprawimy się przez rzekę, już nigdy więcej nie będę musiała oglądać żadnego z gości.

Ale w miarę jak zbliżamy się do rzeki Glen Duian, moje nadzieje się rozwiewają. Poziom wody jest wyższy niż dwa dni temu. Musiałby się stać cud, żebyśmy zdołali przejechać na drugi brzeg.

– Zwolnij – warczy na Joego Malcolm. – Musisz wjeżdżać na jedyńce albo dwójce. Jeśli woda zakryje maskę, to znaczy, że jedziesz za szybko. Trzeba zrobić falę przed samochodem.

– Prowadziłem już land rovera. – Joe zaciska palce na kierownicy, a ja łapię się na tym, że wpatruję się w jego ręce.

– Aha – rzuca Malcolm. – A próbowałeś kiedyś przejechać przez rzekę?

Kłykcie prawej ręki Joego są opuchnięte, czerwone i otarte. Rany wyglądają na świeże, jakby niedawno kogoś uderzył albo – strach chwytamnie za gardło – otarł je, podważając klepkę podłogową na szczycie schodów.

– Trzymajcie się – nakazuje nam. Redukuje bieg z dwójki na jedynkę i land rover powoli wjeżdża do rzeki.

Kiedy samochód zjeżdża z brzegu, wszyscy pochylamy się do przodu. Pas bezpieczeństwa boleśnie wrzyna mi się w ciało, ale zagryzam zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Christine widzi, że cierpię, i krzywi się.

– Teraz spokojnie – wydaje instrukcje Malcolm, gdy rzeka zamyka się wokół maski. – Powoli.

– Joe – odzywa się Christine, w miarę jak wjeżdżamy coraz głębiej. – Woda przelewa się przez drzwi.

– To nic – uspokaja ją Malcolm. – Trochę przemoczymy nogi, zanim...

Nagle silne szarpnięcie obraca samochód w lewo, jakbyśmy mieli popłynąć z prądem, a nie dostać się na drugi brzeg.

– Zniesie nas do morza! – krzyczy Christine.

– Spokojnie – rzuca Joe. – Jeśli trochę przyspieszę, będziemy...

– Zawróć!

– Zaufaj mi, Christine. Dam radę.

– Jeżeli będziemy musieli wysiąść i płynąć, Anna się utopi.

– Umiem pływać! – wołam. – Jedź dalej. Nic nam nie będzie.

Joe spogląda na mnie w lusterku wstecznym, ale nie potrafię wyczytać niczego z jego oczu.

– Łatwiej nam będzie jechać dalej niż zawrócić – wtrąca Malcolm, wierząc się na siedzeniu.

– Nie wiesz tego – warczy na niego Christine. – Zawróć, Joe. Chyba że chcesz mieć na sumieniu życie trzech osób.

Joe patrzy na mnie w milczeniu, zmuszając mnie, żebym odwróciła wzrok.

– Dobrze – mruczy po chwili. – W porządku.

Koła ślizgają się, kiedy Joe zmienia bieg, i przez kilka upiornych sekund jestem pewna, że utknęliśmy. W końcu jednak czujemy szarpnięcie i samochód powoli zaczyna cofać w stronę brzegu.

•••

Wracamy w milczeniu, ale na widok hotelu czuję pod powiekami palące łzy i coś ściska mnie w gardle. Myślałam, że w końcu stąd ucieknę, a tymczasem koszmar powrócił.

– Przykro mi, Anno. – Christine patrzy na mnie przeprasząco. – Wiem, że jesteś rozczarowana. Wszyscy jesteśmy. Proszę, nie złość się na mnie. To było zbyt niebezpieczne i nie mogłam pozwolić, żeby ryzykowali nasze życie.

Malcolm rozpina pas.

– Jestem za tym, żebyśmy spróbowali znowu, Joe. Zostawmy Christine i Annę w hotelu i wróćmy tam.

– Nie. – Joe kręci głową. – Nawet jeśli przejedziemy przez rzekę, nie sędzę, żebyśmy dotarli do wsi. Kończy nam się paliwo. Może go zabraknąć, nawet jeśli wybierzemy najkrótszą drogę i nie będziemy zarzynać silnika, próbując przepłynąć się przez rzekę.

Malcolm odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Wiesz może, czy David trzymał gdzieś kanistry z paliwem?

– Nie sędzę.

– Mogę się rozejrzeć?

– Oczywiście.

– Zabierzmy cię do hotelu, Anno. – Christine pochyla się w moją stronę, żeby rozpiąć mi pasy. – Może Melanie będzie umiała nastawić ci ramię. Przygotuj się. Słyszałam, że to boli.

•••

Melanie wysuwa sąsiednie krzesło, siada przy stole i zakłada nogę na nogę. Ma na stopach bardzo różowe i bardzo mięciutkie skarpety, które nijak nie pasują do tej rozsądnej, rzeczowej kobiety.

– Prezent od Mikołaja – mówi, widząc, że się im przyglądam. – Zwykle takich nie kupuję, ale, o dziwo, są wyjątkowo wygodne. Nieważne. – Patrzy na mnie. Za szklami okularów jej oczy wydają się niezwykle jasne. – Jak się czujesz, Anno? Wyglądasz... Boże drogi, skarbie, płakałaś?

– Ja... – zaczynam, ale coś ściska mnie w gardle i muszę odkaszlnąć, żeby odzyskać głos. – Po prostu... Naprawdę myślałam, że nam się uda.

– Wiem. Malcolm mi mówił. – Kładzie mi dłoń na rękę. – No i boli cię, prawda?

Kiwam głową i zaciskam usta, żeby się nie rozpłakać.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Wiem, mówiłam, że dawno tego nie robiłam – wskazuje głową moje ramię – ale pamiętam. A poza tym, jak się czujesz? Słyszałam, jak późną nocą chodziłaś po hotelu.

– Hm... kiepsko znoszę śmierć Davida. Nie mogę spać.

– Tak – kiwa głową – to zrozumiałe. Ale chyba już wcześniej miałaś problemy ze snem, zanim uderzył sztorm. Czym się martwisz, Anno?

Odchylam się na krześle zdumiona jej spostrzegawczością i zła na siebie, że moje zdenerwowanie jest widoczne jak na dłoni. David wspomniał, że przed czymś uciekam. A może zbyt dosłownie odebrałam jego komentarz o tym, dlaczego ludzie przeprowadzają się na Rum.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta Melanie. – O tym, co nie pozwala ci spać? Malcolm pewnie by się z tym nie zgodził, ale jestem naprawdę dobrą słuchaczką.

Patrzę na jej łagodną, spokojną twarz, na oczy pełne troski, i nagle ogarnia mnie tęsknota za domem. Minęło pięć dni, odkąd ostatni raz rozmawiałam z rodzicami. Pewnie próbowali się do mnie dodzwonić dziesiątki razy i za każdym razem włączała się poczta głosowa. Na pewno się martwią.

– Dobrze jest sobie popłakać – mówi Melanie, widząc samotną łzę, która spływa mi po policzku. – Wiele przeszłaś. – Muska moją dłoń.

– Melanie, mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście. – Przechyliła głowę i delikatnie ściska moją dłoń. – O co tylko chcesz.

– Ja... – Słowa wysychają mi na języku. Nie wiem, o co zapytać. Czy myślisz, że Joe byłby zdolny do morderstwa? Albo Fiona? Albo Christine? A może twój

mąż? Czy któreś z was zna Steve'a Lainga? Czy ostatnio straciłaś kogoś w wypadku samochodowym? Czy prześladujesz mnie i zostawiasz mi chore wiadomości? Czy ubiegłej nocy próbowałaś mnie zabić? Nawet jeśli to ona, nie podniesie przecież rąk i nie powie: „Masz mnie, dobra robota”. To nie kolejny odcinek *Columbo*.

– Pewnie nie wiesz, czy... – Wysuwam rękę spod jej dłoni. – ...czy któryś z gości stracił ostatnio kogoś bliskiego?

Melanie unosi gęste brwi.

– Nie jestem wścibska – dodaję pospiesznie. – Ale zdaję sobie sprawę, że śmierć Davida bardzo nas wszystkich dotknęła i... wolałabym wiedzieć, jeśli...

– Joe.

Mam wrażenie, że czas stanął w miejscu.

– Stracił brata – dodaje Melanie. – To wszystko, co wiem.

Patrzy na mnie, czekając, aż coś powiem, a zaraz potem wstaje i poklepuje dłońmi blat stołu.

– Siadaj. Nastawimy ci ramię.

•••

To Joe.

To musi być on.

Jest bratem Freddy'ego, którego przysłał tu Steve. Pewnie nawet nie ma na imię Joe. Ścisza mnie w żołądku, kiedy przypominam sobie tamtą chwilę w jego pokoju, gdy myślałam, że mnie pocałuje. Flirt i życzliwość były tylko farsą, przykrywką. Czeką na właściwy moment, na okazję, żeby się zemścić. I ubiegłej nocy prawie mu się udało.

– Nie wiem, która z nas bardziej się denerwuje – mówi Melanie, pomagając mi położyć się na stole. – Wybacz, nie ułatwiam sprawy, prawda?

Zaciskam zęby, kiedy zdejmuje temblak, i krzyczę z bólu, gdy bierze mnie za rękę i odsuwa ją od ciała.

– Przepraszam, przepraszam. – Wierzchem dłoni ociera pot znad górnej wargi. – Wiem, że to boli, i niestety, będzie jeszcze gorzej, ale postaram się

zrobić to jak najszybciej. No... dobrze... – Urywa i zerka w stronę kuchni. – Może przynieść ci drewnianą łyżkę, żebyś mogła zacisnąć na niej zęby?

Staram się zapanować nad ogarniającą mnie paniką. Jak sama przyznaje, od lat nie nastawiała zwichniętego ramienia. A jeśli coś pójdzie źle? Nie możemy nawet wezwać pomocy. Nie może jednak zostawić mnie w takim stanie.

– Tylko zrób to szybko, Mel – mówię błagalnym tonem. – Proszę.

– Musisz być dzielna. Gotowa? – Bierze mnie za łokieć, przesuwa moją rękę, tak że znajduje się pod kątem prostym do ciała, i mam wrażenie, że napiera biodrem na stół. – Trzy... dwa...

Zaciskam powieki i szykuję się na ból.

– Jeden!

– KUUUURWAAA!

Najbardziej przeszywający ból, jaki czułam w całym swoim życiu, promieniuje z ramienia do piersi i wraca aż do czubków palców. Zaraz potem słyszę paskudny chrzest i szarpnięcie, które wstrząsa całym moim ciałem. Ramię pulsuje i mam wrażenie, że pali żywym ogniem. Tymczasem Melanie opuszcza moją rękę i zwalnia uchwyt na łokciu. Dyszę gwałtownie, a gdy ból powoli zaczyna mijać, otwieram oczy i oddycham z ulgą.

– Nic ci nie jest? – Melanie pochyla się w moją stronę. – Boże, ale zbladłaś.

Kiwam głową. Boję się odezwać, bo mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

– Chyba... chyba wszystko w porządku. – Delikatnie wodzi palcami po moim ramieniu i ręce. – Tak – wzdycha – wróciło na miejsce.

Patrzę na pobielony wapnem sufit jadalni i ostrożnie poruszam palcami i kręcę nadgarstkiem.

– Ostrożnie. – Kiedy próbuję usiąść, Melanie kładzie dłoń na moich plecach.

– Mimo wszystko będziesz musiała mieć rękę na temblaku, żeby jej nie nadwyrężyć.

– Dziękuję – szepczę, kiedy sięga po obrus i wkłada mi rękę w prowizoryczny temblak. – Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

– Słyszysz? – Melanie zamiera.

Dopiero po chwili do moich uszu dociera niskie, miarowe stukanie dobiegające od strony kuchni. Patrzymy na siebie.

– Trevor – mówimy jednocześnie.

Rozdział 38

Alex

Alex Carter zrzuca buty, wchodzi do kuchni, otwiera lodówkę i wyciąga butelkę ginu. To rutyna, która w ciągu ostatnich kilku tygodni weszła mu w nawyk do tego stopnia, że odruchowo wyjmuje lód z zamrażarki, kroi cytrynę i robi sobie drinka. Wie, że leczenie się alkoholem jest niemądre, ale dzięki temu może zapomnieć o stresie i nie ukrywa, że na to właśnie czeka podczas czterdziestopięciominutowej jazdy zatłoczoną duszną linią Northern Line do domu.

Jednym haustem opróżnia połowę szklanki, dolewa ginu, sięga po paczkę chipsów Doritos i idzie do salonu. Stawia drinka i chipsy na stoliku i siada na kanapie. Przeciąga się z jękiem i zakłada ręce za głowę. Kiedy Anna wyprowadziła się ponad miesiąc temu, czuł się dziwnie pogodny i lekki, jakby ktoś podniósł kotwicę, która od dawna ściągała go w dół. Czuł się lżejszy, szczęśliwszy, a po przebudzeniu nie miał wrażenia, że w jego głowie zagnieździła się czarna burzowa chmura. Na pierwszej randce z Beccą czuł się jak ktoś zupełnie inny. Był atrakcyjnym, inteligentnym gościem, który, jeśli się postarał, nadal potrafił być zabawny. Wciąż jednak nie mógł pozbyć się niepokoju, który dopadał go za każdym razem, gdy zostawał sam. Próbował rzucić to na karb poczucia winy. Z Beccą nie układało mu się najlepiej, zaczął więc zastanawiać się nad tym, jak traktował Annę. Ale nie chodziło tylko o poczucie winy. Było coś jeszcze, choć nie bardzo wiedział co.

Włącza telewizor z nadzieją, że bełkot w tle odwróci jego uwagę i pomoże zagłuszyć myśli, lecz kiedy na ekranie pojawia się prezenterka, kładzie kciuk na przycisku pilota, gotowy zmienić kanał. Chwilę później zamiera, gdy twarz prezenterki zostaje zastąpiona materiałem filmowym. Mężczyzna, który

wchodzi na komisariat w asyście dwóch policjantów, wygląda dziwnie znajomo. Alex pogłównia dźwięk.

Dziś wczesnym przedpołudniem – mówi lektor – aresztowano kobietę i dwóch mężczyzn podejrzanych o usiłowanie zabójstwa. Ofiara, czterdziestosiedmioletnia Donna Farrell, odbywała w HM Prison New Hall w Wakefield karę dwóch lat pozbawienia wolności za spowodowanie śmierci dwóch osób. Prowadząc ciężarówkę, zasnęła za kierownicą i uderzyła w samochód osobowy, którym cztery osoby wracały do Londynu po weekendzie integracyjnym w Brecon Beacons. Donna Farrell została zaatakowana w swojej celi przez inną osadzoną, Danielle Miller, i w stanie krytycznym przebywa w szpitalu Pinderfields. Istnieje podejrzenie, że jeden z oskarżonych, pięćdziesięcioletni Steve Laing, ojciec Freddy'ego Lainga, który zginął w wypadku na autostradzie M25, zlecił zorganizowanie zabójstwa czterdziestodwuletniemu Jimowi Thompsonowi. W oświadczeniu, które Laing wydał na schodach Sądu Koronnego Londynu Wewnętrzznego po ogłoszeniu wyroku w sprawie Farrrell, mówił: „Chciałbym móc powiedzieć, że dziś sprawiedliwości stało się zadość, ale ten wyrok to kpina ze śmierci mojego syna i jego kolegi, który zginął razem z nim. Farrell najprawdopodobniej zostanie zwolniona warunkowo po roku i będzie żyła, jakby nic się nie stało, podczas gdy życie mojego syna zostało brutalnie przerwane w wyniku błędu popełnionego właśnie przez Donnę Farrell”.

Alex wciska pauzę i spogląda w ciemne, pełne złości oczy człowieka, którego twarz zastygła na ekranie. Pamięta go z procesu, w którym zeznawała Anna. Steve Laing siedział przygarbiony kilka miejsc dalej wśród publiczności i przez cały czas wiercił wzrokiem Donnę Farrell, która na ławie oskarżonych nerwowo wyłamywała palce. A teraz próbował ją zabić. Chryste! Alex myśli o Annie, wyciąga telefon z tylnej kieszeni spodni i szuka jej numeru. Czy w ogóle o tym słyszała? Tak bardzo przejmowała się tym, że będzie musiała zeznawać. Bała się, że adwokat obrony będzie próbował zrzucić całą winę na nią. Po wyjściu ze szpitala prawie nie spała. Gdy tylko zamykała oczy, słyszała krzyki swoich kolegów, kiedy samochód, dachując, wypadł z drogi. Gdy już udawało jej się zasnąć, miała koszmary, po których budziła się z krzykiem. To było straszne – patrzeć, jak się rozpada, jak bezustannie wini się za to, co się

wydarzyło, podczas gdy tak naprawdę sama była ofiarą. Zawsze była silna i Alex nie poznawał tej znerwicowanej paranoiczki, w którą się zmieniła. Była przekonana, że ktoś czyha na jej życie. Chętnie udusiłby tego, kto próbował ją przestraszyć tymi kretyńskimi liścikami o śnie, ale trudno było ją wspierać, zwłaszcza że sam czuł się winny z powodu tego, jak zachowywał się przed wypadkiem.

Zarejestrował się na Tinderze z ciekawości, nie dlatego, że chciał ją zdradzić. Tyle słyszał o tej aplikacji, że chciał się przekonać, o co tyle szumu. Nie spodziewał się, że ktoś do niego napisze, i pierwsze kilka wiadomości pozostawił bez odpowiedzi. Ale później ktoś napisał coś, co go rozbawiło, i poczuł, że musi odpisać. To tylko żarty, myślał, nic poważnego. Nie robił nic złego, bo nie miał zamiaru spotykać się z tą kobietą. No i nie zdradzał Anny, skoro nie sypiał z tamtą ani nic do niej nie czuł. To była niewinna zabawa, odskocznia od całego tego syfu. Lubił gościa, którym stawał się na Tinderze – dowcipniejszą, bardziej błyskotliwą wersją samego siebie – i cieszył się jak głupek za każdym razem, gdy udało mu się rozbawić tamtą kobietę. Miał jednak wyrzuty sumienia, kiedy Anna wracała z pracy, mówiąc, jak bardzo jest zmęczona, i szła do kuchni robić kolację. Czuł się wtedy jak kompletny gnojek, jak żałosna namiastka człowieka. Wiedział, że powinien zakończyć związek z Anną, żeby ona również mogła poszukać kogoś innego. Był nawet gotowy porozmawiać z nią, kiedy wróci z Brecon Beacons. Tyle że w tamtą niedzielę Anna nie wróciła do domu przytłoczona walizkami i stresem. Nie wróciła i w głębi duszy Alex miał nadzieję, że może postanowiła go zostawić. Ale jej ojczym zadzwonił ze szpitala i powiedział mu, co się stało.

Alex odkłada telefon na stolik i sięga po drinka. Nie ma prawa dzwonić do Anny i opowiadać jej o tym, co zobaczył w telewizji. Możliwe, że sama już widziała, a jeśli nie... upija łyk... ktoś inny na pewno jej o tym powie. W ostatnim SMS-sie dała mu jasno do zrozumienia, że wolałaby, żeby się z nią nie kontaktował, i Alex to rozumie. Anna zasługuje na to, żeby zapomnieć o wszystkim i poukładać sobie życie.

Upija kolejny łyk i odstawia szklanekę na stolik. W tej samej chwili jego telefon zaczyna wibrować. Zaskoczony Alex wzdyga się i sięga po komórkę.

To na pewno nie Anna. Byłby to dziwny zbieg okoliczności. Ale to nie jego była dziewczyna pisze do niego na WhatsAppie, lecz Becca.

Przepraszam, jeśli ostatnio byłam dla ciebie trochę niedobra. W szpitalu nadal trwa śledztwo. Wczoraj dowiedziałam się, że chodzi o podejrzenie wysoką liczbę zgonów, i wszyscy tu odchodzimy od zmysłów. Jest coś, co muszę ci powiedzieć, ale wolałabym to zrobić osobiście. Kiedy możemy się spotkać?

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Elizabeth Harding 1946–2016

*Widząc, że wzgórze zbyt wysokie jest,
A droga pełna wyboju,
Znużone jej oczy zamknął Bóg i szepnął:
„Spoczywaj w pokoju”.*

Moja mama była najlepsza, kiedy spała. Jej skóra, zwykle ściągnięta między brwiami, wygładzała się, a zaciśnięte usta rozluźniały się i rozchylały. Zasypiając, wydobywała z siebie pełne zadowolenia cichutkie „Och”, a jej długie rzęsy trzepotały przez chwilę, by w końcu znieruchomieć. Gdy spała, jej dłoń była w mojej dłoni, bo zwykle mi tego zabraniała, a moje palce odgarniały jej włosy z czoła.

W dzieciństwie do głowy mi nie przyszło, że posiadanie matki tak sztywnej emocjonalnie i fizycznie to coś dziwnego. Była tak nerwowa, że przypominała napiętą do granic możliwości strunę albo sprężynę, która lada moment pęknie. Rzadko wychodziła z domu, ale jeśli już musiała – żeby zrobić zakupy albo pójść do dentysty – prowadziła uprzejme rozmowy, a kąciki jej czerwonych ust od czasu do czasu unosiły się w uśmiechu. Zwracała się do mnie krótkimi tnącymi jak brzytwa zdaniem. „Zostaw mnie”. „Idź się pobawić”. „Nie teraz”. „Jestem zajęta”. Zawsze była zajęta – zamiataniem i pastowaniem, wycieraniem i sprzątaniami. „Na wypadek gdyby przyszli goście”, tłumaczyła ojcu, kiedy mówił, żeby dała sobie spokój z odkurzaniem. Goście? Oprócz naszej trójki nikt nigdy nie wchodził do domu.

Nastroje mamy były nie do przewidzenia. Czasami przypaliła obiad i wybuchała płaczem. Innym razem wściekała się na ojca, krzycząc, że jej nie rozumie, że o nią nie dba i nie ma pojęcia, jak ona bardzo cierpi. Wypowiadając słowo „cierpię”, patrzyła na mnie wymownie, a zaraz potem znowu zaczynała psioczyć. A kiedy nie psioczyła, leżała na kanapie i gapiała się w sufit. Nie pamiętam, żeby smuciło mnie jej zachowanie. Bardziej chyba denerwowało i niepokoiło.

Gdy zaczęła się szkoła, mama była zmuszona wychodzić z domu i mnie odprowadzać. Cieszyła mnie bliskość potencjalnych towarzyszy zabawy, ale dziwiły mnie ich relacje z matkami. Zdumiewało mnie to, jak kobiety różnych kształtów i rozmiarów obejmują swoje dzieci, tulą je do piersi i odciskają wilgotne pocałunki na ich policzkach. Zastanawiało mnie, czy moja mama robi to samo, ale kiedy zadzwonił dzwonek, skinęła tylko głową i syknęła: „Uciekaj już”. Niektóre dzieci płakały, gdy kazano nam ustawić się gęsiego przed wejściem do szkoły. Trzymały się swoich matek i szlochając, prosiły, żeby zabrały je z powrotem do domu. Ale nie ja. Moje oczy były suche.

Rozdział 39

Anna

– Trevor? – Lewa strona ciała pulsuje mi bólem, kiedy kucam pod drzwiami do pomieszczenia gospodarczego i podnoszę klapkę dla kota. Obok mnie stoi zdyszana Melanie, która trzyma nad naszymi głowami brezentową płachtę.

– Powinnaś odpoczywać, Anno – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Mogłaś uszkodzić sobie ramię. Uważaj.

– Trevor – powtarzam.

Zaciśnięte pięści trzyma przed sobą jak bokser i raz za razem kopie drzwi prowadzące do kuchni.

– Nie otworzysz ich – tłumaczę mu. – Są zaryglowane z drugiej strony. Uspokój się, proszę. Zrobisz sobie krzywdę.

Ale on mnie nie słucha i nie przestaje kopać. Oddycha ciężko, koszulkę na plecach ma mokrą od potu. Jego polar leży ciśnięty w kącie pomieszczenia razem z pomiętymi kocami, wśród których walają się okulary, kilka butelek po wodzie i opakowania po jedzeniu.

Patrzę na Melanie.

– Potrzebuje więcej wody i jedzenia.

– Idź – mówi. – Ja go zagadam.

– Nie, ja to zrobię. Myślę, że mi ufa.

Trevor wydaje niski pomruk i nie przestaje kopać drzwi, podczas gdy Melanie w pośpiechu idzie do środka, trzymając nad głową brezentową płachtę.

– Tu Anna! Chcę ci pomóc. Melanie poszła do...

Trevor uspokaja się i staje bez ruchu. Ręce ma opuszczone, pięści zaciśnięte, a ciało napięte. Słucha mnie. Chce wiedzieć, co mam do

powiedzenia.

– Poszła przynieść ci wodę i coś do jedzenia. Próbujemy cię stąd wyciągnąć, naprawdę. Próbowaliśmy przejechać przez rzekę, ale woda mało nas nie porwała. W każdej chwili możemy odzyskać zasięg. Chcę, żebyś wytrzymał jeszcze trochę. Potem wrócisz do domu. Wszyscy chcemy zobaczyć nasze rodziny.

Wiatr nawiewa mi włosy na twarz, wpychając je do nosa, ust i oczu. Kiedy je odgarniam, Trevor osuwa się na kolana.

– Porozmawiaj ze mną – proszę. – Powiedz, jak mogę ci pomóc.

Znowu wydaje ten niski, gardłowy pomruk, a gdy powoli odwraca się w moją stronę, oddech więźnie mi w gardle.

Jego twarz jest niemal nie do poznania. Usta ma opuchnięte i zakrwawione, policzek rozcięty, a oczy przypominają wąskie szczeliny w posiniaczonej, obrzmiałej twarzy.

Ktoś go pobił.

• • •

– Sprowadzę pomoc, Trevor. Zaraz wrócę.

Coś ściska mnie w żołądku i czując w ustach smak żółci, biegnę w deszczu do drzwi frontowych. To moja wina. Nie powinnam była się zgadzać, żeby go tam zamykać.

Melanie jest w kuchni i napełnia pod kranem plastikową butelkę. Wzdryga się, kiedy wpadam do środka.

– Do salonu. Natychmiast – rzucam. – Ktoś pobił Trevora.

Gapi się na mnie, podczas gdy butelka przelewa się i woda ścieka jej na rękę. Nie czekając na jej odpowiedź, wbiegam po schodach i walę kolejno do drzwi.

– Na dół! Natychmiast! Pilne zebranie!

Podczas gdy wszyscy powoli gromadzą się w salonie, ja krążę przed kominkiem, podtrzymując ręką obolałe ramię. Moje myśli przeskakują od zakrwawionej twarzy Trevora do poluzowanej klepki na szczycie schodów i od bezwładnego ciała Davida do Joego, który ściska kierownicę land rovera

pokiereszowanymi rękami. Chwilę później zatrzymuję się i patrzę na niego. Siedzi przy oknie, pochylony do przodu, z łokciami na stole i czołem opartym na dłoniach. To on musiał pobić Trevora. Ale dlaczego? Może myślał, że ten ostrzeże mnie przed nim? Tylko skąd Trevor miałby wiedzieć?

– O co chodzi? – pyta Malcolm. Stoi w drzwiach, w białym szlafroku kąpielowym, z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Właśnie się kąpałem.

Melanie, która siedzi na kanapie obok Christine i Fiony, przewraca oczami i wzdycha. Katie, przeglądająca biblioteczkę w drugim końcu salonu, nawet na niego nie patrzy.

– Ktoś pobił Trevora – odpowiadam. – Ja i Melanie poszliśmy do niego, bo usłyszałyśmy, że kopie w drzwi kuchni, i... – Kręcę głową. – Jego twarz wygląda koszmarnie.

– Jezu Chryste! – Fiona zakrywa dłonią usta.

Joe podnosi głowę.

– Jesteś pewna? – pyta Melanie. – Może sam to sobie zrobił? To znaczy... mogło przecież tak być, prawda? – Zerka na Malcolma, którego wyraz twarzy i postawa ani trochę się nie zmieniły.

– Byłabym szczerze zdumiona, gdyby tak się stało – mówię. – Ma podbite oczy i fatalnie rozbitą wargę.

– Drogi Boże. – Christine zaciska usta w wąską kreskę i kręci głową.

– Melanie zaglądała do niego ostatnia – odzywa się Fiona, bardziej do siebie niż do nas. – Rano, po tym, jak znieśliśmy Annę na dół.

Melanie wygląda na urażoną.

– Tak. Zniosłam mu jedzenie i picie i zapytałam, jak się czuje, ale nie odpowiedział. Mruknął coś tylko.

– Nie widziałaś jego twarzy?

– Leżał w kącie, skulony pod kocem. Był odwrócony do mnie plecami.

– I nie poprosiłaś go, żeby się odwrócił? – pyta oskarżycielsko Fiona.

– O co chodzi? Czemu wszyscy patrzycie na mnie, jakbym miała z tym coś wspólnego?

– Wcale nie – rzucam. – Po prostu próbujemy ustalić, kiedy to się stało.

– Kogo to obchodzi? – Joe wstaje od stołu i rozgląda się. – Przede wszystkim powinniśmy go opatrzeć.

Przenoszę wzrok z jego twarzy na poranione kłykcie jego prawej ręki. To przerażające, z jaką łatwością udaje zatroskanego.

– Jest w kiepskim stanie – mówię chłodno. – Christine, myślisz, że mogłabyś go obejrzeć?

– Ja? – pyta, dotykając obojczyka. – Mam tam wejść?

– Tak. On...

– Przed chwilą mówiłaś, że kopał w drzwi.

– No... tak, ale nic ci nie robi.

– Skąd wiesz? – Malcolm wskazuje na żonę. – Bez żadnych skrupułów przewrócił Melanie.

– Nie zrobił tego umyślnie. – Fiona przewraca oczami.

Malcolm podchodzi bliżej. Teraz wszyscy stoją w ciasnym półkolu naprzeciw kominka. I mnie.

– Nie? – pyta. – Cóż, z całą pewnością umyślnie uderzył Joego.

– To nie znaczy, że skrzywdziłby kobietę – wtrącam.

– Zgłosiłabym się na ochotnika – mówi Fiona. – Ale nie wiem, co miałabym zrobić.

– Nie jestem chirurgiem. – Christine unosi brwi. – Każdy może przemyć ranę wodą utlenioną. Poza tym on może być uzbrojony.

– Uzbrojony? – odzywam się głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Nagle przypominam sobie brakujący nóż w plecaku Trevora i dodaję pośpiesznie: – Nie sądzicie, że gdyby miał broń, użyłby jej przeciwko temu, kto go zaatakował? Na litość boską. Tu nie chodzi o to, czy jest uzbrojony, czy nie, ale o to... – mówiąc to, patrzę na Joego – ...kto z nas wszedł do pomieszczenia gospodarczego i zrobił z twarzy Trevora krwawą miazgę.

Kolejny raz zapada cisza. Wszyscy patrzą na mnie, na ich twarzach maluje się szok. Wszyscy, oprócz Malcolma, który rozgląda się po salonie.

– Ktoś widział, jak Katie wychodzi? – Idzie do drzwi i wygląda na korytarz. – Katie?! – woła. – Gdzie jesteś?!

• • •

W milczeniu patrzymy, jak Malcolm wychodzi do holu.

– Aha! Tutaj jest!

Stojąca w drugim końcu pokoju Melanie pochwyca moje spojrzenie i uśmiecha się cierpko. Joe wraca na miejsce przy oknie i wzdychając, patrzy na deszcz.

– Gdzie byłeś? – Głos Malcolma dudni w salonie. – Poszłeś po jakąś przekąskę?

– Nie – rzuca głośno Katie. – I mam gdzieś, co powiesz, więc daruj sobie.

– Co powiem o czym? – pyta po chwili Malcolm.

– O tym, że wypuściłam Trevora.

Rozdział 40

Zgromadziliśmy się w holu i patrzymy na drobną sylwetkę stojącą w drzwiach do jadalni.

Melanie kuca, tak że twarz ma na wysokości twarzy dziewczyny.

– Wypuściłaś Trevora z pomieszczenia gospodarczego?

– Tak. – Katie wzrusza ramionami. – Było mi go szkoda. To nie jego wina, że jest chory. Ktoś zabrał mu lekarstwo.

– Skąd o tym wiesz? – pytam zaskoczona.

– Wiem o różnych rzeczach. – Katie lekceważąco odrzuca głowę do tyłu. – Wiem, że był żołnierzem i walczył w Iraku. Wiem, że widział, jak zginęli jego przyjaciele. Wiem, że próbował ich uratować i że umarli mu na rękach.

– Skąd to wszystko wiesz? – Melanie kładzie ręce na jej ramionach. – Kiedy ci to powiedział?

– Kiedy był w moim pokoju. Usłyszał, jak płaczę, i zapukał do drzwi. Powiedziałam mu, że jest mi smutno, bo mama nie może chodzić, a on odparł, że miał w wojsku przyjaciół, którzy stracili władzę w nogach.

– Czemu nie przyszłaś z tym do mnie?

– Bo byłaś zbyt zajęta krzyczeniem na niego, żeby się wynosił.

Melanie robi gwałtowny wdech, a ja przenoszę wzrok z Fiony na Christine.

– Czy któraś z was wiedziała o tym? O przeszłości Trevora?

Obie kręcą głowami.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się go baliście – ciągnie Katie. – On wcale nie jest zły. Tylko zagubiony. Czasami nie wie, czy to, co widzi, jest prawdziwe.

– Zespół stresu pourazowego – mruczę pod nosem. – Mówił, czy był u lekarza, Katie?

- Za bardzo się bał, więc jakiś kolega dał mu tabletki. Podobno pomagały mu się uspokoić. – Wzrusza ramionami. – Do czasu, aż pani mu je ukradła.
 - Niczego nie ukradłam, Katie. Mówiłam już Trevorowi.
 - Chryste – rzuca Joe od strony drzwi wejściowych. Podskakuję na dźwięk jego głosu. Nie zauważyłam, jak wyszedł z salonu. – Co za bajzel!
 - Musimy znaleźć Trevora – mówię. – Kiedy go wypuściłaś, Katie?
 - Jak kłóciliście się o to, kto go pobił. Odryglowałam drzwi.
 - I co się stało?
 - Nic. Pobiegł na górę po plecak i wyszedł.
 - Powiedział, dokąd idzie? – pyta Melanie.
- Katie kręci głową.
- Tylko mi podziękował.
 - Musimy go znaleźć – decyduję. – Szybko.

• • •

Rozchodzimy się w różnych kierunkach. Malcolm upiera się, że pójdzie sam, więc kiedy Christine prowadzi Katie do kuchni, Joe i Melanie wychodzą razem. Ja zostaję w holu razem z Fioną. Nie patrzy na mnie, lecz na otwarte drzwi, ale w jej postawie wyczuwam nerwowość.

– Fiona... – Wkładając buty, patrzę na jej wyprostowane plecy. – Wiem, że jesteś na mnie zła o to głosowanie. Wierz mi, nie chciałam, żeby tak wyszło.

– To twój hotel.

– Podjęłam złą decyzję, przepraszam.

– Nie uważasz, że powinnaś przeprosić Trevora, a nie mnie?

Jej słowa bolą, znoszę je jednak w milczeniu. Ma rację. Joe nie miałby okazji pobić Trevora, gdybyśmy go nie zamknęli. Chcę się wytłumaczyć, opowiedzieć jej o tym, co wydarzyło się na M25, i wyjaśnić, że nie prosiłam się o taką odpowiedzialność. Przyjechałam na Rum, żeby uciec, a nie po to, by podejmować decyzje. Ale nie mogę o tym mówić. Nie ma wytłumaczenia dla podjętych przeze mnie decyzji. Pomyliłam się. Dwóch moich kolegów zginęło, bo nie zrobiłam tego, co do mnie należało, i jeśli nie znajdziemy Trevora, on także może umrzeć.

– Przepraszę Trevora – rzucam, zakładając kurtkę. – Mam tylko nadzieję, że go znajdziemy.

Fiona odwraca się i przez chwilę wierci mnie wzrokiem.

– Obie – mówi.

• • •

Idziemy w milczeniu w stronę klifów. Im bardziej oddalamy się od hotelu, tym silniejsze stają się podmuchy wiatru. Niemal nie sposób iść prosto. Muszę zacisnąć troczki przy kapturze i zgięta w pół, wlokę się noga za nogą. Pojedyncze mewy kołują na niebie, ale dziesiątki siedzą na skraju klifów z łebkami wciśniętymi pod targane wiatrem skrzydła. Horyzont zniknął; morze i niebo mają tę samą barwę i przypominają bezkresne szare płótno. Morze jest dziś wzburzone, głośnie i niespokojne. Wysokie, ciemne fale roztrzaskują się o skały, zalewając je białą pianą.

– Sprawdźmy tam. – Fiona pokazuje, żebyśmy szły w stronę chaty Gordona, pobielonego wapnem budynek obok mauzoleum.

Kiwam głową i zaczynamy powoli biec. Gdy docieramy do domu, jesteśmy przemoknięte do suchej nitki i dyszymy ciężko. Stajemy ramię w ramię na wąskim ganku, plecami do drzwi, i patrzymy ponad soczyście zieloną trawą na wznoszące się kilkaset metrów dalej mauzoleum.

– Przynajmniej mają tam ciepło i sucho – odzywa się Fiona.

– Bo nie żyją.

– To ich jedyny problem.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

– Mogę cię o coś spytać?

– Może.

– Czy Joe rozmawiał z tobą o swoim bracie? O tym, który zginął?

Wstrzymuję oddech, podczas gdy ona wpatruje się w mauzoleum. Spodziewam się, że zaprzeczy albo powie, że nie zna szczegółów. Tymczasem odwraca się do mnie twarzą.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta.

– Jak umarł?

Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, a ja staram się zapanować nad oddechem. Za chwilę powie mi, że zginął w wypadku samochodowym.

– Powiesił się. W więziennej celi.

Czuję, jak ulatuje ze mnie powietrze. Zginam się wpół i opieram ręce na udach. Fiona milczy, ale wiem, że mi się przygląda.

– Jesteś pewna? – Prostuję się. – Na sto procent?

– Tak mi powiedział.

Tak mi powiedział. Co wcale nie znaczy, że to prawda.

– Co jeszcze ci o nim powiedział?

Wzrusza ramionami.

– Że miał na imię Will i był dealerem. Najwyraźniej miał też problem z hazardem. Wszystko zaczęło się na uniwersytecie, kiedy kumple zorganizowali pokerową noc. Poszcęściło mu się i wygrał. Od tej pory grali regularnie, a jak kumple stracili zainteresowanie, zaczął chodzić do miejscowego kasyna. Gonił za szczęściem.

Kiwam głową, chociaż nie bardzo wiem, co ma na myśli. Tylko raz postawiłam na wyścigach konnych Grand National i po tym, jak dowiedziałam się, ile okaleczonych koni trzeba było zastrzelić, przysięgłam sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię.

– W każdym razie – ciągnie Fiona – wygląda na to, że Will ubzdurał sobie, że potrafi rozpracować system, i rzucił studia, żeby grać. Przez jakiś czas szło mu nawet nieźle, ale w końcu dobra passa się skończyła. Przegrał wszystkie pieniądze z kredytu studenckiego i maksymalnie przekroczył stan konta.

– I powiedział o tym wszystkim Joemu?

– Tak. Poprosił go, żeby pożyczył mu trochę pieniędzy, tylko że Joe był w trakcie zmiany pracy, a Will był zbyt dumny, żeby poprosić o pomoc rodziców. To wtedy zaczął sprzedawać narkotyki, żeby zarobić trochę kasy na boku. Tyle że zarabianie na handlu prochami było zdaniem Joego równie uzależniające jak hazard. Will zaczął od sprzedawania trawki kumplom, odkrył jednak, że zarobi więcej, handlując kokainą, pigułkami gwałtu i ketaminą, no i tak to się zaczęło. Kiedy policja zrobiła mu nalot na mieszkanie, znaleźli narkotyki warte tysiące funtów, heroinę, crack i Bóg jeden wie co jeszcze.

– Chryste.

Nie wiem, czy to z powodu szczegółów tej historii, czy jej wiarygodności, ale w nią wierzę.

– Uwierzyłaś mu? Joemu? Kiedy ci o tym opowiedział?

Fiona odgarnia włosy z twarzy i spogląda na mnie.

– A czemu miałabym nie wierzyć?

– Czasami ludzie nie są tymi, za których się podają.

– Co masz na myśli?

– Nic. – Patrzę ponad mauzoleum w stronę morza. Byłam przekonana, że to Joe jest moim prześladowcą, ale po tym, co usłyszałam od Fiony, zaczynam w to wątpić. Lecz jeśli nie on, to kto? Może nawet żaden z gości. Może to ktoś, kto obserwuje nas z ukrycia i zakrada się do hotelu, kiedy śpimy?

Wzdrygam się, gdy Fiona dotyka mojego ramienia.

– No i? – rzuca poirytowana. – Co teraz?

Pukam do drzwi.

– Przekonamy się, czy Trevor tu jest.

• • •

Fiona naciska klamkę.

– Zamknięte – mówi, kręcąc głową. – Nie ma go tu. Żeby dostać się do środka, musiałby wybić szybę, a nie ma śladów włamania. – Podchodzi do okna, przyciska nos do szyby i osłania twarz dłońmi. – Wygląda na to, że w środku nic się nie dzieje.

Zostawiam ją z twarzą przyklejoną do szyby, idę za róg i ją wołam.

– Spójrz – mówię, kiedy przybiega, i wskazuję małe okno. Ktoś wybił szybę z matowego szkła i okienko jest uchylone. – Ktoś tu był.

Fiona naciąga rękaw na dłoń, otwiera okno na całą szerokość i zagląda do środka.

– To toaleta, ale drzwi na korytarz są otwarte. – Podnosi nogę, jakby zamierzała wspiąć się po ścianie. – Wchodzę tam.

– Nie. – Robię krok do przodu. – Trevor mi ufa. Ja wejść.

– Jesteś pewna?

– Nic mi nie zrobi. Wie, że chcę mu pomóc.

Jej wzrok spoczywa na temblaku widocznym pod narzuconą na ramiona kurtką.

– A co z twoją ręką?

– Nic mi się nie stanie. Zresztą będziesz na zewnątrz. Zawołam, gdybym potrzebowała pomocy.

Rozdział 41

Mohammed

Kiedy na salę wchodzi rodzice, pełni optymizmu, z przyklejonymi do twarzy radosnymi uśmiechami, Mohammed odwraca głowę i patrzy w drugą stronę.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Matka okrąża łóżko i siada na taborecie tuż przy jego głowie, zmuszając go, by na nią spojrział. Bierze go za rękę i delikatnie ściska. – Przepraszamy za spóźnienie. Straszne korki. Prawda, Ali?

Ojciec Mohammeda przytakuje.

– Koszmarne – mruczy. – Jak się czujesz, synu?

Mohammed nie odpowiada. Wie, co chcieliby usłyszeć – że czuje się nieźle i z nadzieją patrzy w przyszłość. Ale to nieprawda. Czuje się do dupy, nienawidzi ośrodka rehabilitacyjnego i przebywających w nim kalekich, złamanych ludzi. A przyszłość? Przyszłość jest jak wielka, czarna dziura. Nie może im tego powiedzieć. Rodzice wyglądają tak, jakby w ciągu ostatnich trzech miesięcy postarzeliby się o dziesięć lat.

– Lekarz mówił, kiedy będziemy mogli cię stąd zabrać? – pyta matka.

Mohammed wzdycha. To nie jej wina, że przy każdej wizycie zadaje to samo pytanie. On sam zadaje je niemal codziennie, a jedyne, czego się dowiedział od lekarza specjalisty, to tego, że rehabilitacja potrwa „kilka miesięcy”.

– Nie – odpowiada. – Jeszcze nie.

– Jak tam lewa noga? – dopytuje ojciec. – Ostatnim razem mówiłeś, że mogłeś napiąć mięśnie.

To wydarzenie jest jedyną iskierką nadziei w mrocznym świecie Mohammeda.

– Mogę napiąć mięśnie, ale nadal nie mogę ruszać nogami.

– Widziałeś wiadomości? – pyta matka, zerkając na zawieszony na przeciwległej ścianie telewizor.

Mohammed czuje ucisk w gardle i może wyłącznie skinąć głową. Zrobiło mu się niedobrze ze strachu, kiedy przeczytał wiadomości na pasku i zobaczył Steve'a Lainga prowadzonego na komisariat. Przez jedną koszmarną chwilę myślał, że to Anna została pchnięta nożem, i niemal odetchnął z ulgą, kiedy uświadomił sobie, że chodzi o Donnę Farrell. Patrząc w ekran, przypomniał sobie ojca Freddy'ego, jak siedział przy jego łóżku i rozprawiał o niesprawiedliwym wyroku i o tym, że gdyby Donna Farrell weszła do sklepu i zadźgała dwie osoby, dostałaby dożywocie, a nie marne dwa lata. Powiedział, że zaśnięcie za kółkiem to żadna linia obrony, bo ciężarówka naczepowa to taka sama broń jak nóż. Leżąc w szpitalnym łóżku i kiwając głową, Mohammed nie miał pojęcia, że Steve Laing nie próbuje pogodzić się z tym, co przydarzyło się jego synowi, lecz sam planuje zabójstwo.

Teraz Mohammed zamyka oczy i samotna łza spływa mu na skroń.

– Mo? – Matka mocniej ściska jego rękę. – Porozmawiaj ze mną, synku. Co cię martwi?

On jednak kręci głową. Nie chce rozmawiać, ale poczucie winy spala go od środka, zabijając człowieka, którym był kiedyś.

– Jestem taki jak Steve Laing – odzywa się głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

– Słucham?

– Pytała mnie... – Przełyka gulę, którą czuje w gardle. – Pytała, czy chciałbym zobaczyć Annę.

– Kto, skarbie? Kto cię pytał? – Słyszy pytanie matki, ale czuje, że musi mówić dalej. Jeśli nie powie tego teraz, będzie się tym zadręczał i czuł się jak najgorsza kanalia.

– Myślała, że będę chciał spotkać się z Anną, ale powiedziałem, że nie chcę jej oglądać. Że to wszystko jej wina i chciałbym, żeby... – Matka milczy, ale Mohammed słyszy, że wstrzymuje oddech i czeka na to, co zaraz usłyszy. – Chciałbym, żeby umarła.

Rozdział 42

Anna

W chatce jest ciemno i ciasno i kiedy włączam światło w kuchni, zwisająca z sufitu naga żarówka ledwie rozprasza mrok. Szafki kuchenne prawdopodobnie były kiedyś białe albo kremowe, ale pożółkły z czasem albo od dymu papierosowego i farba zaczęła się łuszczyć. Na środku pomieszczenia stoi stół, a na nim misa pomarszczonych jabłek, atlas ptaków Wysp Brytyjskich, notes i długopis, a także sterta listów. Sięgam po pierwszy lepszy. To zaadresowany do pana Gordona Brodiego list z Bank of Scotland z informacją o opłatach na indywidualnym koncie oszczędnościowym, na którym zgromadził 2367 funtów. Na ociekaczu przy zlewie stoją kubek, talerz i naczynia stołowe; w lodówce jest butelka przeterminowanego mleka, kostka masła, kawałek sera i kilka plastrów szynki wyschniętej i zwijającej się na rogach. I to wszystko. Mały pokój pozbawiony jest charakteru, nie ma w nim żadnych ozdóbek, zdjęć czy bibelotów. Jakby nikomu na nim nie zależało. Podchodzę do czajnika i dotykam jego pękatego brzucha. Jest zimny. Wydaje się, że wszystko jest tu na swoim miejscu, ale drzwi do jednej z szafek są otwarte. Kucam i zaglądam do środka: puszki fasoli w sosie pomidorowym, zup, curry z kurczaka, pomidorów. Ich wieczka są brudne i zakurzone. Z przodu widzę sześć odcisniętych w kurzu kółek – znak, że ktoś niedawno wyjął puszki.

– Trevor? – Otwieram ciężkie drewniane drzwi do pomieszczenia, które, jak zakładałam, jest salonem, i przez chwilę nasłuchuję. Pokój jest równie zaniedbany jak kuchnia. Telewizor przykrywa gruba warstwa kurzu, wysłużona zielona kanapa pamięta lepsze czasy, a dywan od jakiegoś czasu nie był odkurzany. Dotykam wlotu powietrza w telewizorze. Nie czuję ciepła. Jeśli Trevor rzeczywiście włamał się do chatki, nie zabawił w niej długo.

Wydaje się mało prawdopodobne, że od wyjazdu Gordona ktoś tu mieszka, co przeczy mojej teorii o tym, że osoba, która chce mnie zabić, może nie być gościem hotelowym. Nie wiem, czy powinnam poczuć ulgę, czy obawiać się jeszcze bardziej.

– Wszystko w porządku, Anno? – słyszę stłumiony głos Fiony.

– Tak! – Idę przez kuchnię do małej toalety.

– Znalazłaś coś? – Fiona opiera łokcie o białą ramę okienną. Wygląda, jakby za wszelką cenę chciała wejść do środka.

– Myślę, że Trevor mógł zabrać kilka puszek z jedzeniem, ale to chyba wszystko. Aha – wskazuję pusty wieszak na papier toaletowy – no i może papier. Pójdę i rozejrzę się na górze.

Na twarzy Fiony maluje się coś, czego nie potrafię nazwać, i chwilę później uśmiecha się cierpko.

– Powodzenia.

• • •

Niespiesznie wchodzę po skrzypiących drewnianych schodach i trzymając się poręczy, badam stopą każdy stopień. Schody są wyłożone wystrzępionym chodnikiem, który miejscami ucieka mi spod stóp, bo brakuje kilku przytrzymujących go prętów. Z małego korytarza na piętrze prowadzą drzwi do trzech pokoi. Pchnięciem otwieram pierwsze z nich. Za nimi mieści się mała łazienka ze spleśniałą zasłoną prysznicową i plamami z pasty do zębów na umywalce.

Trącam stopą kolejne drzwi, ale się nie otwierają.

– Trevor? – Naciskam klamkę, szykując się na najgorsze.

Widzę jednak tylko podwójne łóżko przykryte niebieską kołdrą, szafkę nocną ze stojącą na nim lampką, porzuconą szczotkę do włosów na starej dębowej komodzie i sosnową szafę. Już mam wychodzić, gdy słyszę dziwne skrobanie. Odwracam się i nasłuchuję; mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Dźwięk brzmiał, jakby dobiegał z drugiego końca pokoju, zza łóżka.

– Trevor? – Wchodzę głębiej do pokoju; wzrok mam utkwiony w przestrzeni między komodą a łóżkiem. Czy właśnie tam się ukrywa? Leży na podłodze twarzą w dół, tak bym go nie widziała? – To Anna, z hotelu. Katie powiedziała nam, przez co przeszedłeś – mówię i podchodzę bliżej, jednak na wytartym dywaniku po drugiej stronie łóżka nikogo nie ma. Nie wiem, co słyszałam, ale na pewno nie...

Piszczę, gdy coś małego, brązowego i futrzastego wybiega spod komody i chowa się pod łóżkiem. Było za duże na szczura. Z dudniącym sercem klękam i zaglądam pod łóżko, skąd patrzą na mnie przerażone zielone oczy.

– Już dobrze – mówię i wyciągam rękę do kota, który jeżąc sierść, przycupnął przy leżącej pod łóżkiem walizce. – Nic ci nie zrobię.

Lubię koty, lecz nie mam pojęcia, jak się nimi opiekować. Wiem jednak, że nie mogę go tu zostawić. Bóg jeden wie, od jak dawna nie jadł. W kuchni na dole nie widziałam żadnych misek z jedzeniem i piciem, a zdziwiłabym się, gdyby Gordon zostawił kota samego. Chyba że zamierzał wrócić szybciej, ale sztorm pokrzyżował mu plany.

– No chodź – grucham do kota, ale mój głos najwyraźniej wcale go nie uspokaja, bo zwierzę wciska się jeszcze głębiej pod łóżko. Z powodu obolałego ramienia nie mogę leżeć na brzuchu, więc obracam się na bok i zdrową ręką sięgam w stronę kota. W tej samej chwili słyszę skrzypienie schodów i ciężkie kroki za drzwiami sypialni. Próbuję wyczołgać się spod łóżka, lecz ktoś łapie mnie za łydkę.

– Anno? – słyszę głos Fiony i krzyk więźnie mi w gardle. – Chryste. Co się stało? Usłyszałam twój krzyk, a później zobaczyłam cię, jak leżysz na podłodze twarzą do dołu.

– Tam jest kot. – Dźwigam się na kolana i wstaję. – Pod łóżkiem. Myślę, że to może być kot Gordona. Musimy zabrać go do hotelu. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio jadł.

– Kot. – Fiona zaciska usta i oddycha ciężko przez nos. – Świetnie.

• • •

– Nie mogę uwierzyć, że nienawidzisz kotów – mówię, kiedy wychodzimy z domku i wracamy w stronę klifów.

Fiona próbuje zapanować nad wyrywającym się zwierzakiem.

– Nie nienawidzę. Po prostu im nie ufam. To przez to, jak cię obserwują. Nie potrafię przejść obok siedzącego na murku kota bez strachu, że zaraz na mnie skoczy.

– Poważnie?

– Nie... – Patrzy na mnie z ukosa. – Tak, tylko nie mów nikomu. Jeśli nie lubisz zwierząt, ludzie myślą, że coś jest z tobą... Auć! – Rozpina górę kurtki i gromi spojrzeniem wystający spod niej puchaty łebek. – Ten mały gnojek właśnie mnie ugryzł.

– Pewnie chciał mieć lepszy widok.

Fiona nie śmieje się jednak i przez kilka minut idziemy w milczeniu. Po tym, jak wyciągnęła kota spod łóżka, szybko rozejrzałam się po chatce w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się nam przydać. Miałam nadzieję, że znajdę telefon satelitarny albo komórkę z zasięgiem. Niestety, nie natknęłam się ani na jedno, ani na drugie, ale za drzwiami w kuchni znalazłam pustą miskę dla kota i puszki z kocią karmą na dnie szafki.

– Myślisz, że w domu był telefon satelitarny i Trevor wziął go ze sobą? – pyta teraz Fiona.

– Wątpię. W domu jest tyle kurzu, że zauważyłybyśmy, gdyby czegoś brakowało, i... – Zatrzymuję się i wyteżam wzrok. – Czy to nie Trevor? Tam, na skraju klifu? Czy on...?

Fiona również staje i osłania oczy ręką.

– Czy on... O Boże! – Konsternacja na jej twarzy zmienia się w przerażenie. – Chyba zamierza skoczyć.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Eileen Cutherbert

Żona, matka, siostra i przyjaciółka.

Wy, którzy macie matkę, traktujcie ją jak skarb, nigdy się bowiem nie przekonacie, jak bardzo ją kochacie, dopóki jej nie stracie.

Z wiekiem przybyło mi odwagi, by wymykać się z łóżka, siadać po turecku na szczycie schodów i chłonąć fragmenty rozmów rodziców, które docierały na górę zza otwartych drzwi salonu. Zwykle były one nieciekawe – ot, plotki na temat sąsiadów (moja mama miała zwyczaj obserwować okolicę przez szparę w zasłonach) albo opowieści o nieszczęściach i chorobach. Ale pewnej nocy, po jednym z gorszych dni mamy, do moich uszu dotarło coś naprawdę wielkiego. Rodzice rozmawiali o tym, dlaczego nie mam dziadków ani żadnego wujostwa ze strony matki. Rodzice ojca byli u nas dawno temu i prawie ich nie pamiętam. Ojciec mówił, że mieszkają gdzieś daleko i są zbyt starzy, żeby podróżować, a mama jest na to zbyt krucha. Właśnie to słowo, „krucha”, pasowało do niej jak ulał. Drugim było „neurotyczna”.

„Czuję dym! – zawołała podczas jednego z moich posiedzeń na szczycie schodów. – Geraldzie, czuję dym!”

Moim zdaniem w powietrzu czuć było tylko leciutki zapaszek potu spod moich pach.

Chwilę później dał się słyszeć dudniący głos ojca. Był moim bohaterem. Mój wysoki, silny ojciec w garniturze szytym na miarę i z dużą, czarną torbą. W torbie tej były cuda – płyny i mikstury, bloczki recept i długopisy. Pozwalał mi się bawić stetoskopem. Przykładał go do mojej piersi albo do swojej

i pozwalał mi zachwycać się rytmicznymi uderzeniami naszych serc. Ale najlepsze w nim było to, że jego powrót do domu oznaczał, że mama niebawem pójdzie spać. Nazywała je „specjalnymi pigułkami taty”. Mówiła, że dzięki nim zapomina o bólu i smutku. Myślę, że kiedy budziła się rano, ja i ojciec byliśmy rozczarowani.

„Dom się nie pali, Dorothy – powiedział tata głosem czystym i grzmiącym jak dźwięk dzwonu. – Nikt nie umrze”.

„Tęsknię za nimi – zawodziła moja matka. – Szkoda, że ja też nie zginęłam”.

„Proszę, Dorothy – uspokajał ją tata. – Ciszej. I nie możesz tak mówić”.

„Dlaczego? Dlaczego nie mogę wyrażać swoich uczuć? Nie mogę być cicho. Muszę...”

„Zaczynasz histeryzować”.

„Proszę – błagała matka. – Proszę, Geraldzie, pomóż mi. Nie mogę dłużej tak żyć”.

Ojciec milczał i zdawało mi się, że słyszę cichy szcęk otwieranej torby lekarskiej.

„Co to? – spytała matka. – Nie potrzebuję zastrzyku, Geraldzie. Potrzebuję pigułek”.

Nie odpowiedział.

Mama krzyczała, płakała i błagała.

W końcu ona też zamilkła.

Rozdział 43

Anna

Biegnę najszybciej, jak mogę. Buty ślizgają się w błocie, deszcz chłłoszcze mnie po twarzy, a ramię rwie przy każdym kroku, ale Fiona pierwsza dociera do człowieka na klifie. Zatrzymuje się nagle, jakieś dwadzieścia metrów od krawędzi. Przygarbiona, pochyla głowę, stawiając opór gwałtownym porywom wiatru. Za nią, machając nogami, nad krawędzią klifu siedzi Malcolm.

– Nie podchodźcie! – krzyczy. – Albo skoczę!

– Malcolm! – wołam. – Proszę, odejść od krawędzi. Skały są mokre i niebezpieczne.

– Nie obchodzi mnie to.

Fiona patrzy na mnie.

– Mam pójść po Melanie?

– Nie, jeszcze nie. Możesz być mi potrzebna.

Nie wiem wprowadzić do czego, ale patrząc na przygarbione ramiona Malcolma i to, jak kołysze się w przód i w tył, jestem niemal pewna, że nie powinniśmy wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

– Wiecie, prawda?! – woła do nas. – Widzę to po waszych twarzach.

Patrzę na niego w osłupieniu. Nie mam pojęcia, o czym mówi, lecz Fiona chyba wie.

– Pobieść Trevora! – krzyczy. – Tak?!

Kiedy Malcolm odwraca się, żeby na nas spojrzeć, traci równowagę i przewraca się na bok, tak że dolna połowa jego ciała zwisa nad krawędzią. Żeby nie spaść, przerażony chwyta się kępki wrzosu.

– Nie! – wrzeszczy, kiedy biegnę, żeby mu pomóc. Podciąga się i przez chwilę leży na plecach. Oczy ma zamknięte, mokrą od deszczu twarz kieruje

ku stalowoszaremu niebu i wybucha śmiechem jak szaleniec. – Będziesz musiał się bardziej postarać, skurwielu! Sam zdecyduję o tym, kiedy umrę! Nie ty!

– Nie ruszaj się, Malcolm! – krzyczę. – Zostań tam, gdzie jesteś!

– Czy Melanie wie, co zrobiłem?

Powiedzieć mu czy nie? Czekając na moją odpowiedź, Malcolm ryczy wściekle i dźwiga się na nogi; jego buty trekkingowe ślizgają się na mokrej ziemi.

– Nie ty jeden zrobiłeś coś złego! – krzyczę. – Wszyscy zachowywaliśmy się okropnie. Ten sztorm wyzwolił w nas to, co najgorsze.

Rozkłada ramiona na boki i robi krok w tył.

– Stój! – Wyrrywam się w jego stronę, lecz Fiona szturcha mnie mocno.

– Nie. On to zrobi. Skoczy. Spójrz na jego twarz. Musisz z nim porozmawiać, Anno.

– Melanie mnie zostawi! – krzyczy Malcolm. – Uważa, że jestem draniem. Wyczytałem to z jej twarzy.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Nie chce przebywać w moim towarzystwie. Nawet nie może na mnie patrzeć.

– Wciąż jeszcze możesz to naprawić. – Deszcz jest tak ulewny, że muszę bez przerwy mrugać, żeby cokolwiek widzieć. – Macie swoje problemy, ale która para ich nie ma? Nie tego chciałyby Melanie. Katie też.

– Katie mnie nie kocha!

– Jesteś częścią jej życia. Straciła już ojca. Jeśli to zrobisz, do końca życia będzie miała traumę. Podobnie jak Mel.

– Będzie im lepiej beze mnie.

– Skąd wiesz? Popeliłeś błąd i zrobiłeś coś złego...

– Pobiłem bezbronnego człowieka!

– Tak. I będziesz musiał z tym żyć, bo tak właśnie jest, kiedy coś spieprzymy. Przepraszamy, próbujemy naprawić sytuację i jakoś się z tym pogodzić. Życie toczy się dalej, a my staramy się znowu czegoś nie spieprzyć.

Patrzy na mnie – dokoła słychać tylko ryk wiatru i dudnienie deszczu – i przez sekundę wydaje mi się, że go przekonałam. On jednak cofa się

o kolejny krok.

– Malcolm, nie! Nie jesteś sam! Nie jesteś jedyną osobą w hotelu, którą dręczą wyrzuty sumienia. Nie ty jeden jesteś rozdarty z powodu tego, co zrobiłeś.

– Co ty wiesz o bólu?! – ryczy.

– Zabiłam dwóch ludzi i okaleczyłam trzeciego! – Mrugam wściekle, czując, że łzy napływają mi do oczu. – Zginęły przeze mnie dwie osoby. Powinnam była patrzeć na drogę. Powinnam była widzieć ogromną ciężarówkę, która zjechała prosto na nas z sąsiedniego pasa. Ale tego nie zrobiłam. Wiesz dlaczego? Przez swoją dumę! Bo chciałam pokazać, że nad wszystkim panuję. Że jestem szefem. Że jestem... – Słowa więzną mi w gardle.

– Już dobrze, Anno – mówi Fiona. – Już dobrze.

Prostuję się.

– Nie waż się, kurwa, skakać z tego klifu, Malcolm. Nie rób mi tego. Nie każ mi oplakiwać kolejnej osoby. Nie każ mi żyć z jeszcze większym poczuciem winy. – Głos mi się łamie. – Nie waż się, kurwa!

Malcolm patrzy na mnie zamglonym wzrokiem. Na jego twarzy zdumienie miesza się z rozpaczą.

Nie rób tego, proszę go w duchu. Nie rób tego.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy robi następny krok w tył.

Chwilę później osuwa się na kolana, łapie się za głowę i wyje z bólu.

• • •

W drodze powrotnej do hotelu ani Malcolm, ani Fiona nie wspominają o tym, co powiedziałam, chociaż kątem oka widzę, że Fiona od czasu do czasu zerka w moją stronę. Malcolm szczęka zębami i jest kompletnie oderwany od rzeczywistości. Kiedy wchodzimy do salonu, Christine spogląda na niego i mówi do Katie, że lepiej będzie, jeśli na chwilę pójdzie na górę.

– A właśnie – rzuca Fiona, sięga pod bluzę z kapturem i wyciąga kota, trzymając go za kark. Zwierzę najwyraźniej dało za wygraną, bo gdy Fiona podaje je Katie, nie walczy; jego ciało zwisa bezwładnie.

Katie, otulona kocem, spod którego widać tylko jej twarz, piszczy radośnie i wyciąga ręce.

– Skąd go macie?

– Znalazłyśmy go w chatce Gordona. – Fiona ostrożnie wkłada jej kota do rąk. – Jest zmęczony i głodny. Masz. – Sięga do kieszeni mojej kurtki i wyciąga z niej dwie puszki kocij karmy. – Nakarm go i zobacz, czy mamy tu coś, co mogłoby posłużyć za kuwetę.

Katie ledwie ma czas uściskać Fionę, zanim Christine wygania ją i kota z pokoju. Malcolm nie wspomina słowem o kocie ani o tym, że Katie nawet na niego nie spojrzała. Zachowuje się tak, jakby w ogóle nikogo nie zauważał. Ociekając wodą, stoi osowiały przy oknie i muszę wołać go trzy razy, zanim w końcu siada przy kominku.

Fiona wyciąga z szafki pod biblioteczką butelkę whisky i trzy szklanki i nalewa każdemu z nas solidną porcję. Malcolm wypija dwa razy więcej ode mnie, ale nie komentuję tego ani nie krytykuję. Kiedy w końcu przestaje szczerkać zębami, a jego oddech wyrównuje się i uspokaja, odchylam się w fotelu i zamykam oczy. Teraz, kiedy emocje opadły, mam wrażenie, że moje ciało jest ciężkie jak z ołowiu i bezkształtne, zupełnie jakby ktoś jednym ruchem wyszarpnął z niego kości.

– Wszystko w porządku, Anno? – pyta Fiona. – Boli cię ramię, tak?

– Nie bardziej niż wcześniej. – Wciąż czuję tępe pulsowanie od karku aż po koniuszki palców. Zdejmuję temblak z szyi, na próbę poruszam palcami, rozprostowuję i zginam rękę. Boli, ale ból jest do wytrzymania.

Kiedy powoli wsuwam rękę z powrotem w temblak, Malcolm porusza się w fotelu.

– Jak się czujesz? – pytam. – Przynieść ci coś?

Pociąga łyk whisky. Skórę na policzkach ma ściągniętą i poszarzałą, wzrok szklisty i nieobecny. Nagle wydaje się stary. Wygląda, jakby zbliżał się do osiemdziesiątki, a nie do sześćdziesiątki.

– Chyba powinienem wypić jak najwięcej – mówi i opróżnia szklankę.

– Dlaczego?

– Bo pewnie zajmę miejsce Trevora i wyląduję zamknięty w pomieszczeniu gospodarczym.

Fiona zerka w moją stronę. Malcolm nie ma pojęcia, że wciąż nie znaleźliśmy Trevora.

– Nadal go nie ma – rzucam.

Przygotowuję się na wybuch, tymczasem Malcolm drżącą ręką odstawia szklankę na stolik.

– Joe i Melanie cały czas go szukają – tłumaczy Fiona. Obie wstajemy i podchodzimy do okna. – Ściemnia się – mówi szeptem, by Malcolm jej nie usłyszał.

– Myślisz, że go nie znajdą, tak?

– Na pewno nic mu nie będzie – odpowiada. – W końcu jest byłym żołnierzem.

– Ale nie ma namiotu.

– Skąd wiesz? – Patrzy na mnie pytająco. Nie wie, że szukając lekarstwa Trevora, przetrząsnęłam jego plecak.

– Ja... nie wiem. Domyślam się. Myślisz, że wróci? Później? Kiedy wszystko się uspokoi?

Fiona świdruje mnie wzrokiem.

– A ty byś wróciła? – pyta.

Rozdział 44

W chwili gdy słyszymy szcęk otwieranych drzwi i dobiegające z holu głosy, szepczę do Fiony, żeby miała oko na Malcolma, a sama wychodzę z salonu i zamykam za sobą drzwi. Melanie z włosami przyklejonymi do twarzy kręci głową i zdejmuje kurtkę.

– Szukaliśmy wszędzie, ale przepadł bez śladu.

– Wiem. – Biorę od niej kurtkę, wieszam ją na kołku i wycieram mokre ręce w nogawki dżinsów. – Ja i Fiona przeszukałyśmy chatkę. Naszym zdaniem włamał się tam, zabrał parę rzeczy i wyszedł. Mam nadzieję, że wróci tam na noc, bo... – Zerkam na Joego, który zdejmuje buty i unika mojego wzroku – ... bo może nie będzie mu ciepło, ale przynajmniej nie zmoknie.

– To dość delikatna sprawa – zaczyna ostrożnie Melanie – ale ja i Joe w drodze powrotnej rozmawialiśmy o Davidzie. Leży w pokoju od kilku dni i... nie oszukujmy się, natura robi swoje.

Ma na myśli odór.

– Pomyśleliśmy, że może dobrze by było przenieść ciało – dodaje. – Może do szklarni w ogrodzie. Do czasu, aż będziemy mogli wezwać pomoc.

Wzdrygam się na myśl o Davidzie leżącym wśród zwiędniętych pomidorów i worków z kompostem, ale Melanie ma rację. Nikt nie wie, ile jeszcze potrwa sztorm, a David nie może zostać w pokoju.

– Oczywiście – mówię. – Rozumiem.

– Joe był tak miły i zgodził się go przenieść, jeśli Malcolm mu pomoże.

– Pójdę na górę i... – odzywa się Joe, prostuje i przez chwilę masuje krzyż – ...zajrzę do Davida.

Patrzę, jak wchodzi po schodach, i coś ściska mnie w sercu. Krok ma ciężki, powolny, jakby dźwigał na barkach cały świat. Przeniesienie ciała Davida to zajęcie, którego nikt z nas wolałby się nie podejmować, ale Joemu, który

niedawno stracił brata, musi być wyjątkowo trudno. Mam ochotę pójść za nim i powiedzieć mu, że rozumiem, widzę jednak, że nadal jest na mnie zły. Jego brat stracił życie zamknięty wbrew sobie w małej celi, a ja skazałam Trevora na odosobnienie.

– Mel, zaczekaj chwilę! – Staję jej na drodze, widząc, że chce wejść do salonu. Muszę jej powiedzieć o Malcolmie, zanim go zobaczy. – Możemy porozmawiać?

– Pewnie – rzuca, próbując dosięgnąć klamki.

– Nie tutaj. Na osobności. Mogłybyśmy pójść do twojego pokoju?

• • •

– O co chodzi? – Melanie przysiadła na skraju łóżka z dłońmi między kolanami. – Jesteś bardzo poważna, Anno.

Poważna i zdenerwowana. Staram się nie myśleć o panice, która sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła, i poprawiam temblak wrzynający mi się w szyję. Teraz, kiedy właściwie wykluczyłam Joego jako swojego prześladowcę, istnieje prawdopodobieństwo, że jestem sam na sam z osobą, która życzy mi śmierci. To dlatego usiadłam blisko drzwi i wchodząc do pokoju, szukałam wzrokiem ewentualnej broni. Ale tu nie ma broni, tylko szklanka wody, książka na szafce nocnej, dwa plecaki i cztery kijki oparte o ścianę.

– Coś się stało, tak? – pyta Melanie.

– Dlaczego tak myślisz?

Unosi brwi, tak że wystają znad oprawek okularów.

– Widzę po twojej twarzy.

– Chodzi o twojego męża. Martwię się o niego. Kiedy szukałyśmy Trevora, znalazłyśmy Malcolma siedzącego na skraju klifu. On... groził, że skoczy.

Melanie wciska dłonie w materac, jakby próbowała odzyskać równowagę.

– Nie mówisz poważnie?

– Niestety, tak. Przyznał się, że to on pobił Trevora.

– Boże. – Zgina się w pół i kryje głowę w ramionach.

– Melanie? Wszystko w porządku?

Podnosi na mnie zboląły wzrok.

– Podejrzewałam, że to mógł być on, ale nie chciałam w to uwierzyć. Ubiegłej nocy pokłóciliśmy się. Upił się, a ja powiedziałam mu, że nie podoba mi się to, jak mówi o Trevorze. Powiedziałam mu też, że nie chcę być z nim w jednym pokoju i ma spać na kanapie. Poszłam do łóżka, nie mogłam jednak zasnąć. Kiedy zesłam do salonu, żeby zobaczyć, co robi, nie było go. Siedział na podłodze w kuchni z twarzą w dłoniach, płakał i coś bełkotał.

– Co mówił?

– Głównie przepraszał. „Przepraszam, Trevor. Jestem pieprzonym dupkiem...” Takie rzeczy. Nie miałam pojęcia, co zrobił. Myślałam, że użala się nad sobą, więc wycofałam się po cichu. Przepraszam, Anno. Nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę uwierzyć, że wyszłam za kogoś takiego. Naprawdę... nie miałam pojęcia, że jest zdolny do czegoś takiego... – Znowu kryje twarz w dłoniach i wzdycha ciężko.

Wstaję z fotela i obejmuję ją.

– To nie twoja wina. Nie mogłaś wiedzieć, że zrobi coś takiego.

– Nie? – Wysuwa się z moich objęć. – Nigdy mnie nie uderzył... z tego, co wiem, nigdy nikogo nie uderzył, ale ma w sobie tyle złości. Nie wiem dlaczego. Oprócz dzieci ma w życiu wszystko, ale jest taki nerwowy. Wiecznie narzeka, jęczy i krytykuje. Strasznie mnie to denerwuje! Nawet nie mogę oglądać z nim wiadomości, bo bez przerwy wszystko komentuje i wygłasza te swoje tyrady. – Znowu wzdycha. – Ja też chciałam mieć dzieci, a jakoś nie chodzę i nie biję bezbronnych ludzi. W głębi duszy myślę, że żywi do mnie urazę. Kiedy się poznaliśmy, nie byłam już młoda, miałam czterdzieści jeden lat. Malcolm pewnie mógłby zostać ojcem nawet w wieku siedemdziesięciu lat, tak przynajmniej twierdzi, ale moje jajeczka... – Śmieje się cicho. – Jakie jajeczka?

– Z tego, co mówisz, wygląda na to, że jest dość gruboskórny.

– To mało powiedziane – rzuca Melanie. – Jest po prostu okrutny. Wiesz, że to on wpadł na pomysł, żeby tu przyjechać? Myślał, że między nami wszystko się ułoży, jeśli spędzimy trochę czasu sami. Nie masz pojęcia, jak się wkurzył, kiedy zaproponowałam, żebyśmy wzięli Katie. – Prostuje się i dotyka dłońmi twarzy. Wydaje się zmęczona i emocjonalnie wyczerpana. – Nie zrobiłby tego.

– Czego?

– Nie rzuciłby się z klifu. Wiedział, że kiedy znajdziemy Trevora, dowiemy się, że to on go pobił. Pewnie zobaczył, jak biegniecie w jego stronę, pomyślał, że odkryłyście, co zrobił, i udał, że chce się zabić, żeby wzbudzić waszą litość. Naprawdę, Anno, nie masz pojęcia, jaki z niego manipulator.

Najwyraźniej wierzy w to, co mówi, ja jednak mam przed oczami obraz roztrzęsionego człowieka siedzącego na skraju klifu, kołyszącego się w przód i w tył i krzyczącego do nieba. Jeśli udawał, musiał być pierwszorzędnym aktorem.

Melanie wzdycha.

– Wygląda na to, że muszę z nim porozmawiać.

– I co mu powiesz?

– Że to koniec.

Otwieram usta, ale zmieniam zdanie.

– O co chodzi? – Melanie mruży oczy.

– Ja tylko... Zastanawiam się, czy nie lepiej będzie, jeśli zaczekasz z tą rozmową, aż wrócicie do Londynu. Wiem, że twoim zdaniem nic by sobie nie zrobił, ale on wydaje się bardzo... kruchy.

Melanie parska śmiechem i zakrywa usta dłonią, jakby chciała wepchnąć sobie ten dźwięk z powrotem do gardła.

– Jest kruchy jak cegła. Zapytaj Trevora.

– No dobrze, może użyłam niewłaściwego słowa. W takim razie jest niestabilny.

Przez chwilę wierci się na łóżku, a w końcu opiera się o ścianę i wbija wzrok w sufit.

– Wszyscy ci niestabilni mężczyźni, wokół których musimy chodzić na palcach. Wyobrażasz sobie, gdyby miało być na odwrót? Gdyby któraś z nas, ja, ty, Christine albo Fiona, wpadła w szał, zaczęła wszystko rozwalać i bić ludzi? Myślisz, że mężczyźni byliby tacy wyrozumiali? Nie! W życiu! Uznaliby, że jesteśmy neurotyczkami, i omijaliby nas szerokim łukiem!

– Nie wiem, czy to...

– Prawda? Czyżby? Zanim poznałam Malcolma, byłam sama przez sześć lat. Nie miałam nikogo, kto podałby mi pomocną dłoń i zaopiekował się mną, gdybym miała załamanie nerwowe. Sama musiałam dbać o siebie i moich

starzejących się rodziców. To bzdura, że kobiety są słabą płcią. Kto opiekuje się nami, kiedy mamy dość bycia silnymi, hę? No powiedz! Kto się nami opiekuje?

Na jej szyi wykwitły czerwone plamy, a w widocznych za szklami okularów oczach płoną wściekłość i oburzenie. Patrzy na mnie wyzywająco, jakby liczyła, że się z nią nie zgodzę; w końcu zamyka oczy i wzdycha ciężko.

– Nie martw się. Nie powiem mu nic, przez co miałby się rzucić z klifu. I bez tego mam dość na sumieniu.

Atmosfera w pokoju zmienia się nagle, choć może to moje uczucia się zmieniły. Jeszcze chwilę temu szczerze współczułam tej kobiecie. Teraz jestem spięta i nieufna.

– Co masz na myśli, mówiąc, że masz dość na sumieniu?

Melanie kręci głową, oczy wciąż ma zamknięte.

– Nie wiem, czy mam siłę, żeby ci o tym opowiadać.

– Spróbuj. – Zerkam na zamknięte drzwi i ostre końcówki kijków trekkingowych opartych o ścianę. Czy zaraz usłyszę, że to ona nękała mnie od miesięcy? W głowie mam mętlik. Czy Melanie może być starszą siostrą Freddy’ego? Steve’a? Nie wiem, jak brzmi jej nazwisko panięskie, nie pomyślałam, żeby ją o to zapytać.

– Chodzi o Katie – mówi. – Martwię się o nią.

Czekam w milczeniu na to, co zaraz usłyszę.

– Jest opiekunką. – Otwiera oczy i patrzy na mnie. – Wiedziałaś?

– Nie.

– Jej mama, Tracy, moja szwagierka, ma zwyrodnieniową chorobę neurologiczną. Choruje od lat, ale do tej pory jakoś sobie radziła, przynajmniej na tyle, na ile można poradzić sobie z przewlekłą chorobą. Głównie zajmował się nią ojciec Katie. Ale później jej stan się pogorszył, niemal z dnia na dzień, i teraz prawie nie chodzi, często choruje i nie potrafi o siebie zadbać, kiedy Katie jest w szkole.

W głowie kielkuje mi nowa myśl. Czy to możliwe, że Peter był ojcem Katie? Dopiero teraz pomyślałam, że może jej ojciec nie żyje. A jeśli człowiek, który mnie prześladowa, wcale nie szuka zemsty za Freddy’ego, tylko za Petera?

W pracy nigdy nie wspominał o żonie i dziecku, ale zawsze trzymał się na uboczu.

– Mel... – Niemal boję się zadać to pytanie, ale muszę to zrobić. – Co... co się stało z ojcem Katie?

Melanie prostuje się i wyciąga nogi. Tymczasem ja zaciskam ręce na podłokietnikach, gotowa w każdej chwili rzucić się w stronę drzwi.

– Odszedł. – Wzrusza ramionami. – Stwierdził, że ich małżeństwo umarło cztery lata temu i trwał w nim wyłącznie z poczucia obowiązku, ale dłużej tak nie może i albo odejdzie, albo przejdzie załamanie nerwowe. Byłam w szoku. Wiele spodziewałam się po Grahamie, ale nie czegoś takiego.

– Ojciec Katie odszedł i zostawił ją, żeby opiekowała się chorą matką? – Jestem tak zszokowana tym, co właśnie usłyszałam, że dopiero po chwili dociera do mnie, że Melanie powiedziała „Graham”, nie „Peter”.

– Tak. Bóg jeden wie, gdzie się podziewa. Malcolm uważa, że jest w Hiszpanii albo gdzieś na statku wycieczkowym. Pracował na jednym z nich, zanim poznał Tracy.

– Graham jest bratem Malcolma, nie twoim?

Uśmiecha się cierpko.

– Dwóch przyjemniaczków, co?

Wstaję i podchodzę do okna. Na zewnątrz w świetle lamp z czujnikiem ruchu zamontowanych na tyłach hotelu Joe i Malcolm niosą ciało Davida do szklarni. Obaj mają zawiązane na twarzach coś, co wygląda jak białe ścierki do naczyń, ale twarz Davida nie zakrywa już kuchenna ścierka. Jego ciało, okręcone ciasno od stóp do głów prześcieradłami, przypomina egipską mumię. Nie wygląda już jak człowiek. Tylko jak coś o ludzkich kształtach.

To mogłaś być ty, mówi głos w mojej głowie. Gdybyś zginęła ubiegłej nocy, twoje ciało spoczęłoby w szklarni obok zwłok Davida i nikt by nie wiedział, że twoja śmierć nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Staram się go nie słuchać, ale jest zbyt głośny i natarczywy. Ten, kto chciał cię zabić, nie da za wygraną, dopóki nie dopnie swego, Anno.

– Wiem, że Katie nie jest moją rodziną – ciągnie Melanie. – To znaczy nie łączą nas więzy krwi, ale czuję się za nią odpowiedzialna. Ma czternaście lat, a już musi się opiekować chorą matką. Dlatego wzięliśmy ją ze sobą, żeby

choć trochę odpoczęła. Opłaciłam pielęgniarkę, która pod naszą nieobecność będzie zajmować się Tracy, ale nie stać mnie na to, żeby zatrudnić ją na stałe. Odkąd Malcolm przeszedł na częściową emeryturę, żyjemy z mojej pensji. Pytałam lekarza Tracy, próbowałam załatwić kogoś do pomocy z opieki społecznej, ale biurokracja jest nie do przeskoczenia. Nawet najmniejszy krok do przodu to dwa kroki w tył.

– Brzmi koszmarnie.

– Co zrobisz? – Wzrusza ramionami.

Zapada między nami niezręczna cisza, żadna z nas nie wie, co powiedzieć.

– Pójdę już – odzywam się w końcu. – Chyba potrzebujesz pobyć sama.

Słyszając to, śmieje się i nie wiem, czy to z nerwów, czy z radości, że już wychodzę.

– Anno – mówi, kiedy kładę dłoń na kłamce. – Skoro już tu jesteś, mogłabyś dać mi świeży ręcznik? Albo klucz do bieliźniarki, żebym sama sobie wzięła?

– Oczywiście. Zaraz ci przyniosę. Przepraszam, minęły wieki, odkąd... – Urywam i wychodzę na korytarz.

Ostatnim razem, gdy sprzątałam pokoje, nie miałam pojęcia, że mój prześladowca jest w hotelu. Teraz już wiem.

Rozdział 45

Alex

Alex zerka na telefon i wzdycha. Jest dwudziesta pierwsza, a Bekki wciąż nie ma; nie wysłała też wiadomości, że się spóźni. Może coś pilnego wypadło jej w pracy (na pierwszej randce uprzedziła go, że rzadko wychodzi ze szpitala zaraz po skończonej zmianie) albo może... – Alex nerwowo wierci się na fotelu – może go wystawiła. Byłoby to trochę dziwne, zwłaszcza że to ona chciała się z nim zobaczyć, ale może straciła zimną krew. Pewnie chciała z nim zerwać, choć Alex nie rozumie, dlaczego nie zrobiła tego przez telefon. On wolałby zakończyć sprawę, siedząc w domu z piwem w ręce, tak by w każdej chwili móc skończyć rozmowę, zanim zrobi się nieprzyjemnie albo niezręcznie. Sięga po kufel, upija łyk piwa i zastanawia się, jak zareaguje, kiedy Becca oświadczy, że nie chce się już z nim spotykać.

Postanawia, że będzie nonszalancki. Może nawet ułatwi jej zadanie, mówiąc, że też o tym myślał. Że ma nadzieję, że zostaną przyjaciółmi (choć oczywiście nigdy więcej się nie spotkają) i że ona nie żywi do niego urazy. Tak, odstawia kufel, właśnie tak to rozegra. Chłodno, spokojnie i nonszalancko. Może nawet zdąży obejrzeć w łóżku dwa odcinki *Żywych trupów*, pod warunkiem że Becca pojawi się w ciągu najbliższych pięciu minut. Ocenia wzrokiem zawartość kufła – została mu niecała połowa – i zastanawia się, czy skoczyć do baru po kolejne piwo, zanim przyjdzie Becca. Takie wstawanie od stolika w trakcie rozmowy byłoby niegrzeczne. Choć może będzie potrzebował wymówki.

– Cześć, Alex. – Becca muska dłonią jego ramię i nachyla się, żeby pocałować go w policzek. Pachnie czymś słodkim i kwiatowym. Inaczej niż zwykle.

– Cześć. – Alex przesuwa w jej stronę kieliszek wina Rioja.

– Proszę, jest i wino dla mnie – zauważa Becca z promiennym uśmiechem.
– Jakie to słodkie.

Jej reakcja wprawia go w zakłopotanie. Nie zachowuje się, jakby chciała z nim zerwać, ale może taką ma strategię – najpierw usypia czujność, a gdy człowiek się odpręży i uspokoi, niepostrzeżenie wsuwa mu w dłoń bombę, tak że ten praktycznie nie zauważa eksplozji.

– Jak tam w pracy? – pyta Alex. Robi to bardziej z przyzwyczajenia niż dlatego, że go to interesuje. Chce, żeby jak najszybciej przeszła do rzeczy i skróciła jego cierpienia. Cierpienia? To ciekawe. Może jednak wcale nie jest tak nonszalancki, jak mu się wydawało, i może wcale nie zależy mu na tym rozstaniu. Zwykle lubi jej towarzystwo.

– Niedobrze. – Becca jednym haustem opróżnia pół kieliszka. Kiedy odstawia go na stół, w kącikach ust ma dwie bordowe smugi. Alex postanawia nie mówić jej o nich. – Przepraszam, że ostatnio trudno było ze mnie cokolwiek wyciągnąć, ale nie bardzo mogłam rozmawiać o tym, co dzieje się w szpitalu. Właściwie nadal nie mogę. Zarząd boi się, że jeśli prasa coś zwęszy... – Wzdycha i upija kolejny łyk. – W każdym razie przepraszam, że byłam trochę nieobecna. Bardzo denerwuję się... czymś, co... zrobiłam...

– Mów dalej. – Alex wypija łyk piwa i przygotowuje się na złe wieści.

– Zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. W pracy. Dlatego tak się przeraziłam, kiedy nagle zaczęli węszyć. Bałam się, że się dowiedzą i mnie wyleją.

Alex pochyla się do przodu i opiera łokcie na wilgotnym stole. Kiedy Anna była w szpitalu, Becca zachowywała się jak prawdziwa profesjonalistka. Nie wyobraża sobie, że mogłaby zrobić coś złego.

– Chodzi o to, że... – Becca odwraca wzrok. – Dałam komuś twój adres.

– Co? – Alex prostuje się, niepewny i zdezorientowany. – Czemu to zrobiłaś?

– To znaczy... właściwie nie twój, tylko Anny.

– Dałaś komuś nasz adres? Mieszkania w Woodside Park?

– Tak. – Becca kiwa głową, nawet na niego nie patrząc. – I dane bliskich Anny.

– Dałaś komuś moje dane? Jakie? Kiedy?

– Nie twoje, jej rodziców. Nie jesteście... nie byliście małżeństwem. To było po tym, jak Anna wyszła ze szpitala, i zanim zaczęliśmy się spotykać. Ktoś zadzwonił na stanowisko pielęgniarskie i powiedział, że pilnie musi się z nią skontaktować. Kiedy zapytałam, o co chodzi, usłyszałam, że to poufne.

– Więc podałaś temu komuś wszystkie informacje na jej temat? To w ogóle dozwolone?

– Nie. – W końcu patrzy mu w oczy. – Dlatego tak się martwiłam.

– Więc po co to zrobiłaś?

– Ze względu na osobę, która dzwoniła. – Becca wzdycha ciężko. – Ta osoba, która pytała o Annę... Kiedyś z nią pracowałam.

Rozdział 46

Anna

– Melanie, mogłabyś zejść na dół i powiedzieć pozostałym, że musimy się spotkać i porozmawiać? Niech zaczekają na mnie w salonie.

– Ale chciałam wziąć prysznic. – Tęsknym wzrokiem spogląda w stronę bieliźniarki.

– Wiem, przykro mi. Spotkanie nie potrwa długo i później będziesz miała mnóstwo czasu.

– Chodzi o Trevora? Bo dziś raczej niewiele możemy już zrobić.

– Chodzi o różne sprawy. – Chowam klucz do kieszeni, chcąc, by jak najszybciej zeszła na parter. Jeśli zostaniemy tu dłużej, pozostali goście rozejdą się do pokoi. Chcę, żeby Melanie zgromadziła ich w jednym miejscu, żebym ja mogła rozpocząć poszukiwania.

– Skoro nalegasz. – Niechętnie wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Czekam, aż zniknie za rogiem, i kiedy słyszę na schodach jej kroki, wchodzę do pokoju Trevora. Jestem niemal pewna, że to nie on mnie prześladuje; łyka valium, żeby poradzić sobie z zespołem stresu pourazowego, i wyobrażam sobie, że takie życie musi być piekłem.

Pokój Trevora jest pusty. Zniknęły plecak, szczoteczka i pasta do zębów. O tym, że tu kiedyś był, świadczy jedynie lekko pomięta pościel. Zamykam drzwi i zastanawiam się, dokąd pójść teraz. Rzuciłam już okiem na pokój Melanie i Malcolma i po tym, jak Katie lunatykowała, miałam okazję zajrzeć do pokoju Joego. Pokój Katie? Od razu skreśliłam ją z listy podejrzanych. Mogłabym brać ją pod uwagę, gdyby jej ojcem był Peter Cross, ale nie był. Zostają więc Fiona i Christine. Pokój Fiony jest najbliżej i tam właśnie idę. Podczas gdy w sypialni Melanie i Malcolma czuć woń wilgotnych ubrań, pokój Fiony jest dużo bardziej przytulny. W powietrzu unosi się zapach jej perfum

i kosmetyków leżących w idealnym porządku na toalecie. W przeciwieństwie do pozostałych gości wypakowała wszystko z plecaka i schowała go do szafy. Szuflady komody pełne są jej ubrań. Przeszukuję je, co rusz zerkając w stronę drzwi, i zamieram za każdym razem, gdy słyszę bulgotanie w rurach albo skrzypienie belki stropowej. W górnej szufladzie znajduję jej portfel. Drżącymi rękami przeglądam plastikowe karty. Na wszystkich widnieje nazwisko Fiona Gardiner, również na prawie jazdy, według którego urodziła się piętnastego sierpnia 1983 roku – czyli ma prawie trzydzieści pięć lat – i mieszka w Londynie przy Wimpole Street 15A. Oprócz tego w portfelu znajduję karteczkę z wydrukowanymi słowami: *Dla świata możesz być tylko kimś, ale dla kogoś możesz być całym światem, Kocham Cię, Fi. M. x.*

M.? To pewnie były chłopak, o którym wspomniała, kiedy sprawdzałyśmy zbiornik olejowy. Chowam kartkę z powrotem do portfela, gdy nagle coś przychodzi mi do głowy.

Przypominam sobie Mohammeda siedzącego na tylnym siedzeniu z głową odchyloną do tyłu i pochrapującego cicho. Czy to możliwe, że Fiona była jego dziewczyną? Wiem, że spotykał się z kimś starszym. Pamiętam, jak Freddy żartował, kiedy zobaczył zdjęcie na jego telefonie. Mówił, że Mo umawia się z mamuszką, ale nie słyszałam imienia ani nie pytałam o nie. Bo i po co miałabym to robić? Ich życie prywatne było ich sprawą. Przynajmniej wtedy tak to sobie tłumaczyłam. Dopiero teraz dociera do mnie, jak niewiele wiedziałam o swoich kolegach z pracy.

Tylko po co Fiona przyjeżdżałaby tu za mną? Powiedziała, że chłopak rzucił ją z dnia na dzień. Nawet jeśli to Mo, to dlaczego miałaby chcieć, żebym „zasnęła”? Przecież Mohammed żyje. Chyba że to mnie obarcza winą za to, że z nią zerwał.

Wkładam kartkę z powrotem do portfela, chowam go do szuflady i patrzę na szafkę nocną, na której obok szklanki z wodą leży telefon Fiony. Sięgam po niego i naciskam przycisk na dole. Ekran budzi się do życia, jest jednak zablokowany. Tapeta przedstawia rajską, egzotyczną plażę i krystalicznie czyste morze. Przesuwam palcem po ekranie i próbuję odgadnąć numer pin.

1234.

Nieprawidłowy kod PIN.

4321.

Nieprawidłowy kod PIN.

Wpisuję pierwsze cztery cyfry daty urodzenia Fiony i zamieram, gdy słyszę skrzypnięcie na korytarzu. Chowam telefon za plecami, podchodzę do drzwi i wyglądam na zewnątrz, ale nikogo tam nie ma. Oddycham głęboko, zerkam na ekran i kciukiem wpisuję kombinację liczb.

1508.

Nieprawidłowy kod PIN.

0883.

Nieprawidłowy kod PIN.

Niech to szlag. Mogę tak stać godzinami i zgadywać, a przecież muszę jeszcze zajrzeć do pokoju Christine. Niechętnie odkładam telefon na szafkę nocną i zaglądam pod materac. Nic. Podobnie jak w szafie. Jeśli to Fiona, nieźle się maskuje.

•••

Czuję wyrzuty sumienia, kiedy otwieram drzwi do pokoju Christine i wchodzę do środka. Jest niewiele starsza od mojej mamy, a wiem, że moja mama byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że ktoś przetrząsał jej rzeczy. Pamiętam, jak nakrzyczała na mnie, kiedy byłam nastolatką i szukając szczotki do włosów, grzebałam w jej komodzie, kiedy ona była w pracy. Nie wiem, jak się o tym dowiedziała, ale kompletnie jej odbiło.

W pokoju Christine jest jeszcze porządniej niż u Fiony. Nic tu nie leży na wierzchu; zniknęła nawet butelka whisky, którą widziałam, kiedy byłam tu ostatni raz. W przeciwieństwie do Fiony, część rzeczy Christine nadal jest spakowana. Znajduję w szafie spodnie, swetry i kwieciste apaszki, ale w plecaku nadal jest kilka rzeczy: trzy pary skarpet, etui na okulary, przezroczysty piórnik z paroma długopisami i apteczka. Kiedy sięgam po apteczkę, coś przykuwa moją uwagę: książka w zniszczonej oprawie z pożółkłymi ze starości pomarszczonymi kartkami.

Księga snu: antologia wierszy.

Żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy patrzę na zdobiący okładkę spłowiały wiejski krajobraz: ogromny żółty księżyc wyglądający zza szkieletowych gałęzi bezlistnych drzew.

To na pewno zbieg okoliczności, że w tytule jest słowo „sen”. Nic dziwnego, że Christine interesuje się poezją, w końcu była nauczycielką w szkole podstawowej.

Chyba że tylko tak powiedziała.

Otwieram książkę i wyszukuję spis treści.

Sonet 39 – sir Philip Sidney

Sonet 27 – William Szekspir

Złote sny – Thomas Dekker

Kołysanka – William Blake

Zasnąć – William Wordsworth

Przewracam kartki i przebiegam wzrokiem kolejne wiersze. Nagle coś dziwnego rzuca mi się w oczy – smuga żółci na kremowych stronach:

Niech spoczywają w pokoju

Emily i Eva Gapper

Emily Gapper, oddana żona i matka.

Odeszła 13 lutego 2015 roku, by połączyć się z naszą ukochaną córką Evą Gapper. Tylko myśl, że jesteście teraz razem, dodaje mi otuchy. Na zawsze

pozostaniecie w mojej pamięci.

Kocham Was i tęsknię za Wami...

To klepsydra, płynące prosto z serca słowa opublikowane w gazecie, wycięte i przyklejone nad jednym z wierszy. Przewracając kartki, natrafiam na inne: pożegnanie młodej kobiety o imieniu Akhtar i bywalca pubu Curly’ego, ciepłe wspomnienia cioteczki Mary i pożegnanie niejakiego Dereka Sandersa. Dziesiątki wycinków przyklejono do stronic książki. Patrząc na nie, czuję się oderwana od rzeczywistości, zupełnie jakbym utknęła we śnie. To

nie z powodu czułych wspomnień Christine umieściła w ulubionej książce nekrologi bliskich, którzy odeszli. To katalog śmierci.

Ręce drżą mi tak bardzo, że książka wypada mi z dłoni na podłogę. Spomiędzy kartek wysuwa się skrawek papieru i spada na dywan wprost pod moje nogi. Nie jest to wycinek z gazety. Jest tej samej wielkości, ale napisano go odręcznie na papierze listowym z logo hotelu Bay View.

Niech spoczywa w pokoju

David Allan Campbell

? – 5 czerwca 2018

Wspominamy Davida Campbella, hotelarza, przyjaciela i kolegę.

Walczył o życie, ale w końcu zasnął...

Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod stóp, że wiszę w powietrzu z żołądkiem przyklejonym do kręgosłupa i czekam, aż spadnę. Chwytam się krawędzi materaca, ale nie czuję pod palcami sztywnego, marszczonego materiału. Nic nie czuję. Serce zamarło mi w piersi, a powietrze uszło z płuc.

Dlaczego Christine napisała coś takiego dla Davida i co to znaczy, że *walczył o życie*? Przecież próbowała go uratować, prawda?

Na drżących nogach dźwigam się z podłogi. Przyciągam plecak Christine i zaglądam do środka. Co jeszcze ukrywa?

Dźwięk odległych głosów sprawia, że zamieram.

Wrzucam książkę z powrotem do plecaka, wypadam na korytarz i drżącymi palcami przekręcam klucz w zamku. Serce wali mi w piersi, kiedy odwracam się, żeby pobiec do siebie, ale zanim udaje mi się zrobić choćby krok, Christine pojawia się na szczycie schodów.

Ku pamięci

Niech spoczywa w pokoju

Stan Eric Holloway

*Z roku na rok zmienia się świat,
Z dnia na dzień przyjaciele,
Lecz ci, których kochaliśmy,
W pamięci naszej zostają na lat wiele.*

Sen.

Pragniemy go, tej błogiej ciemności, która kołysze nas w ramionach i unosi z dala od trosk i zmartwień. Życie to walka, sen zaś jest ucieczką. To łono, do którego wracamy, kiedy nasze ciała robią się ciężkie, a umysły zmęczone. Czasami z nim walczymy. Robimy wszystko, by nie zasnąć. Nasze poczucie winy albo źle ulokowana lojalność sprawiają, że tkwimy w jednym miejscu, bojąc się zrobić krok naprzód.

Pierwsza była Eileen Cuthbert. Miała osiemdziesiąt siedem lat, ja dwadzieścia pięć. Została przeniesiona z domu spokojnej starości do szpitala po tym, jak dostała udaru. Spędziła na oddziale intensywnej terapii dwa dni i w tym czasie nikt jej nie odwiedził. W jej aktach w rubryce Najbliżsi krewni wpisano Millicent White, nazwisko dyrektorki domu spokojnej starości Promyk Słońca. Jej najbliższą krewną była zupełnie obca osoba? Bardzo mnie to zasmuciło. Kiedy do nas przyjechała, nie nosiła na palcu ślubnej obrączki. Jeśli miała dzieci, nie były one częścią jej życia, jeśli w ogóle jeszcze żyły. Sprawa Eileen Cuthbert nie dawała mi spokoju. Co ją czekało po powrocie do domu spokojnej starości? Miała sparaliżowaną połowę ciała. Nie mogła sama jeść, nie mogła mówić i prawdopodobnie już nigdy nie będzie chodzić. Moim zdaniem

takie życie było wyjątkowym okrucieństwem. Gdyby chodziło o zwierzę, uśpilibyśmy je, żeby zakończyć jego męczarnię.

Kiedy usłyszała ode mnie, że jej pomogę, spojrzała na mnie zamglonymi niebieskimi oczami i jej usta wykrzywił paskudny tik. Chciała zasnąć. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Było coś pięknego w tym, jak Eileen Cutherbert wysunęła się z objęć świadomości wprost w objęcia błogiej śpiączki. To przy mnie wydała ostatnie tchnienie. Jej dłoń była w mojej dłoni tak jak lata temu dłoń mojej matki. Moje serce pełne było miłości, gdy jej pierś uniosła się i opadła ostatni raz, a jej palce zwiotczały.

Z czasem coraz trudniej było mi pomagać ludziom zasnąć, ale z pomocą przychodziły mi wspomnienia mojej mamy, która wiele w życiu wycierpiała i tylko we śnie znajdowała spokój. I tak udało mi się pomóc matce, która przeżyła wypadek samochodowy, ale zginęło w nim jej dziecko. I kobiecie oblanej kwasem uciec od bólu oszpeconej przyszłości, i czerwono-nosemu emerytowi, którego najwierniejszym towarzyszem była butelka piwa.

Nie jestem aniołem miłosierdzia. Jestem pełną wad brzydką istotą, ale litościwą i pełną współczucia. I zdeterminowaną. To moja największa zaleta.

Rozdział 47

Anna

Christine nie wychodzi na korytarz; czai się w cieniach klatki schodowej, przenosząc wzrok z zamkniętych drzwi do swojego pokoju na zaciśniętą pięść, w której skrywam klucz uniwersalny, a w końcu na moją twarz. Radosny uśmiech, którym zwykle mnie wita, znikł. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę, oczy za okularami w drucianych oprawkach zmrużone i zimne jak stal.

Nie mogę oddychać. Nie mogę wykrztusić słowa ani się poruszyć. Moim ciałem zawładnęło tak wielkie przerażenie, że chociaż mózg każe mi uciekać, mam wrażenie, że nogi wrosły mi w podłogę.

Idąc w moją stronę, zmusza się do uśmiechu, który nijak nie pasuje do jej ściągniętej twarzy.

– Wszystko w porządku, Anno? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Wie, że byłam w jej pokoju i widziałam książkę. Uśmiecha się do mnie, ale pod fałszywą troską jej słów pulsuje lodowata wściekłość. Muszę odpowiedzieć, krzyknąć albo zareagować, lecz w mojej głowie, tam gdzie kiedyś były myśli, teraz ziele pustka.

– Anno? – Robi krok w moją stronę, a tym samym zmniejsza dzielącą nas odległość.

Nie wiem już, kim jest. Zamiast ciepłej, troskliwej kobiety widzę teraz potwora opętanego obsesją na punkcie snu i śmierci. To ona prześladowuje mnie od wypadku, wysyła mi niepokojące wiadomości, w których każe mi zasnąć, i próbuje sprowadzić na mnie śmierć. Dlaczego? Mam ochotę wykrzyczeć jej to w twarz i jednocześnie wybuchnąć płaczem. Dlaczego to robisz? Dlaczego przyjechałaś tu za mną?

– Anno? Christine? – słyszę dobiegający od strony schodów męski głos i wzdrygam się.

Christine odwraca się, żeby zobaczyć, kto to.

Joe z jedną ręką opartą o ścianę spogląda leniwie w moją stronę.

– Co z tym spotkaniem? Fiona mówi, że kolacja już gotowa.

Spotkaniem? Przez chwilę nie wiem, o czym mówi, i nagle przypominam sobie, że posłałam Melanie na dół, żeby zatrzymała pozostałych w salonie, podczas gdy ja będę przeszukiwać pokoje.

– Kolacja? – rzuca radośnie Christine. – Nie wiem jak ty, Anno, ale ja umieram z głodu. Jestem pewna, że spotkanie może zaczekać, prawda?

Zmiana w jej zachowaniu jest zdumiewająca. Rysy jej twarzy i głos łagodnieją i znowu jest sobą, a przynajmniej udaje dawną Christine.

– Możemy tak zrobić, Anno? – pyta Joe.

– Ja... ja...

Ściąga brwi, podczas gdy ja szukam w głowie odpowiednich słów.

– No... tak, oczywiście. Mogę cię prosić na słówko?

Omijam Christine i niemal biegnę w jego stronę. Joe patrzy w milczeniu to na mnie, to na Christine, a mars na jego czole się pogłębia.

– Wezmę tylko apaszkę z pokoju – informuje nas Christine i wyciąga z kieszeni klucz. – Zaraz zejść.

Joe rusza w dół po schodach, ale ja stoję w miejscu, patrząc, jak Christine otwiera drzwi.

Serce mi zamiera, kiedy pochyla się i podnosi leżący na podłodze skrawek papieru. To nekrolog Davida. Zapomniałam odłożyć go do książki.

– Anno? – rzuca Joe, kiedy Christine odwraca się i wbija we mnie lodowate spojrzenie. – Idziemy na dół?

•••

Zanim dochodzimy na parter, wybucham płaczem. Zakłopotany Joe stoi obok, podczas gdy ja, z jedną ręką na balustradzie, drugą zakrywam usta, żeby stłumić szloch.

– O co chodzi? – pyta. – Co się stało?

Zerkam na górę, przerażona, że lada chwila wróci Christine. Zza zamkniętych drzwi salonu słychać przytłumione głosy, a z jadalni dobiega

brzęk talerzy.

– Anno? O co chodzi? – powtarza Joe.

– Nie tutaj. – Szarpnięciem otwieram drzwi wejściowe i tak jak stoję, wychodzę na zewnątrz.

Joe idzie za mną, ale po drodze zatrzymuje się i zdejmuję z wieszaka kurtkę. Zarzuca mi ją na ramiona, kiedy stoję oparta o ścianę ganku. Moje nogi wydają się nagle zbyt słabe, żeby mnie utrzymać. Tuż za hotelem zaczyna się mrok. Gwiazdy i księżyc są zasłonięte ciężkimi od deszczu chmurami. Nawet jeśli przejechałabym land roverem przez rzekę, utknęłabym w ciemności, gdyby zabrakło mi benzyny. Nie ma szans, żebym po ciemku znalazła drogę na drugi koniec wyspy – to jak kluczyć w ciemnościach z przepaską na oczach.

– Proszę, Anno. – Głos Joego brzmi dziwnie szorstko. – Po prostu powiedz mi, co się dzieje.

– Nie uwierzysz mi. – Kręcę głową.

– Zobaczymy.

– Christine mnie prześladowuje.

– Co? – Wzdryga się.

– To zaczęło się w Londynie, po tym, jak brałam udział w wypadku. Zaczęłam dostawać niepokojące wiadomości o tym, że mam zasnąć. Na początku myślałam, że to Steve Laing, którego syn, Freddy, zginął w wypadku.

– Patrzę na Joego. – To ja prowadziłam samochód.

– Chryste. – Spogląda na mnie zszokowany. – Mówiłaś o wypadku, ale nie wiedziałem, że były ofiary śmiertelne. Boże, Anno. – Dotyka mojego ramienia i zaraz opuszcza rękę. – Przykro mi. Nie miałem pojęcia.

Troska w jego oczach sprawia, że ściska mnie w gardle i do oczu napływają mi łzy, mrugam więc, żeby je powstrzymać.

– Już o nich wspominałaś – mówi. – O Stevie i Freddym. Pytałaś mnie o nich przy kolacji.

Słyszę w jego głosie ciekawość. Próbuje zrozumieć, dlaczego go o nich wypytywałam.

– Kiedy przyjechałam na Rum – podnoszę na niego wzrok – myślałam, że ten człowiek przestanie mnie nękać, ale potem ktoś napisał na szybie –

UMRZEĆ, USNAĆ.

– Czyli nie żartowałaś?

– Oczywiście, że nie.

– Wybacz. To było dość... dziwne. Nikt z nas nie wiedział, o co ci chodzi.

Jeśli mam być szczery, myślałem, że po śmierci Davida... – Zawiesza głos.

– Myślałeś, że mi odbija?

– Może trochę. Wciąż nie wiem, dlaczego uważasz, że to Christine.

– Chwilę temu znalazłam w jej pokoju książkę, zbiór wierszy na temat snu.

Wklejono do niej nekrologi.

Joe kręci głową.

– Takie, jakie ludzie zamieszczają w gazetach – tłumaczę. – Ku pamięci cioci Laury i tym podobne.

– Aha. – Kiwa głową, widzę jednak po jego minie, że wciąż nie rozumie.

– Były ich dziesiątki, Joe. Dziesiątki. W tym jeden napisany odręcznie, poświęcony Davidowi. Myślę, że ona zabiła tych wszystkich ludzi. Davida też.

– Chryste. – Joe przeczesuje dłonią włosy i spogląda na deszcz.

Nie wierzy mi. Bo i dlaczego miałby wierzyć? Jak często w telewizji mówią o seryjnych morderczyniach po sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce? Ale ja wiem, że to Christine podrzuciła mi do pokoju insulinę i usunęła klepkę. Nigdy niczego nie byłam tak pewna.

– Czy kiedykolwiek wspominała o dzieciach albo wnukach? – pytam. – O Stevie, Freddym albo Peterze?

Joe kręci głową.

– Nie przy mnie.

– O tym, że ostatnio straciła bliską osobę?

– Nie, przykro mi, ale nie. – Milknie i wzdycha ciężko. Nie mogę pozbyć się uczucia, że mi nie wierzy. – Co mam zrobić?

– Chciałabym, żebyś zapytał ją o tę książkę z wierszami. To jedyny dowód, że to ona stoi za tym wszystkim.

• • •

Czekam na zewnątrz i przez szparę w drzwiach patrzę, jak Joe wspina się po schodach na pierwsze piętro. Po jakimś czasie z jadalni wychodzi Fiona w fartuchu Davida zawiązanym w pasie. Nie widzi mnie, kiedy obserwuję ją, jak przecina hol i wchodzi do salonu, zostawiając uchylone drzwi.

Słyszę, jak Melanie mówi: „Gdzie ona jest? Ileż można czekać? Katie jest głodna”, a zaraz potem stłumiony głos Fiony.

Kilka sekund później znowu wychodzi i wraca do jadalni. Gdy zamykają się za nią drzwi, na szczycie schodów pojawia się Joe. Jestem nieco spokojniejsza niż chwilę temu i patrzę na książkę, którą trzyma w prawej ręce. Nie mogę uwierzyć, że Christine mu ją dała. Teraz, kiedy wie, że on zna prawdę, nie ośmieli się mnie skrzywdzić.

– Co jej powiedziałaś? – pytam, kiedy Joe wychodzi przed hotel i ostrożnie zamyka za sobą drzwi. To wszystko, co mogę zrobić, żeby nie wyrwać mu książki z ręki.

– Że lubię czytać poezję. I zapytałam, czy może mi coś polecić. Dała mi to. – Pokazuje mi antologię.

Patrzę na książkę. Tytuł się zgadza, podobnie jak spłowiały rysunek na okładce – ogromny, bladożółty księżyc wyglądający zza bezlistnych gałęzi drzew – strony nie są jednak pożółkłe, a rogi okładki pozaginane. Kartkuję ją, lecz książka, którą znalazłam w pokoju Christine, miała przyklejone do stron wyblakłe wycinki z gazet, a ta wygląda prawie jak nowa.

– To nie ta sama książka. Musiała ci dać inny egzemplarz. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo – dodaję pospiesznie, słysząc jego westchnienie – ale przysięgam, że to nie ta, którą widziałam. W tej nic nie ma. – Chwytam książkę za grzbiet i potrząsam nią. Nic z niej nie wypada.

– Anno – mówi łagodnie Joe; na jego twarzy maluje się niepokój. – Myślę... myślę, że wiele ostatnio przeszłaś i...i... Nie twierdzę, że kłamiesz, wierzę, że znalazłaś coś w książce Christine, ale... cokolwiek to było, zniknęło.

– Możesz pójść do niej jeszcze raz? – pytam błagalnie. – Proszę. Idź i zapytaj, czy możesz przejrzeć pozostałe książki. Albo zaczekamy, aż zejdzie na kolację, i razem przeszukamy jej pokój. Mam klucz uniwersalny.

– Nie zrobię tego.

– Jak to?

– Nie będę przeszukiwał czyjegoś pokoju. To naruszenie prywatności.

– Ale ona próbowała mnie zabić! To ona wyjęła klepkę.

– Klepka się obluzowała. Mówiłaś mi o tym, kiedy wnosiliśmy na górę ciało Davida. To, co ci się przydarzyło, było straszne, ale to był wypadek.

– Ona chce, żebyś tak myślał! Nie wierzysz mi, bo dałeś się jej omamić i myślisz, że jestem straszna, ponieważ zgodziłam się zamknąć Trevora w pomieszczeniu gospodarczym. Wiem, co spotkało twojego brata, Joe, i wiem, że cierpisz, tylko że ja też umrę, jeśli mi nie pomożesz i... – Słowa więzną mi w gardle, gdy widzę, jak jego twarz pochmurnieje.

– Nie mieszaj w to Willa.

– Waliłeś pięścią w ścianę, prawda? – Biorę go za rękę, kłykcie wciąż ma czerwone i pozdzierane. – Rozumiem cię, Joe. Wiem wszystko o poczuciu winy. Ale to, co spotkało twojego brata, nie było twoją winą. Musisz wiedzieć, że nie mogłeś zrobić nic, żeby temu zapobiec...

Wyrywa rękę i szarpnięciem otwiera drzwi.

– Nie mogę, Anno. Przepraszam. Myślałem, że będę mógł ci pomóc, niestety, nie potrafię.

Rozdział 48

– Joe! – Wbiegam za nim do środka, zanim jednak udaje mi się go dogonić, do holu wchodzi Fiona.

– A! Tu jesteś. – Przenosi wzrok z przydużej kurtki, którą mam zarzuconą na ramiona, na moje skarpety, i unosi brwi. – Kolacja gotowa. Nadal chcesz najpierw zorganizować spotkanie czy... – Urywa, bo z salonu wychodzi Katie.

Dziewczyna krzyżuje nogi i patrzy na mnie wyczekująco.

– Możemy już zjeść kolację? – pyta.

Wszystko wydaje się tak nierzeczywiste, ta cała rozmowa o jedzeniu, podczas gdy w jednym z pokoi na górze siedzi osoba, która życzy mi śmierci.

– Anno. – Głos Joego brzmi jak szczeknięcie. – Ludzie są głodni. Muszą coś zjeść.

Uważa, że jestem nieznównważona albo że kompletnie mi odbiło.

– Oczywiście – zmuszam się do wypowiedzenia tego jednego słowa. – Oczywiście, że musimy coś zjeść.

• • •

Chce mi się płakać, kiedy Christine wchodzi do jadalni. Uśmiecha się ciepło do Katie siedzącej najbliżej drzwi i zajmuje miejsce naprzeciwko Joego. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy, gdy zwraca się do niego:

– Przeczytałeś już któryś z wierszy?

Wstrzymuję oddech. Proszę, modłę się w myślach i odchyłam się na krześle, by widzieć cokolwiek za plecami siedzącej między nami Melanie. Proszę, Joe, zapytaj ją, czy ma drugi egzemplarz.

– Jeszcze nie – rzuca niechętnie Joe. – Może po kolacji.

– Myślę, że ci się spodoba. – Christine zerka w moją stronę. – Lubisz poezję, Anno?

Zanim udaje mi się otworzyć usta, Fiona wychodzi z kuchni z garnkiem. Czekamy w milczeniu, aż wyłoży na talerze makaron z tuńczykiem i sama zajmie miejsce na końcu stołu. Siedzący naprzeciw mnie Malcolm nie odrywa wzroku od jedzenia, które raz po raz wkłada do ust. Ja rozgrzebuję swoją porcję widelcem po całym talerzu.

– Nie masz apetytu, Anno? – pyta Christine. – Czy tworzysz kulinarne dzieło sztuki?

Wszyscy się śmieją, a ja czuję, że łzy cisną mi się do oczu. Żadna z obecnych tu osób nie uwierzyłaby mi, gdybym powiedziała im prawdę o Christine. Omamiła ich wszystkich, a bez książki nie mam żadnego dowodu. Nie ma sensu kolejny raz przeszukiwać jej pokoju. Teraz, kiedy wie, że widziałam książkę, ukryje ją tak, żebym nie mogła jej znaleźć; może nawet ma ją przy sobie.

– Nie idź jeszcze – odzywa się Fiona, widząc, że Joe skończył już jeść i wstaje od stołu. – Mam dla was małą niespodziankę.

Kiedy Joe siada z powrotem, Fiona zrywa się z krzesła i spieszy do kuchni. Kilka minut później wraca, niosąc tacę z ośmioma kubkami.

– Gorąca czekolada – mówi. – W jednej z szafek znalazłyśmy mleko skondensowane. Wiem, że niektórzy z was od dawna mieli ochotę na coś słodkiego, więc mam nadzieję, że będzie wam smakowała.

Jedni patrzą na kubki obojętnym wzrokiem, inni z ciekawością, a Malcolm podejrzliwie. Dmucha na czekoladę, a chwilę później zanurza w niej mały palec i oblizuje go, jakby sprawdzał jej smak. Ja upijam jeden łyk, a zaraz potem drugi. Nie mam apetytu, ale nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś piłam.

Katie kosztuje czekolady i z uznaniem unosi brwi.

– Całkiem niezła.

Fiona się śmieje.

– To się nazywa pochwała.

– Pyszna, Fiono – mówię. Dopijam czekoladę, biorę talerz i wstaję od stołu. – Dziękuję.

– Co robisz? – pyta Fiona, widząc, że idę do kuchni.

– Sprzątam po sobie.

– Masz chorą rękę! Usiądź, ja się tym zajmę.

– Nie trzeba. – Zdrowym ramieniem otwieram kuchenne drzwi i kieruję się do zlewu, kiedy nagle coś czmycha mi spod nóg. Potykam się, wpadam na kosz i przewracam go. – Przepraszam, mały.

Kłękam i zaglądam w szczelinę między lodówką a ścianą, gdzie kot ukrył się za deską do prasowania. Nie wyjdzie, choćbym nie wiem jak go prosiła, ale nie wygląda na przestraszonego, tylko na wkurzonego, więc wyciągam z szuflady worek na śmieci i zaczynam sprzątać bałagan. Bezmyślnie wrzucam do czarnego plastikowego worka obierki z warzyw, puste puszki i opakowania, listek po tabletkach, poplamioną folię i skórkę banana. W pewnej chwili sięgam do worka i wyjmuję pusty blister. Diazepam. To inna nazwa valium, leku, który ktoś wykradł z pokoju Trevora.

• • •

Zerkając co chwila na drzwi do kuchni, pakuję do worka resztę śmieci i kolejny raz spoglądam na opakowanie po tabletkach. Jestem pewna, że wcześniej nie było go w koszu. Wiem, bo wyrzucałam śmieci i zostawiłam otwarte tylne drzwi, na wypadek gdyby Trevor wrócił, żeby wziąć coś do jedzenia. W takim razie kto je wyrzucił? Goście przez cały dzień wchodzą i wychodzą z kuchni, biorąc coś do jedzenia i picia. Na kuchence stoją trzy garnki: jeden pusty – pewnie w nim Fiona gotowała makaron – drugi z resztkami sosu pomidorowego na dnie i brzegach i trzeci z zastygłą na dnie gorącą czekoladą. W mojej głowie zagnieżdża się ponura myśl. Po co ktoś miałby kraść tabletki Trevora, skoro nie zamierzał zrobić z nich użytku? Sięgam po drewnianą łyżkę, z której skapują na blat krople czekolady, i zanurzam ją w czekoladowej zawieszynie na dnie garnka. Nigdy dotąd nie jedliśmy deseru, więc albo to zbieg okoliczności i zachowuję się jak paranoiczka, albo właśnie wypiałam coś zaprawionego rozkruszonym valium.

Sprawdzam stertę brudnych naczyń piętrzącą się przy zlewie. Na pachnącej czosnkiem desce do krojenia widzę tylko ślady po pomidorach; nie znajduję też niczego podejrzanego na ostrzach noży. Kot wychodzi z kryjówki

i ociera się o moje nogi, kiedy biorę do rąk sztucce i chwilę później odkładam je na miejsce. Patrząc na talerze, kubki, garnki i rondle i dopiero po chwili kątem oka zauważam łyżeczkę leżącą między suszarką do naczyń a wykafelkowaną ścianą. Podnoszę ją i już mam ją odłożyć, kiedy to zauważam – biały osad z tyłu łyżeczki. Zdrapuję go paznokciem, gdy drzwi do kuchni otwierają się ze skrzypnięciem.

– Wszystko w porządku? – Fiona rozgląda się i zatrzymuje wzrok na mokrej ścianie, worku ze śmieciami i moim kubku, który zostawiłam na blacie. – Pomyślałam, że ci pomogę.

– Kto zrobił czekoladę? – pytam i drżącą ręką wskazuję garnek.

– Słucham?

– Kto przygotował kolację?

– Ja przyrządziłam makaron, a Christine czekoladę. Wszystko w porządku?

Ja jednak już wychodzę z kuchni. Staram się iść powoli, świadoma tego, że wszyscy na mnie patrzą, lecz kiedy tylko drzwi do holu zamykają się za mną, biegnę do toalety.

Podnoszę deskę, zginam się wpół i wkładam palce do gardła.

• • •

– Anno? – Ktoś puka do drzwi toalety. – Wszystko w porządku?

– Tak, Melanie. – Urywam garść papieru toaletowego i wycieram nim usta. Mam wymiociny we włosach, na rękach i bluzce. – Zaraz wyjdę.

– Nie chcę do toalety – zapewnia mnie. – Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest. Myślałam, że wymiotujesz.

– Bo wymiotowałam.

– O, nie. – W jej głosie słychać troskę. – Zawołać kogoś?

– Nie. – Otwieram drzwi i zaglądam do holu. Jesteśmy same, a drzwi do jadalni są zamknięte.

– O co chodzi? – pyta Melanie. – Coś się stało?

– Czy ktoś jeszcze wie, że wymiotowałam?

– Nie. – Kręci głową. – Jesteś strasznie blada. Pomyślałam, że może boli cię ramię. Dlatego wyszłam.

– Czyli nikt nie wie, że wymiotowałam?

Znowu kręci głową.

– Nie... Tak jak mówiłam, myślałam, że...

– Nic nie mów. Jeszcze pomyślą, że się czymś zatrulałam, a bez tego mamy dość problemów. Dobrze?

Wygląda na zdezorientowaną i wcale się jej nie dziwię. Chcę zachować w tajemnicy to, że wymiotowałam, bo Christine spodziewa się, że odpłynę, ale ja nie zamierzam dziś spać. Ucieknę stąd, kiedy tylko zaczną świtać. Sama.

Rozdział 49

Anna

Piątek, 8 czerwca

Siódmy dzień sztormu

Jest pierwsza w nocy, w hotelu panuje cisza. Minęła przeszło godzina, odkąd usłyszałam skrzypienie desek na piętrze niżej i szcęk zamykanych drzwi. Zasłony w moim pokoju są zaciągnięte, drzwi zamknęłam na klucz, włączyłam lampkę przy łóżku i siedzę okryta kołdrą. Po tym, jak zamknęłam się w pokoju, nie mogłam znaleźć sobie miejsca, więc otworzyłam walizkę i zaczęłam przeglądać swoje rzeczy, przekładając te najbardziej potrzebne do reklamówki. Jest tego niewiele – portfel, paszport i oprawione w ramki zdjęcie rodziców. Telefon – bez zasięgu i Wi-Fi to tylko zegarek z funkcją latarki – ładuje się na komodzie. Oprócz tego jedyną rzeczą w reklamówce jest łyżeczka zawinięta w chusteczkę higieniczną. Wiem, że to marny dowód, ale tylko to mogę zanieść na policję. Co innego mogłabym im pokazać? Klepkę podłogową, która mogła sama się poluzować, uszkodzone ramię i okno, na którym zapisano wiadomość, którą sama starałam? Żałuję, że zostawiłam książkę Christine w jej pokoju. Nie mogę zapomnieć jej miny, kiedy weszła na górę, i chłodu w jej oczach. Musi być matką albo siostrą Steve’a Lainga; tylko w ten sposób można wytłumaczyć jej postępowanie. Czy Steve o tym wie? Czy wspólnie zdecydowali, że pojedzie za mną na wyspę? Ale dlaczego ona? To sześćdziesięciosiedmioletnia była nauczycielka szkoły podstawowej. Gdzie w tym wszystkim jest sens?

O drugiej odkładałam książkę, którą „czytałam” przez ostatnie pół godziny. Przerzuciłam kilkadziesiąt stron, nic jednak nie zapadło mi w pamięć. Za

oknem sowa pohukuje w ciemności, a wzburzone morze ryczy w odpowiedzi. Mam wrażenie, że w ciągu ostatniej godziny mój pokój się skurczył. Czuję się jak zwierzę w zagrodzie. Jeśli ktokolwiek wejdzie do środka, będę w pułapce.

Trzecia nad ranem. Przez ostatnią godzinę ziewnęłam już nie wiem ile razy i mam straszną ochotę na kawę, ale nie zaryzykuję zejścia do kuchni. Próbowałam chodzić po pokoju, żeby nie zasnąć, lecz od ściany do ściany jest zaledwie sześć kroków i podłoga skrzypi przy każdym. Robiłam brzuszki, niestety, wysiłek sprawił, że jeszcze bardziej zachciało mi się spać, więc dałam sobie spokój. Wraz z ciszą i ciemnością nadchodzi paranoja. Zaczynam się zastanawiać, czy nie mylę się co do Christine. Założyłam, że książka należy do niej, a jeśli to nieprawda? Jeśli osoba, która ukradła tabletki Trevora, podrzuciła jej książkę, żeby mnie zmylić? Ale to by oznaczało, że za wszystkim stoi Fiona. To ona mogła pokruszyć tabletki, a nie Christine. Niczego nie jestem już pewna. Tak czy inaczej, muszę się stąd wydostać. W kieszeni mam kluczyki do land rovera, nie wiem jednak, ile paliwa zostało, jeśli w ogóle coś zostało. Nie pomyślałam, żeby sprawdzić po tym, jak wróciliśmy z poszukiwań Trevora. Czy gdybym musiała, przepłynęłabym rzekę? Zdejmuję temblak i ostrożnie zginam i prostuję ramię, ale z bólu robi mi się niedobrze, więc przestaję.

Czwarta rano. Prawie zasnęłam. Trwało to sekundę, może dwie, a gdy się ocknęłam, serce waliło mi jak szalone. Napisałam list, na wypadek gdyby cokolwiek mi się stało, lecz nie jestem pewna, gdzie go schować. Pod materacem, w walizce, w kieszeni spodni? Po przeczytaniu go, omal go nie podarłam. Czuję, że proszę się o nieszczęście, pisząc list, który zaczyna się od słów: *Jeśli to czytacie, to znaczy, że nie żyję*, ale muszę udokumentować wszystko to, co się tu wydarzyło. Muszę to zrobić osobiście. Walczę ze snem. Nie mogę... NIE MOGĘ...

•••

Podrywam się ze snu i żeby nie spaść z krzesła, chwytam się krawędzi biurka. Przez sekundę nie wiem, gdzie jestem, ale kiedy widzę słońce przeświecające przez szczelinę w zaciągniętych zasłonach, pościelone

podwójne łóżko i walizkę na podłodze, przypominam sobie. Cholera. Sięgam po telefon. Pięta dwadzieścia pięć. Hotel pogrążony jest w ciszy, a więc pozostali goście muszą jeszcze spać. Wciąż mogę się stąd wymknąć. Wchodzę do łazienki, żeby skorzystać z toalety, ale kiedy włączam światło, nic się nie dzieje. Musiała spalić się żarówka. Sikam po ciemku, jedną nogą przytrzymując otwarte drzwi, wciągam dzinsy i poklepuję kieszenie, by upewnić się, że mam kluczyki do land rovera. Mam. Z reklamówką i telefonem w jednej ręce otwieram drzwi, wychodzę na korytarz i przechodzę nad miejscem z brakującą klepką. Na palcach zbiegam po schodach i zatrzymuję się na półpiętrze.

Dym. Uderza mnie w nos charakterystyczny gryzący zapach. Nie jest to jednak dym papierosowy. Ten jest dużo, dużo silniejszy.

Odruchowo zerkam w górę na alarm przeciwpożarowy, lecz światełko na małym czerwonym pudełku zamontowanym na suficie w połowie korytarza nie miga. Myliłam się. W łazience nie było światła nie dlatego, że spaliła się żarówka – w całym hotelu nie ma prądu.

Kiedy zbiegam do holu, zapach przybiera na sile, nigdzie jednak nie widzę dymu ani nie słyszę trzasku płomieni. Może pali się w salonie? Może z kominka wypadł żar, od którego zapalił się dywanik? Ostrożnie dotykam klamki. Jest zimna. Uchylam drzwi i zaglądam do środka. Malcolm, pochrapując, śpi na kanapie. Ogień w kominku zgasł.

– Malcolm. – Delikatnie dotykam jego ramienia. – Obudź się! – Nie reaguje, więc nim potrząsam. – Obudź się, Malcolm! Czuję dym!

Nawet nie otwiera oczu.

Zostawiam go chrapiącego na kanapie i idę do jadalni, ale zatrzymuję się przy kuchennych drzwiach. Przez szpary między drzwiami i futryną przeciskają się kłęby gęstego czarnego dymu. Czubkami palców dotykam klamki; nie jest gorąca, mimo to się boję. Widziałam na filmach, jak ludzie otwierają drzwi i nagle całe pomieszczenie staje w ogniu. Muszę wydostać się na zewnątrz i przez okno zajrzeć do środka.

Kiedy jednak wracam do holu i próbuję otworzyć drzwi, okazuje się, że są zamknięte, a klucz zniknął z haczyka w recepcji. Sięgam do kieszeni po uniwersalny, zaciskam palce na chłodnym metalu i nagle przypominam sobie,

że ten klucz otwiera wyłącznie drzwi do hotelowych pomieszczeń. Klucz do drzwi wejściowych jest zupełnie inny.

– Malcolm! Obudź się! – Policzkuję go. Z początku delikatnie, a gdy nie reaguje, nieco mocniej. Na stole stoi szklanka do połowy wypełniona whisky. Kiedy chlustam mu w twarz, otwiera oczy i spogląda leniwie w moją stronę, lecz zaraz potem jego powieki opadają i znowu zasypia. Miałam rację co do czekolady, ale rozdrobnione tabletki wsypano nie tylko do mojego kubka.

Mocuję się z otwieranym pionowo oknem, podnosi się, niestety, tylko na kilka centymetrów. To samo jest z drugim i trzecim.

– POŻAR! – Biegnę na górę, walę i kopię w kolejne drzwi. Zatrzymuję się przy każdym i nasłuchuję nerwowej krzątaniny ludzi, którzy ubierają się w pośpiechu, albo podniesionych głosów. Nic jednak nie słyszę. Korytarz pogrążony jest w ciszy.

– Katie! – krzyczę, dobijając się do drzwi. – Obudź się!

Nie odpowiada, więc wsuwam klucz do zamka i wchodzę do pokoju. Katie leży skulona na łóżku, pogrążona w głębokim śnie. Potrząsam nią i wykrzykuję jej imię, lecz nawet nie drgnie. Tak samo jest w pokoju Joego, Fiony i Melanie. Wszyscy śpią jak zabici. Ale kiedy otwieram drzwi do pokoju Christine, nie znajduję w nim nikogo.

Zbiegam po schodach, biorę gaśnicę z recepcji i staję jak wryta w połowie jadalni. Gęsty czarny dym, który kilka minut temu przesączał się przez szpary w kuchennych drzwiach, wisi w powietrzu i kłębi się nad moją głową jak czarna chmura. Zasłaniam usta rękawem swetra, wycofuję się do holu i zamykam za sobą drzwi. Muszę wyprowadzić wszystkich głównym wejściem, skoro jednak drzwi frontowe są zamknięte, a w kuchni szaleje ogień, nie mamy jak uciec. Jesteśmy w potrzasku.

Rozdział 50

Wysuwam ramię z temblaka i lewą ręką podnoszę gaśnicę. Bark eksploduje mi bólem, a głos w mojej głowie krzyczy, żebym dała sobie spokój, ale zaciskam zęby i idę do salonu. Możemy uciec wyłącznie przez okno. Leżący na kanapie Malcolm sapie przez sen i przewraca się na bok.

Kładę gaśnicę na stole i podbiegam do okna. Kiedy odsłaniam zasłonę, za szybą pojawia się twarz i czuję, że krzyk więźnie mi w gardle. Na zewnątrz stoi Trevor z kapturem naciągniętym na głowę. Szkła jego okularów są zaparowane od deszczu. Gdzieś za plecami słyszę jęk. To Malcolm przeciąga się z rękami nad głową i mruga rozespany.

– Malcolm, nie zasypiaj! – krzyczę i raz za razem kopię w kanapę. – Obudź się! Obudź się, Malcolm!

Trevor nadal obserwuje mnie zza okna. Wzrok ma nieufny, kciuki zatknął za paski plecaka. Porusza ustami, lecz grube szkło tłumi jego słowa.

– Odsuń się. – Pokazuję mu, żeby oddalił się od okna. Wilgotna, gryząca woń dymu przybiera na sile, a trzask ognia staje się coraz głośniejszy. Pewnie pali się już w jadalni. Między jadalnią a holem są drzwi pożarowe, ale one też nie wytrzymają długo. Krztusząc się i dusząc, podchodzę z gaśnicą do okna.

– Raz... dwa... – Ból przeszywa mi ramię, aż do szyi, kiedy próbuję rozhuścić gaśnicę. – Trzy!

Nie jestem w stanie cisnąć nią z całych sił i przez jedną upiorną chwilę boję się, że spadnie na podłogę, zanim doleci do okna. Lecz nagle – BRZDEK – rozbija szybę i ląduje z łomotem na zewnątrz. Widząc to, chwytam stojący przy kominku pogrzebacz i pozbywam się resztek szkła z okiennej ramy.

– Pali się! – krzyczę do Trevora. – Proszę, proszę, pomóż mi wydostać pozostałych!

• • •

Trevor patrzy na mnie obojętnym wzrokiem zza rozbitej szyby. Oczywiście, że mi nie pomoże. Dlaczego miałby mi pomóc po tym, jak go potraktowaliśmy? Odwraca wzrok i spogląda na podjazd i widoczną za nim rzekę. W jego twarzy dokonuje się subtelna zmiana, w oczach pojawia się błysk, nie wiem tylko, czy radości, czy strachu. Cokolwiek widzi, nie poświęca temu zbyt wiele uwagi, bo chwilę później patrzy znów na mnie, zdejmuje plecak i rozpina kurtkę. Składa ją w coś na kształt poduszki i podchodzi do okna.

– Odsuń się – rzuca i trzonkiem noża wybija resztki szkła z dołu okiennej ramy. – Wchodzę do środka.

• • •

Zostawiamy Malcolma, który chwiejąc się na boki, próbuje siedzieć prosto na kanapie, i biegniemy na górę. Moje ramię pulsuje bólem przy każdym kroku, ale prawie o tym nie myślę, kiedy otwieram drzwi do pokoju Katie. Ubrana w piżamę, skarpety i przydużą bluzę z kapturem wydaje się taka drobna i krucha, kiedy leży skulona na łóżku z ręką pod głową.

Chwytam ją za nadgarstek i śpiącą przyciągam do siebie. Oglądam się na Trevora, który stoi w drzwiach. Wygląda, jakby lada chwila miał czmychnąć z powrotem na dół. Zarzucam sobie na szyję bezwładne ramię Katie i próbuję wziąć ją na plecy, dziewczyna wciąż się jednak z nich ześlizguje.

– Trevor! – krzyczę. – Pomóż mi!

Mój głos działa na niego jak policzek, bo nagle podbiega do mnie i bierze Katie na rękę.

– Nie, zaczekaj – mówię, kiedy odwraca się do drzwi. – Ja ją wezmę. Ty pomóż Fionie.

– Nie – rzuca i zanim udaje mi się go zatrzymać, wychodzi na korytarz.

Drzwi do pokoju Melanie nadal są uchylone. Poza Katie Melanie jest najmniejszym i najlżejszym z gości, więc jeśli zdołam kogoś udźwignąć i znieść na dół, to właśnie ją. Tyle że w przeciwieństwie do Katie, Melanie nie

śpi. Siedzi na skraju łóżka, trze oczy i cicho pojękuje. Kiedy wchodzę do pokoju, powoli odwraca się w moją stronę i mruga nieprzytomnie. Bez okularów jej oczy wydają się małe jak paciorki pod krzaczastymi brwiami. Melanie kaszle i próbuje się wyprostować, zaraz jednak przewraca się na bok.

– Melanie, muszę cię stąd zabrać. – Biorę ją za rękę, zarzucam sobie na szyję jej ramię i prostuję kolana. Jest tak lekka, że ześlizguje się z łóżka, lecz z chwilą, gdy dotyka stopami podłogi, nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

– Musisz stanąć, Melanie. Spójrz na mnie! Melanie, spójrz na mnie! Pali się. Musimy uciekać.

Schrypniętym głosem bełkocze coś o okularach, nie mam jednak siły ani czasu, żeby ich szukać.

– Nisniewizę. – Jej słowa zlewają się w jeden ciąg, kiedy na wpół wywlekam, na wpół wynoszę ją z pokoju. – Niewizębesokularów.

– Musimy je zostawić. Chodź. Proszę. Spróbuj stawiać kroki.

Pot leje się ze mnie strumieniami, a jesteśmy dopiero w połowie korytarza. Kiedy podchodzimy do schodów, Trevor biegnie na górę. Jego ramiona pracują niczym tłoki, na twarzy niczym maskę ma zawiązany kawałek materiału. Wyciąga rękę, żeby odebrać ode mnie Melanie, lecz kręć głową.

– Musisz pomóc Fionie i Joemu. Dam sobie radę.

Przytakuje i przeciska się obok mnie.

Mam wrażenie, że droga na dół zajmuje mi całe wieki, a każdy krok to tortura. Nie mając wolnej ręki, żeby chwycić się poręczy, muszę schodzić z chorym ramieniem przyciśniętym do ściany. Melanie nadal ledwo trzyma się na nogach i krzyczę za każdym razem, kiedy niebezpiecznie przechyla się do przodu. W końcu docieramy na dół i tam – dosłownie – wlokę ją przez salon w stronę okna. Malcolm siedzi teraz prosto z głową odchyłoną do tyłu i zamkniętymi oczami. Gdy go mijamy, wykrzykuję jego imię, na co otwiera oczy.

– Mel? – Półprzytomny spogląda na żonę i zdezorientowany ściąga brwi. – Mel?

W drzwiach staje Trevor z Fioną, przytomną, ale zamroczoną, uwieszoną jego ramienia. Sadza ją na kanapie obok Malcolma i znika w recepcji. Na zewnątrz skulona w kłębek na trawie Katie śpi w najlepsze.

– Mel. – Wskazuję koc, który Trevor przerzucił przez okno. – Musisz wyjść tędy.

Melanie próbuje wspiąć się na parapet, podnosi nogę, ale zatacza się i musi się mnie przytrzymać. Jest za niska.

– Zaczekaj tu. – Zostawiam ją opartą o ścianę i przysuwam fotel z drugiego końca pokoju. – Chodź. – Podaję jej rękę. – Wejdz na fotel, potem na koc i wyskocz przez okno. Trochę tam wysoko, więc uważaj.

– Dobrze. – Trze oczy, po czym bierze mnie za rękę.

– Ostrożnie. – Poklepuję dłonią koc, szukając ewentualnych odłamków, niczego jednak nie czuję. – Gotowa? Trzy, dwa, jeden.

Melanie raczej spada z okna, niż z niego zeskakuje. Jej bosa stopy z plaśnięciem uderzają o ziemię, a dłonie lądują na krawędzi trawnika. Przez chwilę leży bez ruchu, po czym unosi głowę i czołga się w stronę Katie śpiącej na ziemi jakieś dwa metry dalej. W holu kłębi się czarny gęsty dym; płomienie liżą już drzwi jadalni. Gdzie jest Trevor? To były żołnierz, kawał chłopca, ale Joe też swoje waży. Prawdopodobnie Trevor nie może go udźwignąć. Nie wiem, czy biec na górę, czy pomóc Malcolmowi i Fionie wyjść przez okno.

– Malcolm! – Chwytam go za ręce i ciągnę. – Musisz wyjść. NATYCHMIAST.

Szarpnięciem podrywam go z kanapy i wyję z bólu, gdy wpada na mnie. Z ramieniem chyba wszystko jest w porządku, lecz boli jak diabli.

– Wychodź! – Popycham go w stronę okna. – Mel! Pomóż mu wyjść.

Chwilę później naciągam sweter na nos, wbiegam do holu i czuję obezwładniającą ulgę, gdy na szczycie schodów pojawiają się brązowe buty trekkingowe Trevora.

Rozdział 51

Siedzimy na mokrej trawie, dysząc, jęcząc i kaszląc, podczas gdy deszcz omywa nam osmaloną skórę, a wiatr szarpie ubraniami. Nikt już nie śpi. Katie siedzi Melanie na kolanach, kryjąc twarz w zagięciu jej szyi. Pośród wycia wiatru i ryku fal słyhać jej ciche pochlipywanie. Obok nich siedzi Malcolm. Dotyka ramieniem ramienia żony i spogląda w stronę hotelu. Oboje są bladzi i zmęczeni, twarze mają poszarzałe i wymizerowane. Joe leży na plecach na trawie i w milczeniu wpatruje się w zaciągnięte chmurami szare niebo.

– Trevor? – Odwracam się w stronę mężczyzny siedzącego na plecaku na skraju grupy. Podnosi do ust butelkę z wodą; jego prawa ręka trzęsie się tak bardzo, że musi podtrzymywać ją lewą. – Nic ci nie jest?

Pije dalej, unikając kontaktu wzrokowego.

– Uratowałeś im życie. – Wskazuję na pozostałych gości. – Gdyby nie ty, umarliby we śnie.

Wzdrygam się, kiedy ciska butelkę w stronę hotelu; jego twarz jest wykrzywiona wściekłym grymasem. Butelka odbija się od ściany, resztki wody rozchlapują się na tarasie. Trevor myśli o Christine. Po tym, jak zniósł Joego, pomógł wydostać się Malcolmowi i Fionie. Czekałam, aż opuści hotel, ale zamiast wyjść przez okno, pobiegł z powrotem do holu. Farba na drzwiach do jadalni pokryła się skwierczącymi pęcherzami. W środku panował taki żar, że miałam wrażenie, że skóra odłazi mi z twarzy.

– Trevor, nie! – Chwyciłam go za ramię, lecz się wyrwał.

– Muszę ją uratować!

– Jeśli Christine gdzieś tam jest, to już nie żyje.

On jednak uparcie wpatrywał się w drzwi. Chyba nawet nie był świadomy, że stoję obok. Płuca paliły mnie żywym ogniem. Każda komórka w moim ciele krzyczała, żebym uciekała.

– Proszę. – Pociągnęłam go za rękę. – Jeśli tam wejdiesz, zginiesz. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Proszę, Trevor. Proszę, po prostu chodź.

Zrobił krok w stronę drzwi i wyciągnął rękę, jakby chciał chwycić za klamkę.

– Trevor, jeśli otworzysz te drzwi, oboje zginieemy.

– No to uciekaj.

– Nie. – Zacisnęłam palce na jego ramieniu i krztusząc się od kaszlu, ukryłam twarz w jego kurtce. Czułam coraz silniejszy ból płuc, gdy wdychałam czarne od dymu powietrze. Trevor próbował mnie odepchnąć, ale wczepiłam się w niego. – Nigdzie nie idę. – Z każdą sekundą mój głos tracił na sile.

– Muszę ją uratować – powtórzył i zrobił kolejny krok w stronę drzwi, ciągnąc mnie za sobą. Zacisnęłam powieki, szykując się na to, że zaraz pochłonie mnie morze ognia, lecz zamiast ognistego podmuchu poczułam, że coś podrywa mnie z ziemi. To Trevor wziął mnie na rękę i trzymając mnie w ramionach, wrócił biegiem do salonu. Krzyczałam, kiedy wystawił mnie za okno i krople deszczu uderzyły mnie w twarz. Wyszedł przez okno zaraz za mną. Chwilę później usłyszeliśmy eksplozję, jakby gdzieś w głębi hotelu wybuchła bomba, i salon zajął się ogniem.

– Anna ma rację – przyznaje teraz Melanie. – Uratowałeś nam życie. Oboje uratowaliście nam życie.

Całuje Katie w głowę i mrużąc oczy, idzie w naszą stronę. Zatrzymuje się przed Trevorem i wyciąga rękę.

– Dziękuję to za mało – mówi, ale Trevor naciąga głębiej kaptur, wsuwa rękę pod pachy i spuszcza głowę. – To za mało. Jestem twoją dłużniczką. Obie jesteśmy.

Melanie opuszcza rękę. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, dziękuje mi bezgłośnie i wraca do Katie. Trevor kołysze się w przód i w tył, oczy ma zamknięte. To dla niego zbyt wiele, dlatego stara się o nas nie myśleć.

Kątem oka widzę, że Malcolm dźwiga się z ziemi. Pokazuję mu, żeby został tam, gdzie jest, lecz mnie ignoruje. Głowę ma spuszczoną i z trudem stawia bose stopy.

– Nie podam ci ręki – oświadcza szorstko, stając naprzeciw Trevora. – Bo jesteś lepszym człowiekiem ode mnie i nie zasługuję na twoje wybaczenie, ale chcę... chcę cię przeprosić. Ja... nie mam słów... ani wytłumaczenia na to, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, jest mi jednak bardzo, bardzo przykro.

Trevor nieprzerwanie kołysze się w przód i w tył, więc Malcolm odwraca się i odchodzi. Wracając do Melanie i Katie, trzyma się jakoś, ale kiedy siada na trawie, kryje twarz w dłoniach i zaczyna szlochać.

Trevor mamrocze coś, lecz go nie rozumiem, dlatego nachylam się w jego stronę.

– Przepraszam, nie słyszałam – mówię.

Odwraca się tak gwałtownie, że aż podskakuję. Źrenice ma rozszerzone i patrzy wszędzie, tylko nie na mnie.

– David – mruczy pod nosem.

– Co z Davidem?

– Widziałem, jak umiera.

Przez chwilę nie mam pojęcia, o czym mówi, nagle jednak sobie przypominam. Wszedł na spacer po śniadaniu, chwilę przed tym, jak David miał zawał.

– Byłeś na zewnątrz, tak? – mówię łagodnie. – Widziałeś, jak Christine próbowała go ratować.

Zaciska oczy i z jego gardła dobywa się niski jęk.

– Zadbam o to, żebyś dostał pomoc, Trevor. Kiedy wrócimy na ląd.

– A ty?

– Słucham?

Zerka na mnie kątem oka.

– Sobie też załatwisz pomoc?

Coś ściska mnie w gardle; patrzę w niebo, starając się powstrzymać łzy, które cisną mi się do oczu. Tym razem to ja nie mogę wydusić słowa.

• • •

Spodziewałam się sprzeciwów, kiedy oświadczyłam, że zamierzam spróbować dotrzeć land roverem na drugi koniec wyspy; myślałam, że któryś

z mężczyzn uprze się, żeby mi towarzyszyć. Ale oprócz Joego, który ze znużeniem kręci głową, nikt nie reaguje. Pożar i valium pozbawiły ich woli walki. Mogą tylko siedzieć i patrzeć, jak hotel płonie.

•••

Wilgotne powietrze wypełnia moje płuca, a wiatr targa mi włosy, kiedy oddalam się biegiem od hotelu. Bluza z kapturem lepi mi się do ciała, mokre trampki plaskają na płytkach tarasu. Ślizgam się i omal nie skręcam kostki, kiedy kot wypada zza krzaków i przebiega mi drogę, ale się nie zatrzymuję. Przecinam podjazd, buty chrzęszczą na żwirze; z każdym krokiem mój oddech jest coraz bardziej płytki i urywany. Zwalniam, zbliżając się do land rovera, zginam się wół i wypluwam ohydne grudki czarnej flegmy. Kiedy się prostuję, ból w prawym ramieniu jest tak silny, że robi mi się niedobrze, ale desperacja popycha mnie do działania, więc otwieram drzwi od strony kierowcy. Ze ściśniętym żołądkiem wkładam kluczyk do stacyjki, uruchamiam silnik i ruszam. Joe i Malcolm mieli rację co do wskaźnika paliwa: jest na rezerwie, jeśli jednak przeprawię się przez rzekę, resztę drogi pokonam pieszo, jeśli będzie trzeba.

•••

Odjeżdżając, patrzę w lusterko wsteczne. W ciągu kilku minut, odkąd odłączyłam się od pozostałych, ogień ogarnął większą część hotelu. Gęsty czarny dym wylewa się przez okna, płomienie tańczą w miejscach, gdzie jeszcze niedawno było szkło. Im dalej odjeżdżam, tym spokojniej oddycham, a gdy w końcu tracę hotel z oczu, czuję nieopisaną ulgę. Nie wątpię, że to Christine zaproszyła ogień i zabrała klucz od drzwi wejściowych, żebyśmy wszyscy spłonęli żywcem. Ale dokąd poszła? Obawiałam się, że wzięła land rovera, tylko jak miałyby go odpalić bez kluczyków? Może jest w chatce Gordona? Ukrywa się tam czy gdzieś na terenie hotelu? Jaki był jej plan? Chciała zobaczyć, jak hotel płonie, a gdy przyjechałaby pomoc, wyszłaby zza krzaków i płacząc, oświadczyła, że tylko ona ocalała? Jeśli rzeczywiście się

ukrywała, widziała, jak uciekamy i jak odjeżdżam. Czy opuściłam pozostałych, chociaż nadal coś im grozi? Na samą myśl o tym serce podchodzi mi do gardła. Nie, Christine nie odważy się zrobić im krzywdy, skoro są w grupie i nie są otumanieni. Będzie dalej prowadzić swoją grę, powie, że poszła na poranny spacer, albo wymyśli inną bajeczkę. Ta świadomość powinna mnie uspokoić, lecz niepokój, od którego ściska mnie w żołądku, nie mija. Coś nie daje mi spokoju, odkąd wsiadłam do samochodu, coś jest nie tak, nie potrafię jednak powiedzieć co.

Odchylam się w fotelu i w miarę jak zbliżam się do rzeki, kolejny raz sprawdzam kontrolkę paliwa. Strzałka ani drgnęła. Czytałam gdzieś, że samochód może przejechać na rezerwie od pięćdziesięciu do stu sześćdziesięciu kilometrów, tylko że nie mam pojęcia, czy to prawda, tak jak nie wiem, ile kilometrów przejechał już land rover po tym, jak zaświeciła się kontrolka rezerwy. Rzeka nie wygląda tak groźnie jak wczoraj, ale żeby ją przejechać, będę musiała dodać gazu. Ostrożnie poruszam ramieniem w przód i w tył. Boli, ale ból jest do zniesienia. Jeśli wyląduję w wodzie, obolałe ramię będzie najmniejszym z moich zmartwień.

Zbliżając się do rzeki, redukuje bieg i nagle wiem już, co nie dawało mi spokoju. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, kiedy pociągnęłam za klamkę. Joe nie zamknął samochodu po tym, jak wczoraj nie udało się nam sforsować rzeki. Odruchowo zerkam w lusterko wsteczne.

I napotykam wzrok Christine.

•••

Patrzy na mnie bez słowa, jej zimne, niebieskie oczy błyszczą w lusterku. Paraliżuje mnie strach. Z szybą przed sobą, Christine za plecami i zapiętym pasem bezpieczeństwa nie mam dokąd uciec ani gdzie się ukryć. Jesteśmy tylko ja, ona i samochód. Land rover to moja jedyna broń.

– Witaj, Anno, cieszę się, że... – zaczyna Christine, lecz jej słowa zmieniają się w krzyk, kiedy nagle skręcam w lewo i opony ślizgają się na błotnistej drodze. Wciskam pedał gazu i pochylona nad kierownicą, zawracam gwałtownie.

Zerkam przez ramię i nie zwalniając, wjeżdżam na wzgórze, tym samym oddalając się od rzeki. Christine nie ma zapiętego pasa. Jedną ręką trzyma się klamki, drugą sięga do kieszeni bluzy.

– Wyjmij rękę z kieszeni. – Dodaję gazu, aż prędkość wciska nas w siedzenia.

– Nie wiem, co...

– WYJMIJ RĘKĘ Z KIESZENI.

– Nic nie...

– To byłaś ty. Przyjechałaś tu za mną, zostawiałaś mi wiadomości.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Pola za oknami samochodu zmieniają się w zielono-brązową smugę, a widoczny na horyzoncie hotel wygląda jak ognista stawa świetlna.

– Dlaczego przyjechałaś za mną?

– Za nikim nie przyjechałam. – Podskakuje na siedzeniu, kiedy zjeżdżam z drogi na trawę i mijam chatę Gordona. – Proszę, Anno! – krzyczy piskliwym głosem. – Zabijesz nas obie!

– Nie tego właśnie chcesz? Podpaliłaś hotel.

– To nie ja. Przysięgam. Obudziłam się i... Anno, proszę. Zwolnij.

Kiedy wrzucam czwarty bieg, samochodem szarpie gwałtownie. Pół kilometra dzieli nas od krawędzi klifu i zielononiebieskiego morza, które ciągnie się aż po horyzont. Serce wali mi jak oszalałe, dłonie mam wilgotne, ale umysł jasny.

– Dlaczego chciałaś mnie zabić, Christine? Z powodu Freddy'ego? Steve nasłał cię na mnie?

– Nie! – krzyczy. – Nie wiem, o kim mówisz. Nie rozumiesz, Anno.

– Chciałaś mnie ukarać, tak?

Trzysta metrów. Przerażone mewy z krzykiem wzbijają się w powietrze, lecz ryk silnika zagłusza ich głosy.

– Jak śmiałam przeżyć, skoro wszyscy inni zginęli? Tak właśnie myślałaś?

Nie odpowiada. Znalazła swoją broń – strzykawkę, którą wyjęła z kieszeni.

Wybucham dziwnym szaleńczym śmiechem, którego sama nie rozpoznaję; pobrzmiwa w nim złość i euforia. Miałam rację. To ona stała za tym wszystkim. Próbowwała mnie zabić i nie spocznie, dopóki tak się nie stanie.

Tylko że ja już się nie boję. Odcięłam się od swoich uczuć. Słońce wzniosło się nad horyzont, malując na niebie czerwone, złociste i różowe smugi. Jest piękne. To najpiękniejszy wschód słońca, jaki w życiu widziałam.

– Chciałaś mnie ukarać – mówię, podczas gdy siedząca za mną siwowłosa kobieta patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. – Ale ja sama się ukarałam.

Patrzę na światło tańczące na wodzie, niebo, które wygląda jak zawieszony nad nią kolorowy szal, i na ciepły, pomarańczowy blask słońca. Nie wyobrażam sobie, że więcej tego nie zobaczę. Że nie poczuję wiatru na twarzy ani soli na wargach. Nie wyobrażam sobie, że umrę.

Sto metrów.

Christine chwyta się zagłówka siedzenia pasażera i podnosi się, trzymając w prawej dłoni strzykawkę. Rzuca się na mnie, celując w moją szyję.

– Nie bój się, Anno.

– Nie boję się – odpowiadam, uchylam się i wciskam hamulec.

Rozdział 52

Christine

Myslałam, że to już koniec, że nie ma więcej dusz do ocalenia i że będę mogła przejść na zasłużoną emeryturę po tym, jak latami opiekowałam się innymi ludźmi. Że w końcu zamknę drzwi do ludzkiego bólu, poczucia winy i żalu. I wtedy wydarzył się tamten wypadek.

Wiedziałam, że to coś poważnego, kiedy poproszono mnie, żebym opuściła oddział intensywnej terapii i pomogła na oddziale pomocy doraźnej. Takie rzeczy nie zdarzały się często, zwłaszcza teraz, kiedy brakowało personelu, dlatego chętnie się zgodziłam. Nie miałam pojęcia, że będzie to takie przygnębiające doświadczenie.

Jeśli człowiek pracuje w szpitalu, istnieje prawdopodobieństwo, że pacjentem będzie ktoś, kogo znasz, ale żadna pielęgniarka, żadna babcia nie chce zobaczyć poobijanego, połamanego ciała wnuka wwożonego na oddział. Z początku nie poznałam Mohammeda – miał tak obrzmiałą i zakrwawioną twarz – ale kiedy zerknęłam na kartę pacjenta, krew zastygła mi w żyłach. Nigdy nie płakałam w pracy, przez czterdzieści sześć lat, nie mogłam jednak na niego patrzeć, więc pobiegłam do toalety i rozplakałam się jak dziecko. Gdy zaskrzypiały drzwi i wiedziałam, że nie jestem już sama, wytarłam twarz i odzyskałam panowanie nad sobą, a wychodząc, uśmiechnęłam się promiennie do myjącej ręce młodej pielęgniarki. Później, kiedy Carol i Ali przyszli odwiedzić Mohammeda, znów byłam w stu procentach profesjonalistką. Stałam w nogach łóżka, uśmiechając się i kiwając głową, podczas gdy moja córka trzymała Mo za rękę i szlochała, jakby w ogóle nie widziała cierpienia w jego oczach. Ali poklepywał ją po plecach, patrząc wszędzie, tylko nie na połamane nogi syna.

Niedługo potem musiałam wrócić na oddział intensywnej terapii. To tam dowiedziałam się od Bekki Porter, kompetentnej, ale naiwnej młodej

pielęgniarki, że młoda kobieta leżąca na sali numer dwa prowadziła samochód, kiedy doszło do wypadku, w którym mój wnuk został kaleką, a dwóch innych młodych mężczyzn straciło życie. Współczułam Annie Willis. Spała od operacji i nie miała pojęcia, co spotkało jej pasażerów. Zastanawiałam się, co poczuje, gdy się obudzi i odkryje prawdę. Czy będzie zrozpaczona? Załamana? Nękana poczuciem winy? Do końca życia będzie obwiniała się o to, co się stało. Nie mogłam pozwolić, by ktokolwiek tak cierpiał. Niestety, nie zdążyłam zrobić jej zastrzyku, bo przeszkodził mi jej chłopak, a później nie miałam już drugiej takiej szansy.

Po tym, jak Mohammeda przewieziono na oddział neurologiczny, siedziałam przy nim tak często, jak było to możliwe, słuchając, jak wylewa swoje żale. Jego cierpienie sprawiało mi niemal fizyczny ból i czułam wściekłość, wiedząc, że nie mogę mu w żaden sposób ulżyć. Ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kiedy rozmawiałam z wnukiem o wypadku i zapytałam, czy chciałby spotkać się z Anną, odparł, że nie. Powiedział, że nie chce jej oglądać i życzy jej śmierci.

To był znak. Zastanawiałam się, co będę robiła na emeryturze, i teraz miałam już cel. Wszyscy, którym pomogłam, byli w śpiączce albo nieprzytomni, lecz Anna Willis była jak najbardziej świadoma. Nowe wyzwanie, cieszyłam się nim jednak. Będę jej gwiazdą przewodnią.

Czasami cuda przydarzają się kobiecie po tym, jak po menopauzie przestaje farbować włosy, pogodzona z ich naturalnym kolorem i własnym wiekiem. Nie czując na sobie pełnych uwielbienia albo ciekawskich spojrzeń, z siwymi włosami i zwiotczałą, pobrużdżoną zmarszczkami skórą łatwiej jej wtopić się w tłum. Czary-mary! I puf! Staje się niewidzialna. Nie potrzebuje do tego czapki niewidki ani żadnych supermocy. Z początku denerwowało mnie to. Nie dlatego, że tęskniłam za pełnymi podziwu męskimi spojrzeniami – nigdy nie byłam atrakcyjną młodą kobietą, może przystojną albo rzucającą się w oczy – ale dlatego, że czułam się, jakbym została zdegradowana do niższej klasy, gdzie byłam wpuszczana na początek kolejki, ignorowana przez sprzedawców i traktowana protekcyjnie przez telemarketerów. Wciąż byłam pielęgniarką, profesjonalistką, lecz społeczeństwo zepchnęło mnie na margines tylko dlatego, że miałam już swoje lata. Po wypadku Mohammeda zapomniałam o smutku i pogodziłam się z faktem, że jestem niewidzialna. Śledziłam Annę, nie

zwracając na siebie niczyjej uwagi. Na pogrzebie wmieszałam się w tłum żałobników, zniknęłam wśród ludzi przed gmachem sądu i spacerowałam po supermarkecie z miną niewiniątka i koszykiem zawieszonym na przedramieniu. Nikt nie zwracał uwagi na siwowłosą kobietę przemierzającą ulice północnej części Londynu o piątej rano, kiedy szłam z trzecią wiadomością, którą zatknęłam za wycieraczkę samochodu Anny. Myślałam, że te wiadomości przyniosą jej pocieszenie. Że nie będę musiała pomagać jej zasnąć, bo sama podejmie decyzję o tym, żeby uwolnić się od poczucia winy i bólu i zakończyć własne życie. Ale nie. Anna Willis żyła dalej, coraz bardziej zboląta i przygnębiona. Męczyła mnie świadomość, że ją zawiodłam.

Minęło trochę czasu, zanim odkryłam, że Anna wyprowadziła się z mieszkania, które dzieliła ze swoim chłopakiem (tym, co przeszkodził mi wcześniej w szpitalu), i muszę przyznać, że ogarnęła mnie panika, kiedy dotarło do mnie, że nie wiem, gdzie jest. Na szczęście droga Becca Porter podała mi nazwiska jej bliskich oraz ich adres.

Matka Anny była nieufna, kiedy zadzwoniłam zapytać, jak czuje się jej córka. Nie przedstawiłam się. Nie jestem głupia. Wkrótce jej niepewność zmieniła się we wdzięczność, gdy wyjaśniłam, że jestem pielęgniarką, która w szpitalu opiekowała się jej córką, i dzwonię, by upewnić się, że leki, które przyjmowała Anna, nie wywołały żadnych skutków ubocznych. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy powiedziała mi, że Anna nie tylko doszła do siebie, ale przeprowadziła się na wyspę Rum, żeby rozpocząć pracę w jedynym tamtejszym hotelu.

Rum. Zawsze miałam słabość do Szkocji, nie tylko dlatego, że wiele lat temu w trzydziestą rocznicę ślubu razem ze swoim świętej pamięci mężem pojechałam na wycieczkę autokarową szlakiem szkockich jezior. Kiedy agent w miejscowym biurze podróży powiedział, że na początku czerwca organizują pieszą wycieczkę po Rum, bez zastanowienia sięgnęłam po kartę kredytową. Ale, Boże jedyny, jakimi nieszczęśnikami byli moi towarzysze podróży! Odkąd weszłam do busa, wyczuwałam napięcie w ich cierpkich uśmiechach i sztywnych postawach. Usiadłam obok wymizerowanego mężczyzny w okularach, który wyraźnie spięty wyglądał przez okno i przez pierwsze trzy godziny unikał jakichkolwiek rozmów. Tylko raz się poruszył, żeby połknąć

dwie tabletki, które wyciągnął z plecaka. Valium. Już wtedy wiedziałam, że ma problemy psychiczne, nie oceniałam go jednak. Dopiero gdy poczęstowałam go domowej roboty ciastkiem z płatkami owsianymi, odezwał się i rzucił szorstko „Nie, dziękuję”. Ale jak już wspominałam, jestem wytrwała, więc nie przestawałam go zagadywać, szukając wspólnych tematów. Zauważyłam, że jego postawa zmieniła się, kiedy dostrzegł jastrzębia unoszącego się nad lasem. A zatem był ornitologiem. I surwiwalistą. Nic dziwnego, skoro wcześniej służył w wojsku i widział to, co widział.

Może byłam zbyt pewna siebie albo nawet trochę lekkomyślna, ale uznałam, że mam szansę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wkrótce po tym, jak przyjechaliśmy do hotelu, „pożyczyłam” z recepcji klucz uniwersalny i wyjęłam valium z plecaka Trevora. Nie jestem przeciwniczką lekarstw, w końcu całe życie pracowałam jako pielęgniarzka, lecz Trevor łykał tabletki, żeby uniewrażliwić się na wszystko, czego doświadczał. Wiedziałam, że zabierając mu je, pomogę mu odkryć szybszy i łatwiejszy sposób na to, by na dobre pożegnać się z bólem. Zwłaszcza że klify były tak cudownie blisko.

Lubiłam Trevora, dopóki nie zniszczył naszej przyjaźni, będąc świadkiem śmierci Davida. Śmierć to intymne doświadczenie i gdy pomagam komuś zasnąć, chcę, aby takim pozostało. Nie lubię robić z tego widowiska. Musiałam zrobić Davidowi sztuczne oddychanie albo przynajmniej udawać, że próbuję go uratować, podczas gdy inni goście patrzyli mi na ręce, wiedziałam jednak, że nie chce, abym mu pomogła. To był jego czas. Jego dusza wiedziała o tym, nawet jeśli ciało było innego zdania, lecz zignorowałam ruchy jego rąk i nóg, delikatnie zakryłam mu usta dłonią, zatkałam mu nos i zaśpiewałam słodką kołysankę, chcąc, by poddał się i zasnął. To była ta sama kołysanka, o którą poprosił tata, żebym zaśpiewała mamie po tym, jak znalazł mnie uśmiechniętą na szczycie schodów.

Trevor uciekł, kiedy zobaczyłam go przez okno.

Nie wiedziałam, co właściwie widział, ale nie mogłam ryzykować, że opowie o tym innym, więc kiedy wrócił do hotelu, wzięłam go na stronę, podczas gdy pozostali goście biegali jak kurczaki z uciętymi głowami. Powiedziałam mu, że słyszałam, że coś zginęło z jego pokoju i że jestem pewna, że Anna kłamie. Otworzył się przede mną i wyznał, że cierpi na zespół stresu pourazowego

i kiedy nie łyka valium, wracają do niego straszne wspomnienia. Powiedział, że coś takiego zdarzyło mu się, gdy zobaczył, jak ratuję Davida, i myślał, że go zabijam. Był wyraźnie roztrzęsiony – wzrok miał rozbiegany, dłonie mu drżały – więc dałam mu swoją butelkę whisky, wiedząc, że będzie próbował zapić koszmary. Później, kiedy zaczął demolować kuchnię, głosowałam za tym, żeby zamknąć go w pomieszczeniu gospodarczym. To niesamowite, jak wszystko się potoczyło.

Drugi raz użyłam klucza uniwersalnego, gdy podrzuciłam Annie strzykawkę z insuliną. Dźwięk kroków na schodach wystraszył mnie, więc uciekłam do pokoju Davida i schowałam się za drzwiami. Jeślibym wiedziała, że to ta słodka Katie lunatykuje, nie panikowałabym. Niestety, w pośpiechu zostawiłam klucz w zamku drzwi do pokoju Anny.

Potem już wszystko poszło nie tak, jak tego chciałam. Anna nie umarła, kiedy spadła ze schodów, a ja musiałam podjąć desperackie kroki – udąć atak paniki, kiedy przejeżdżaliśmy przez rzekę – by mieć pewność, że nikt nie opuści hotelu.

Winę za pożar ponosi moja matka. Nie opętała mnie ani nie szeptała mi do ucha. Nie jestem chora psychicznie. Ale przyszła do mnie we śnie, krzycząc o tym, że straciła rodzinę, a kiedy się obudziłam, pamiętałam sen na tyle długo, by uświadomić sobie, że chciała przekazać mi wiadomość. Nie tylko Anna ma kłopoty, Christine... oni wszyscy je mają. Potrzebujesz tylko rozkruszonego valium, gorącego napoju i zapalniczki. Wtedy zamkną oczy i zasną.

Rozdział 53

Anna

– Christine, Christine, słyszysz mnie? – Kropla krwi pojawia się na jej policzku, szkarłatna plamka na bladej pomarszczonej skórze.

Christine leży na boku kilka metrów przed samochodem z jedną ręką wyciągniętą, jakby chciała ucześcić się krawędzi klifu, a drugą przyciśniętą tułowiem. Ma krew we włosach, na szyi i na piersi, w miejscu, gdzie podarła się jej bluza. Odłamki szkła ze strzaskanej przedniej szyby lśnią w jej rozchylonych ustach, na zamkniętych powiekach i butach. Butach, których nie miałyby na nogach, gdyby to nie ona zaproszyła ogień.

– Christine? Możesz otworzyć oczy?

Na jej policzku pojawia się kolejna kropla i jeszcze jedna, i następna. Dotykam dłonią jej twarzy i na moją rękę skapuje krew. Mrugam, kiedy pot zalewa mi oczy, i ocieram dłonią twarz, lecz to nie pot mam na palcach, tylko krew. Kiedy wcisnęłam hamulec, pas bezpieczeństwa werznął mi się w pierś, zanim jednak to nastąpiło, uderzyłam głową w kierownicę. Wycieram rękę w nogawkę dzinsów i ujmuję nadgarstek Christine. W tym momencie jej powieki zaczynają drgać, a z gardła dobywa się jęk.

– Słyszysz mnie, prawda? – Szukam jej pulsu. Jest słaby, ale wyczuwalny.

Otwiera prawe oko i spogląda na mnie.

– Co mówiłaś? – Jej głos przypomina niesiony wiatrem szept.

Pochyliłam się nad nią i zbliżam ucho do jej ust.

– Pozwól mi odejść. Pozwól mi zasnąć – mówi.

– Dlaczego ja, Christine? Wytłumacz mi.

Zamyka oczy i wzdycha cichutko.

– Ile osób zabiłaś? – pytam.

Nie odpowiada, jej pierś unosi się i opada, a puls drga pod moimi palcami.

– Znalazłam twoją książkę. Czytałam nekrologi... wszystkich tych ludzi.
Zabiłaś ich, prawda?

Wydaje z siebie niski gardłowy dźwięk, ni to westchnienie, ni śmiech.

– Byłam litościwa. Ocaliłam ich od cierpienia i bólu.

– Mordując ich?

Mniej więcej metr od jej wyciągniętej ręki leży strzykawka z igłą, którą zamierzała wbić mi w szyję. Podczołguję się do niej i biorę ją do ręki.

– Co jest w tej strzykawce, Christine?

Widząc, że porusza ustami, znowu się nad nią pochylam.

– Insulina. – Bierze drżący oddech, oczy wciąż ma zamknięte. – Użyj jej.
Pomóż mi zasnąć.

Mój mózg krzyczy: „Nie!”, ale palce zaciskają się na strzykawce.

– Zrób to – dyszy.

Krew albo ślina bulgocze jej w gardle i Christine kaszle. Z każdym oddechem krzywi się i jęczy. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To Joe biegnie powoli w naszą stronę; zмага się z deszczem i wiatrem, głowę ma pochyloną.

Christine otwiera wilgotne niebieskie oczy i wbija we mnie wzrok.

– Zrób to dla Davida.

– Co mu zrobiłaś?

– Skróciłam jego cierpienia.

– Nie miałaś prawa o tym decydować! – Wbijam jej igłę w rękę i kładę kciuk na tłoku strzykawki. – Nie masz prawa decydować o tym, kto będzie żył, a kto umrze.

– No dalej, Anno. – Uśmiecha się łagodnie. – Zrób to.

Kręcę głową.

– Jesteśmy bardziej podobne, niż ci się wydaje – mówi.

– Wcale nie.

– Obie jesteśmy morderczyniami – szepcze. – Już raz to zrobiłaś. Możesz to zrobić raz jeszcze.

Wściekłość, którą tłumiałam w sobie, odkąd zobaczyłam ją na tylnym siedzeniu land rovera, rozplywa się po całym moim ciele. Wyrzucam strzykawkę i krzyczę na cały głos:

– NIKOGO NIE ZABIŁAM! TO BYŁ WYPADEK. TO NIE BYŁA MOJA WINA!

– Anno, Anno. – Joe otacza mnie ramionami i przyciąga do siebie. Wyrywam się i wrzeszczę, żeby mnie puścił, aż w końcu cała złość i frustracja uchodzą ze mnie i wyczerpana, osuwam się w jego objęcia.

– To nie była moja wina – powtarzam, patrząc w niebo. – To nie była moja wina.

Joe nic nie mówi. Tuli mnie, aż przestaję płakać. Dopiero wtedy odgarnia mi włosy z twarzy.

– Wynosimy się stąd, Anno. Trevor wziął z chatki telefon satelitarny. Właśnie dał go Katie. Wezwaliśmy pomoc.

Rozdział 54

Anna

Czwartek, 2 sierpnia

Telefon piknięciem informuje mnie o nadejściu nowych wiadomości w aplikacji WhatsApp, kiedy idąc po schodach, wychodzę ze stacji kolejowej i mrużę oczy w późnopołudniowym słońcu.

Pierwsza to wiadomość od Melanie:

Fajnie, że się odezwałaś, Anno. U mnie wszystko OK. U Malcolma trochę gorzej, odkąd wspomniałam o rozwodzie. Ale wciąż martwię się o Katie. Nie chce rozmawiać o tym, co wydarzyło się w hotelu, i za żadne skarby nie chce się otworzyć i porozmawiać ze szkolnym psychologiem. Nadal próbuję znaleźć opiekunkę dla jej mamy, tylko że wszystko idzie tak BARDZO... POWOLI. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. M x.

Po tym, jak helikopter zabrał nas z wyspy, zostaliśmy przewiezieni na obserwację do szpitala Belford w Fort William. Większość z nas nawdychała się dymu, ale mnie trzeba było założyć szwy na czole, a do tego musiałam mieć zrobione prześwietlenie i rezonans ramienia. Przez kilka godzin trzymałam się dzielnie, ale gdy rodzice przyjechali zabrać mnie do domu, rozplakałam się jak dziecko.

Druga wiadomość jest od Alexa.

Miło było cię zobaczyć wczoraj wieczorem. Jestem tu, gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała. Obiecuję. x

Byłam zszokowana, jak okropnie wyglądał, kiedy wszedł do pubu niedaleko Paddington. Spodnie na nim wisały, był nieogolony, a pod oczami miał cienie. Kiedy zauważył mnie w kącie, zatrzymał się i przez chwilę patrzył

na mnie, jakby zobaczył ducha. W końcu szybkim krokiem podszedł do stolika. Przez chwilę myślałam, że mnie obejmie, ale zatrzymał się nagle i jękając się, zaczął przeproszać mnie za to, że zalogował się na Tinderze, kiedy jeszcze byliśmy razem, że po naszym rozstaniu zaczął umawiać się z pielęgniarką, która opiekowała się mną w szpitalu, że złościł się na mnie po wypadku i zachował się jak totalny dupek, bo nie wierzył, kiedy mówiłam mu, że ktoś mnie prześladuje, ani nie traktował poważnie wiadomości, które ktoś mi podrzucał, i że wcale by się nie zdziwił, gdybym nigdy więcej nie chciała go widzieć, ale jest mu przykro i musiał mi to powiedzieć, inaczej nigdy więcej nie zmrużyłby oka. Był taki skruszony, że wysłuchawszy go, zaczęłam się śmiać. Sprawiał wrażenie przerażonego, kiedy poprosiłam go, żeby usiadł i wyluzował, a sama poszłam kupić mu piwo. Zanim wróciłam do stolika, zdążył wziąć się w garść, a ja przetrawiłam wszystko to, co mi powiedział. Rozmawialiśmy o tym, co poszło nie tak w naszym związku, i doszliśmy do wniosku, że nie pasowaliśmy do siebie. Alex nie jest złym człowiekiem. Owszem, jest zapatrzony w siebie i samolubny, ma jednak dobre serce.

Trzecia wiadomość jest od Fiony.

Złożyłam wymówienie. Postanowiłam zostać stewardesą. Zawsze o tym marzyłam i chcę zobaczyć trochę świata (Rum na razie sobie odpuszczę). Odkąd wróciłam do domu, Michael nie próbował się ze mną skontaktować – myślałam, że po tym całym zamieszaniu w wiadomościach trochę go to obejdzie – ale wyleczyłam się już z niego. Teraz zamierzam czerpać z życia pełnymi garściami (mam nadzieję, że dosłownie). Fi xx

Ostatnia wiadomość jest od Joego. To zdjęcie lśniącego, spokojnego morza, którego turkusowe wody wymywają piasek z czystej białej plaży. Na bezchmurnym błękitnym niebie napisał palcem: *NARESZCIE WOLNY*. Tydzień po tym, jak opuściliśmy Rum, wysłał do mnie wiadomość z informacją, że wyjeżdża na Rodos, żeby uciec od całej tej wrzawy w mediach i oczyścić umysł. Przeproszał mnie, że nie uwierzył mi w sprawie Christine, i wyznał, że nęka go poczucie winy. Zadzwoiłam do niego i przegadaliśmy kilka godzin. Rozmawialiśmy o pożarze, hotelu, moim wypadku i śmierci jego brata. Na koniec oboje się popłakaliśmy. Gdy wróci z Rodos, spotkamy się, na razie jako przyjaciele. Chyba żadne z nas nie jest teraz gotowe na coś poważniejszego.

Telefon znowu pika, kiedy drzwi do centrum rehabilitacyjnego rozsuwają się przede mną.

Jesteś już? Chciałem się upewnić, że na pewno przyjdiesz.

•••

Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że ktoś siedzi przy łóżku Mohammeda. Kobieta, nieco starsza ode mnie, z długimi ciemnymi włosami zebranymi z tyłu w koński ogon. Ma na sobie obcisłe dzinsy i bluzkę hiszpankę.

– Anno – mówi Mohammed, podnosząc rękę. – To Ellie, moja dziewczyna.

– O – bąkam i cofam się w stronę drzwi. – Przepraszam, wrócę później...

– Nie, nie, w porządku. – Ellie posyła mi uśmiech i odsuwa krzesło od łóżka.

– Właśnie wychodziłam. Wiem, że Mo chciał porozmawiać z tobą na osobności. A przy okazji, bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

– Dziękuję. – Odwzajemniam uśmiech.

Kiedy wychodzi, jestem tak zdenerwowana jak wtedy, gdy dostałam wiadomość od Mohammeda. Skinął głową, widząc, że podchodzę do łóżka, ale usta miał zaciśnięte w wąską kreskę. Teraz odprowadza wzrokiem Ellie.

– Po wypadku przez długi czas nie chciałem jej widzieć.

– Tak?

– Tak, było ze mną kiepsko... – Ledwie zauważalnie kręci głową i odwraca wzrok w stronę okna, gdzie promień słońca rozlewa się po podłodze świetlistą plamą.

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

– Nie. – Patrzy na mnie. – Mam dość tłumienia uczuć. Ja... ja... po wypadku powiedziałem Ellie, żeby nie przychodziła. Nie chciałem, żeby oglądała mnie w tym stanie... nie zniósłbym litości na jej twarzy. – Spogląda na swoje nogi, długie, proste i nieruchome pod kołdrą. – Potrzebowałem czasu, żeby pogodzić się z tym, co się stało, i zaakceptować to, że pewnych rzeczy nie będę mógł robić tak jak kiedyś. Właściwie nadal się z tym nie pogodziłem. Przynajmniej niezupełnie. Ciągle wierzę, że kiedyś jeszcze będę chodził.

– Jest taka szansa?

– Niewielka. Nikt nie daje mi złudnych nadziei, ale mam trochę czucia w prawej nodze.

– To dobrze.

– Tak. Przynajmniej nie jestem taki przybity jak wcześniej... to też zasługa Ellie. Ma determinację za nas oboje. Przez cały ten czas, kiedy nie chciałem jej widzieć, była w kontakcie z moją mamą i dowiadywała się o mój stan zdrowia. Potem, kiedy wynikła ta sytuacja z babcią... – Zaciska usta i odwraca wzrok. Kiedy znów na mnie patrzy, jego twarz wygląda inaczej. Wydaje się smutny i zły. – Kiedy wynikła ta sytuacja z babcią, Ellie uznała, że dość tego trzymania się z boku. Oświadczyła mojej mamie, że mnie odwiedzi, czy mi się to podoba, czy nie. I... cieszę się, że to zrobiła, bo ta historia z babcią dobiła mnie chyba bardziej niż wypadek. Przepraszam. – Ociera łzy, które toczą mu się po policzkach. – Nie mam prawa się denerwować... nie po tym, co przeszłaś.

– Masz do tego wszelkie prawo.

– Zrobiła to, co zrobiła, przeze mnie.

– Była chora, Mo.

– Oni mówią co innego. Uważają, że jest zła.

Sięga po gazetę leżącą na szafce przy łóżku i kładzie ją sobie na kolanach. Na pierwszej stronie jest zdjęcie Christine w fartuchu pielęgniarki. Głowę ma spuszczoną, a jej oczy widoczne zza okularów spoglądają pytająco na fotografa. Nagłówek nad zdjęciem głosi: *Liczba ofiar Anioła Śmierci rośnie.*

– Twierdzą, że w ciągu swojej kariery zabiła ponad dwadzieścia osób, może więcej, wstrzykując im śmiertelną dawkę insuliny. – Otwiera gazetę na trzeciej stronie. – Popatrz na to, spójrz na ich twarze. To ludzie, których zabiła. Zamierzają nawet ekshumować Freddy'ego i Petera, żeby zobaczyć, czy nie przyczyniła się do ich śmierci. To jakieś pieprzone szaleństwo! – Mruga gwałtownie, kiedy łzy napływają mu do oczu. – Mama odwiedziła ją w szpitalu i zapytała, dlaczego to zrobiła. I wiesz, co jej powiedziała?

Kręcę głową.

– Że ci, którzy cierpią, zasługują na to, by zasnąć. Skąd, do cholery, wiedziała, że ci ludzie cierpieli? Połowa z nich była na oddziale intensywnej terapii. Byli nieprzytomni albo w śpiączce. NIC, KURWA, NIE WIEDZIAŁA!

Idący korytarzem mężczyzna unosi brwi, gdy głos Mo niesie się po pokoju.

– Przepraszam – bąka Mo. – Nie powinienem tak się wściekać. Ale nie mogę... po prostu nie mogę. W kółko o tym myślę i nic z tego nie rozumiem. Nie pojmuję, dlaczego to robiła.

– W gazecie napisali, że jej ojciec był lekarzem.

– I że robił jej matce zastrzyki, żeby ją uspokoić. Może nawet ją zabił. Tak, wiem. Ale jaki to ma związek z ... – Kręci głową. – Na litość boską, nazywają ją seryjną morderczynią, porównują ją do Shipmana⁵.

– Tak mi przykro, Mo.

Opada na poduszki i ociera twarz dłońmi.

– Wiesz, podziwiałem ją za spokój, za opanowanie i powściągliwość. – Śmieje się szyderczo. – Kiedy przyszła mnie odwiedzić, cieszyłem się, że to ona, bo wiedziałem, że przy niej jednej nie poczuję się jeszcze bardziej podle.

– Skąd mogłeś wiedzieć, jaka jest naprawdę? Była przecież twoją babcią.

Dla mnie była obcą osobą, jedną z siedmiu, które przyjechały z plecakami do hotelu Bay View, podekscytowane czekającą ich przygodą. Nie znałam ich, nie wiedziałam, jakie skrywają tajemnice i dlaczego nie mogą w nocy spać. Byli naszymi gośćmi i oceniałam ich na podstawie tego, co widziałam – jako małżeństwo, nastoletnią bratanicę, starszą kobietę, samotnego mężczyznę, samotną kobietę i tego, przy którym czułam się niezręcznie. Tylko Trevor nie poradził sobie ze swoim bólem, on jeden nie potrafił udawać „normalnego” i on jeden nie stwarzał pozorów. Dawał wyraz swojemu cierpieniu, podczas gdy my kryliśmy się z naszym, pozwalając, by nas dręczyło.

– Wszystko w porządku? – pyta Mohammed. Jego głos wyrzywa mnie z zamyślenia i przenosi z hotelu z powrotem na twarde plastikowe krzesło. – Wyglądasz... sam nie wiem...

– Tak, nic mi nie jest. – Zmuszam się do uśmiechu. Nie tylko Trevor chodzi na terapię. Odkąd wróciłam do domu, widziałam się z psychologiem tylko kilka razy, ale czuję się lepiej i ubiegłej nocy pierwszy raz od dawna zasnęłam przed północą. No i przespałam całą noc, bez żadnych snów czy koszmarów.

– Wiesz, że to nie twoja wina. – Mo wskazuje swoje nogi. – Ani to, ani śmierć Freddy’ego i Petera. Nie ma w tym żadnej twojej winy, Anno. Cholernie mi głupio.

– Byłeś zły i cierpiałeś.

– Nie. – Kręci głową. – Nie próbuj mnie usprawiedliwiać. To, co czułem, i to, co mówiłem, było złe. Przepraszam. Naprawdę, cholernie cię przepraszam.

– W porządku. – Ściskam jego dłoń. – W porządku, Mo. Na szczęście to już koniec. Sprawa zamknięta. Zostawmy to za sobą i cieszymy się życiem.

– Jesteś pewna? – On również ściska moją dłoń. – Że to koniec?

– Tak. – Kiedy uśmiecham się do niego, pierwszy raz od dawna czuję w piersi ciepło i dziwną lekkość. Myślę, że właśnie to ludzie nazywają nadzieją.

Rozdział 55

Katie

Katie Ward skrada się korytarzem. Lekko stawia stopy i przy najmniejszym skrzypnięciu drewnianych klepek wzdryga się przestraszona. Kiedy wróciła ze szkoły, mama była w kiepskim stanie. Przez cały dzień miała potworny ból głowy i wymiotowała na siebie. Dała radę ściągnąć bluzkę i przebrać się w czystą, którą zdjęła z kaloryfera, ale nie miała siły wejść po schodach do łazienki ani nawet przejść do kuchni, więc cuchnęła wymiocinami podobnie jak wyblakły różowy dywan w salonie. Po powrocie ze szkoły – dwie godziny temu – Katie musiała posprzątać wymiociny, podać mamie lekarstwa, wykąpać ją i poczytać jej. W końcu mama zasnęła w fotelu. Tylko jak długo będzie spać?

Katie przyspiesza kroku, dociera do końca korytarza i zdejmuje szkolny plecak z wieszaka przy drzwiach. Chwilę później pochyla się, żeby pozbierać pocztę. Przegląda korespondencję i rzuca ulotki reklamowe z powrotem na wycieraczkę. Trzy listy: do mamy z opieki społecznej, drugi, który wygląda jak wyciąg z konta. I – zaskoczona Katie unosi brwi – jeden do niej. Patrzy to na plecak, to na list. Jej dwie koleżanki idą na imprezę do Alfiego Bauera i chce sprawdzić telefon, żeby przynajmniej zobaczyć na Snapchacie, co włożyły. Ją też zaproszono, ale nie było sensu pytać, czy może iść. Kolejny raz patrzy na kopertę. Nigdy nie dostaje listów, zwłaszcza takich, na których ktoś odręcznie napisał jej nazwisko i adres. To dość intrygujące.

Wchodzi do kuchni, kładzie plecak na stole i otwiera kopertę. W środku znajduje cienką czarną książkę i dużą kartkę papieru w linie. Na górze kartki napisano: *Pisząc do postów, proszę podać swój wcześniejszy adres zamieszkania w celu uniknięcia opóźnień związanych ze sprawą.* Czytając to,

Katie marszczy brwi. O co tu chodzi? Cokolwiek to jest, trafiło do niej przez przypadek. Spogląda na dół strony:

Numer: A6837CC

Nazwisko: Christine Cuttle

Skrzydło: D-B107

Co to? Katie nie ma pojęcia, co znaczą te wszystkie liczby i litery, ale rozpoznaje nazwisko. To ta stara kobieta, która była z nimi w hotelu. Coś stało się z samochodem, kiedy ona i Anna jechały po pomoc, i wyleciała przez przednią szybę, bo nie miała zapiętych pasów. Przynajmniej tak mówiła ciocia Mel. Ciocia Mel mówiła wiele rzeczy, głównie bzdury, jak choćby to, że załatwi opiekunkę dla mamy, żeby Katie nie musiała weekendami siedzieć w domu i żeby od czasu do czasu mogła wyskoczyć gdzieś z przyjaciółmi.

Tak czy inaczej, Katie zna prawdę o Christine Cuttle, bo mówią o niej w telewizji. Za każdym razem, gdy włącza telewizor dla mamy, na ekranie pojawia się Christine z siwymi kręconymi włosami, okularami i drobnymi zaciśniętymi ustami. Pielęgniarka morderczyni, oto jak mówią o niej w szkole. Kilku siódmoklasistów, którzy nadal bawią się w berka (choć udają, że tego nie robią), wymyśliło nową grę, w której „berek” musi dźgnąć innych długopisem i ich „zabić”. Katie strasznie to denerwuje. Na wyspie Christine była dla niej naprawdę miła. Zrobiła jej gorącą czekoladę, przyniosła dodatkowe koce i rozmawiała z nią. Nie przemawiała do niej protekcjonalnie jak inni dorośli, tylko naprawdę z nią rozmawiała. Katie nie wyobraża sobie, że ta kobieta mogłaby kogoś zabić. Jest przecież stara, a starzy ludzie nie są straszni. Są słabi, zniedołężniali i trochę nudni, i wiecznie mówią o tym, jak wyglądało życie, kiedy byli młodzi.

Patrzy na list i zaczyna czytać.

Droga Katie

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Wiele myślałam o Tobie, Twojej kłopotliwej sytuacji i o tym, jak musi Ci być ciężko opiekować się chorą matką. Jesteś przecież taka młoda, pełna życia, pomysłów

i młodszej radości. Chciałabym, żebyś wiedziała, że bardzo miło wspominałam nasze rozmowy podczas pobytu na Rum i cieszę się, że dałaś mi swój adres, żebyśmy po powrocie do domu były nadal w kontakcie. Jesteś bardzo bystrą, wnikliwą i uroczą młodą kobietą. Potrafisz też jak nikt dochować tajemnicy (czego dowodem jest to, że nie powiedziałaś nikomu o swoich rozmowach z Trevorem). Świadczy to o tym, jaka jesteś troskliwa i że potrafisz zachować swoją opinię dla siebie. Nie wiem, czy myślałaś już o tym, czym mogłabyś zajmować się w przyszłości, ale sądzę, że byłabyś wspaniałą pielęgniarką. Z pewnością masz wszystkie potrzebne do tego cechy. Pewnie słyszałaś w mediach wiele okropnych rzeczy na mój temat, nikt jednak nie mówi o tym, że to, co robiłam, robiłam z miłości, nie z nienawiści. Chciałam jedynie zakończyć cierpienie tych ludzi. Niewiele jest rzeczy, które kobiety w moim wieku mają wspólnego z kobietami w twoim wieku, ale nas łączy to, że Twoja matka jest, a moja była bardzo chora. Nikt nie chce patrzeć na cierpienie ukochanej osoby, ani ja, ani – z pewnością – nie taka cudowna, troskliwa dziewczyna jak Ty. Bardzo chciałabym porozmawiać z Tobą przez telefon o walce, którą toczysz każdego dnia, i o tym, jak mogłabyś uśmierzyć jej ból. Myślę, że przyjaźń taka jak nasza (mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że staruszka w moim wieku uważa Cię za swoją przyjaciółkę) mogłaby być dla nas obu wielką pociechą.

Myślę o Tobie ciepło i życzę Ci jak najlepiej.

Christine Cuttle

PS Do listu dołączam zbiór wierszy o śnie.

To wyjątkowa książka, zawsze mam przy sobie zapasowy egzemplarz.

Katie patrzy na list, szukając w nim sensu, i nie znajdując go. Staruszka była miła, ale Katie nie jest pewna, czy chce być jej przyjaciółką; na pewno nie taką, z którą godzinami będzie rozmawiała przez telefon. Prawie nie ma czasu rozmawiać z własnymi przyjaciółkami. Mnie list w dłoni i razem z książką wyrzuca go do kosza. Przez chwilę przetrząsa zawartość plecaka w poszukiwaniu telefonu, a gdy go znajduje, pospiesznie wpisuje hasło. Jej

twarz się rozjaśnia, gdy dotyka ikonki Snapchata i widzi zdjęcie przyjaciółek, na którym obejmują się i uśmiechają do obiektywu. Na górze zapisane neonową czcionką widnieją słowa: KOCHAMY CIĘ! Uśmiech Katie gaśnie i coś ciąży jej na żołądku, jakby ktoś nawrzucał do niego kamieni. Powinna tam być, razem z nimi, na imprezie, którą jej rówieśnicy okrzyknęli już „melanżem roku”. Wylogowuje się ze Snapchata i wychodzi z kuchni. Najchętniej poszłaby na górę, przymierzyła kilka kiecek i porobiła selfie. To nie to samo co pójście na imprezę, ale zawsze może poudawać.

– Katie! – woła z salonu matka. – Katie, kochanie. Przepraszam, ale znowu zwymiotowałam.

Katie stoi bez ruchu, po czym wraca do kuchni i wyjmuje z kosza list od Christine i tomik poezji.

– Przynieść ci lekarstwo, mamó?! – woła, chowając je do kieszeni. – Pomoże ci zasnąć.

PODZIĘKOWANIA

Ogromne podziękowania dla Phoebe Morgan, która pojawiła się, kiedy moja redaktorka, Helen Huthwaite, poszła na urlop macierzyński, i wykonała kawał naprawdę dobrej roboty. Nie tylko w kwestiach redakcyjnych; wspierała mnie na każdym kroku i cierpliwie odpowiadała na każde moje pytanie. Jesteś wielka, Phoebe. Pragnę podziękować pozostałym członkom grupy Avon, którzy harują ciężko, żeby wyprodukować, sprzedać, zareklamować i opublikować moje książki, zwłaszcza Henry'emu Steadmanowi, Sabah Khan, Elke Desanghere, Dominicowi Rigby'emu, Annie Derkacz, Molly Walker-Sharp, Rachel Faulkner-Willcocks, Oliverowi Malcolmowi i Kate Elton.

Nie mogłabym wykonywać tej pracy, gdyby nie wsparcie mojej cudownej agentki Madeleine Milburn i jej wybitnego zespołu: Gilesa Milburna, Hayley Steed i Alice Sutherland-Hawes. Dziękuję, że rozpuszczacie wieści po całym świecie i dbacie o to, by jak najwięcej ludzi przeczytało moje powieści. Dziękuję wszystkim moim zagranicznym wydawcom za to, że wierzą we mnie i moje książki.

Pragnę również podziękować wszystkim, którzy udzielali mi bezcennych rad w trakcie zbierania materiałów do tej książki: Sharon i Steve'owi Birchom, którzy wyjaśnili mi, jak działa biuro koronera, Stuartowi Gibbonowi za oświecenie mnie w sprawie policyjnych procedur, znajomemu aptekarzowi Andrew Parsonsowi, Trudi Clarke, która jest policjantką na Rum i cierpliwie odpowiadała na wszystkie moje pytania, Samowi Carringtonowi za rozmowy o procedurach więziennych, Angeli Clarke za to, że podzieliła się ze mną swoimi doświadczeniami na temat wywichnięcia ramienia i nastawiania go

(auć!), i Torie Collinge, Hazel Amandzie i Sarah Chequer za specjalistyczną wiedzę pielęgniarską. Jeśli kogoś pominęłam, bardzo przepraszam.

Nie mogłabym napisać tych podziękowań, nie wspominając o swojej przyjaciółce Heidi Moore. Heidi była jedną z moich najlepszych przyjaciółek z czasów szkolnych i jako trzydziestokilkulatki spędziłyśmy ze sobą naprawdę dużo czasu, pijąc, rozmawiając, podróżując i świetnie się bawiąc. Heidi była dobra, żywiołowa, zabawna, hojna, mądra, i troskliwa. Była też największą orędowniczką moich książek. Świat widział w niej kobietę, która miała wszystko – przyjaciół, karierę, szczęście i stabilizację finansową – ale przez większość życia zmagala się z pogranicznym zaburzeniem osobowości i tylko najbliżsi przyjaciele wiedzieli o demonach, które nawiedzały ją, kiedy była sama. Pracowałam nad tą książką od dwóch miesięcy, kiedy Heidi odebrała sobie życie. Powiedzieć, że byłam – i nadal jestem – zdruzgotana, to jak nie powiedzieć nic. Długo zastanawiałam się nad tym, czy powinnam dedykować tę powieść – książkę o śmierci i samobójstwie – mojej najdroższej przyjaciółce, ale prawda jest taka, że na jej kartkach zawarłam ból po stracie Heidi. Wyjaśniłam jej rodzinie, dlaczego chcę zadedykować tę książkę właśnie jej – pragnę, by żyła w każdym jej egzemplarzu – a oni udzielili mi swojego błogosławieństwa.

Tęsknię za Tobą, Heidi. Zawsze będę za Tobą tęskniła.

To był ciężki rok pod wieloma względami, dlatego tym bardziej pragnę podziękować rodzinie i przyjaciołom za ich miłość i wsparcie. Wielkie podziękowania dla moich rodziców – Rega i Jenny Taylorów – oraz brata i siostry, Davida i Rebekki Taylorom. Dziękuję Sami Eaton i Frazerowi, a także Oliverowi, Sophie i Rose Taylor, Loubag Foley, Anie Hall (tym razem bez błędu, Ano!), Jamesowi Loachowi, Angeli Hall, Steve’owi i Guin Hallom oraz babuni Joyce Hall. Uściski dla Chrisa i Setha, którzy są całym moim światem. Bez Was to wszystko nie miałoby sensu. Dziękuję moim drogim przyjaciołom: Rowanowi Colemanowi, Julie Cohen, Kate Harrison, Tamsyn Murray i Mirandzie Dickinson za wspieranie mnie mądrymi słowami i – znacznie częściej – ginem. Całusy dla Bristol SWANS, the Knowle Wine/Book Club (szczególnie dla Joego Rotherama), Ellerslie Girls, bardzo niegrzecznego klubu miłośników kryminałów (wiecie, o kim mowa), absolwentów Story

A Fortnight, drani z the 17 Rothbury Terrace, gangu z Brighton i moich kumpelek, z którymi ćwiczyłam kiedyś kick-boxing – Laury Barclay i Amandy Haslett.

Na końcu pragnę podziękować Wam, drodzy czytelnicy. Niezależnie od tego, czy do tej pory nie czytaliście żadnej z moich książek, czy kupowaliście każdą z nich – dziękuję! Pisanie książek to moja wymarzona praca i mam nadzieję, że będę mogła ją wykonywać jeszcze przez długi, długi czas.

Możecie kontaktować się ze mną przez media społecznościowe:

Facebook: <http://www.facebook.com/CallyTaylorAuthor>

Twitter: <http://www.twitter.com/CallyTaylor>

Instagram: <http://www.instagram.com/CLTaylorAuthor>

A jeśli chcecie otrzymywać kwartalne doniesienia na temat moich książek, dołączcie do darmowego klubu książki C.L. Taylor Book Club. Zapisując się, otrzymacie darmowy egzemplarz powieści THE LODGER.

<http://www.callytaylor.co.uk/CLTaylorBookClub.html>

Przypisy

- ¹ William Szekspir, *Makbet*, przełożył Stanisław Barańczak.
- ² Pasma górskie na szkockiej wyspie Skye.
- ³ *Cuttlefish* (ang.) – mątwą.
- ⁴ William Szekspir, *Hamlet*, przełożył Stanisław Barańczak.
- ⁵ Harold Frederick Shipman – lekarz z Manchesteru, który zabijał swoich pacjentów; zyskał przydomek Doktor śmierć.